

Zbrodnia w zamku

Leblanc Maurice



calibre 0.9.27

Zbrodnia w

zamku

1. Zabójca znika bez śladu

Rajmunda nasłuchiwała. W ciszy nocnej dobiegł ją

tym razem zupełnie już wyraźny szmer kroków;

wstała i, narzuciwszy szlafrok, skierowała się ku

pokoju kuzynki, którą spotkała już na progu:

Która teraz może być godzina? — zapytała Zuzanna.

na.

Około czwartej. Czy słyszałaś?

Tak, w sali na dole ktoś chodzi.

Nie obawiaj się; nie ma niebezpieczeństwa, obok

mieszka twój ojciec.

Ale on może być w niebezpieczeństwie...

Jest tam przecież Daval...

Na drugim końcu zamku... Nie usłyszysz.

Wahały się, nie wiedząc, jak mają postąpić. Nagle

Zuzanna wydała stłumiony okrzyk: - — Patrz...

mężczyzna... tam... koło basenu...

Istotnie jakiś obcy mężczyzna szedł pośpiesznie

przez park. Pod pachą niósł przedmiot, dość

znacznych rozmiarów; widziały, jak minął starą

kaplicę i skierował się ku furtce, ukrytej w murze.

Panny wyjrzały przez okno. Do balkonu pierwszego

piętra przystawiona była drabina, po której schodził właśnie drugi mężczyzna, również niosąc jakiś ciężar.

Wystraszona Zuzanna padła na kolana szepcząc:

Zawołajmy... zawołajmy pomocy...

Ale któż przyjdzie?... Twój ojciec... a jeżeli tam są jeszcze ludzie... i rzucą się na niego?

— Zadzwoń na służbę!...

Rajmunda nacisnęła dzwonek. Czekały.

Zapanowała niezmierna cisza, wśród której nagle rozległ się odgłos walki, hałas wywracanych sprzętów, urywane słowa i krzyki, potem okropny jęk umierającego.

Rajmunda wypadła na korytarz, za nią biegła, chwytając się, Zuzanna. Tak doszły do drzwi salonu, a otworzywszy je, zatrzymały się na progu jak skamieniałe. Na wprost nich stał mężczyzna z latarką w rękę; oświetlił nią blade twarze panien; przypatrywał się im długą chwilę, potem z wolna, nie śpiesząc, wziął kapelusz, starł ślady na dywanie, podszedł do balkonu, obrócił się, złożył głęboki ukłon i zniknął.

Zuzanna wbiegła do buduaru, oddzielającego salon od pokoju jej ojca. Tutaj wszakże przedstawił się jej

okropny widok. W świetle księżycy leżały na

posadzce

dwa martwe ciała. Dziewczę pochyliło się nad

jednym z

nich:

—Ojczy! Ojczy!... to ty. . — krzyknęła z rozpaczą.

Hrabia de Gesvres poruszył się i wyszeptał drżącym

głosem:

—Uspokój się... nie jestem ranny... A Daval? Czy

żyje? Nóż?... Nóż...

W tej chwili weszło dwóch służących ze światłem.

Rajmunda rzuciła się ku drugiemu ciału i poznała

Jana Davala, sekretarza hrabiego. Twarz jego

powlekała się bladością śmierci.

Wówczas wstała, weszła do salonu, zdjęła ze

ściany, zawieszanej bronią, nabitą strzelbę i wyszła

na balkon. Nieznajomy nie mógł być jeszcze daleko;

istotnie spostrzegła go, idącego koło ruin starej

kaplicy. Rajmunda z wolna przyłożyła broń do

ramienia, wycelowała i strzeliła. Człowiek upadł.

Doskonale, panienko — odezwał się jeden ze słu-

żących — ten już schwytany. Pójdę po niego.

Nie, Wiktorze, patrz, wstaje... biegnij lepiej do furki.

Tylko tamtędy może uciec.

Wiktor pobiegł, ale zanim jeszcze dostał się do parku, mężczyzna znów upadł. Rajmunda zawołała drugiego służącego:

Albercie, widzisz go tam, na dole, koło kolumny?

Tak, pełza po trawie... nie może się podnieść...

Nie spuszcza go z oka; nie może uciec. Na prawo ruiny, na lewo — łąka. Wiktor niech strzeże drzwi — rzekła, biorąc fuzję.

Przecież panienka nie pójdzie tam?

—Nie, nie — powiedziała stanowczo — nie bój się... mam jeszcze jeden nabój... Jeżeli się poruszy...

Wyszła. Za chwilę Albert spostrzegł, jak szła ku ruinom, krzyknął więc przez okno:

—Wślizgnął się za kolumnę. Nie widzę go... panienko, ostrożnie!...

Rajmunda obeszła dokoła starą kaplicę, ażeby odciąć obcemu drogę ucieczki; wkrótce Albert stracił ją z oczu. Nie widząc Rajmundy dłuższy czas, zaczął się niepokoić i ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt usiłował się dostać do drabiny; wówczas zszedł po niej i pobiegł wprost ku kolumnie, koło której po raz ostatni widział nieznajomego. Znalazł tam Rajmundę, obszukującą miejsce przy pomocy Wiktora.

No, i cóż? — zapytał.

Uciec nie może — odrzekł Wiktor.

A furtka?

Wracam stamtąd... klucz mam przy sobie...

Trzeba jednak dobrze pilnować...

Nie ma obawy... nie ucieknie... Za dziesięć minut
będziemy go mieli.

W tej chwili nadszedł dzierżawca folwarku, którego
zabudowania widać było na prawo, w dość znacznej
odległości, ale jeszcze w obrębie wałów; nie spotkał
nikogo.

—Co, u diabła — odezwał się Albert — nie mógł
przecież wymknąć się z ruin. Schował się widocznie
w jakiejś norze.

Przeprowadzili najstaranniejsze poszukiwania, obej-
rzeli każdy krzak, poruszyli każdy kamień.

Przekonali się, że kaplica jest szczelnie zamknięta i
że ani jedna szyba nie została rozbita. Obeszli
klasztor, przeszukali wszystkie kąty. Poszukiwania
były jednak próżne.

Jedyny rezultat był ten: na miejscu, gdzie
nieznajomy upadł, trafiony kulą Rajmundy,
znaleziono czapkę szofera z niezmiernie delikatnej,
żółtej skóry. Poza tym nic więcej.

II. Najmłodszy z detektywów wstępuje na scenę

O godzinie szóstej nadjechała żandarmeria i udała się na miejsce wypadku, posławszy przedtem umyślnego do biura policji w Dieppe z raportem wyjaśniającym okoliczności towarzyszące przestępstwu i wspominając o najpoważniejszym dowodzie obecności zbrodniarza: szoferskiej czapce i nożu-narzędziu zbrodni.

O godzinie dziesiątej dwa najęte powozy stanęły przed zamkiem. W jednym z nich znajdował się pomocnik prokuratora z sędzią śledczym oraz jego sekretarzem. W drugim siedziało dwóch młodych reporterów, przedstawiciele „Journal de Rouen” oraz jednego z największych dzienników paryskich.

Zamek d'Ambrumesy, dawniej opactwo, zniesione podczas rewolucji, od lat dwudziestu należące do hrabiego de Gesvres, składał się z głównego korpusu i dwóch skrzydeł, otoczonych kamienną balustradą. Poprzez mury zamkowe, za równiną, zamkniętą stromymi wzgórzami normandzkimi, prześwitywała błękitna linia morza.

Tutaj mieszkał hrabia de Gesvres z córką Zuzanną, ślicznym słabym stworzeniem o złotych włosach oraz sio- ! strzenicą swą, Rajmundą de Saint-Veran, którą przyjął do swego domu, gdy dwa lata temu

nagła śmierć ojca i matki uczyniła ją sierotą. Życie w zamku było ciche i regularne. Od czasu do czasu przyjeżdżali sąsiedzi. W lecie hrabia codziennie prawie zawoził obie panienki do Dieppe. Hrabia był mężczyzną wysokiego wzrostu, oj pięknej, poważnej twarzy, całkiem już siwy. Będąc niezmiernie bogatym, sam jednak zarządzał swym majątkiem, jedynie przy pomocy sekretarza Jana Davala.

Pierwszych wiadomości o zbrodni dostarczył sędziemu śledczemu brygadier, postawiony na straży przed bramą. Kryjówki zbrodniarza jeszcze nie odnaleziono, ale wszystkie wyjścia z parku były strzeżone. Ucieczka stała się niepodobieństwem.

Nowo przybyli przeszli przez główną salę i jadalnię, położone na pierwszym piętrze, skierowując się ku apartamentom drugiego. W salonie rzucał się przede wszystkim w oczy nadzwyczajny porządek.

Ani jedna rzecz, ani jedno krzesło nie zostało tu poruszone, wszystko było na swoim miejscu, niczego nie brakowało. Na lewo i na prawo wisały wspaniałe flamandzkie gobeliny. W głębi widniały przepiękne płótna w pysznych ramach, przedstawiające sceny z mitologii. Były to słynne obrazy Rubensa, które hrabia de Gesvres odziedziczył po

krewnym swym, markizie Bobadilla, grandzie hiszpańskim.

Obejrząwszy salon, sędzia śledczy rzekł:

— Jeżeli powodem zabójstwa była kradzież, bądź co bądź nie popełniono jej w tym pokoju.

Kto to wie! — odezwał się pomocnik, mówiący niewiele, ale zawsze na przekór swemu zwierzchnikowi.

Gdyby tak było, złoczyńcy zabraliby przede wszystkim obrazy i gobeliny.

Może zabrakło im czasu.

To właśnie musimy wyjaśnić.

W tej chwili wszedł hrabia de Gesvres w towarzystwie doktora. Hrabia powitał obu sędziów, po czym otworzył drzwi do buduaru.

Pokój, do którego nikt dotychczas nie wchodziła w przeciwieństwie do salonu znajdował się w największym nieładzie. Krzesła były poprzewracane, jedno złamane; zegar, papiery, lichterze leżały na podłodze. Tu i ówdzie widniały ślady krwi.

Doktor zdjął prześcieradło zakrywające ciało. Jan Daval, ubrany w swój codzienny aksamitny garnitur i podkute buty, leżał na wznak z rozrzuconymi rękoma. Kołnierz i krawat zdjęto, na szyi widać było

wąską, lecz długą ranę.

Śmierć nastąpiła natychmiast — oświadczył doktor — od pierwszego uderzenia.

Zapewne tym nożem — rzekł sędzia śledczy — który widziałem na kominku w salonie, obok skórzanej czapki?

Tak — potwierdził hrabia de Gesvres — nóż należał do tej samej kolekcji broni, z której siostrzenica moja, panna Saint-Veran, wzięła fuzję. Co do czapki zaś, najwidoczniej zgubił ją zabójca.

Sędzia obejrzał pokój, zadał parę pytań doktorowi, po czym poprosił hrabiego, aby mu opowiedział wszy-

stko, co widział i wiedział. Oto zeznania hrabiego:

Obudził mnie Jan Daval. Spałem źle i wciąż zdawało mi się, że słyszę jakiś hałas. Nagle, otworzywszy oczy, spostrzegłem go przed moim łóżkiem zupełnie ubranego, ze świecą w ręku. Wydawał się bardzo

zmieszany i rzekł z cicha; „Ktoś jest w sali!” Wstałem i uchyliłem drzwi do buduaru, gdy w tejże chwili

otwarły się te oto drugie drzwi, prowadzące do wielkiego salonu i stanął w nich jakiś mężczyzna.

Rzucił się na mnie, powalając uderzeniem w skroń.

Opowiadam to panom bez szczegółów, a to dlatego, iż pamiętam jedynie najgłówniejsze fakty, a fakty te

następowały z niesłychaną szybkością.

A potem?

Potem nic już więcej nie wiem... straciłem przytomność... Kiedy przyszedłem do siebie, Daval leżał na podłodze, śmiertelnie raniony.

Czy podejrzewa pan kogo?

Nikogo.

Nie ma pan wrogów?

Nic o tym nie wiem.

I pan Daval nie miał ich także?

Daval? Wrogów? Ależ to najlepszy człowiek w świecie. Jan Daval od lat dwudziestu był moim sekretarzem i powiernikiem, otaczała go powszechna sympatia.

Jednakże walczone tutaj, popełniono zabójstwo; musiała być tego jakaś przyczyna.

Przyczyna? Oczywiście, najprostszą i prawdopodobną przyczyną była kradzież.

Czy skradziono coś panu?

Nie.

A zatem?...

A zatem, ponieważ nie skradziono i ponieważ nie widzę, aby mi cośkolwiek brakowało, szukajcie, panowie. Córka moja i siostrzenica powiedzą wam,

iż widziały dwóch mężczyzn w parku i że mężczyźni
ci nieśli jakieś ciężary.

Panny...

Panny widziały to przez sen? Chętnie bym temu
uwierzył, gdyż te wszystkie poszukiwania i
przypuszczenia zmęczyły mnie nad wyraz. A
zresztą, zapytajcie...

Sędzia poprosił obie panienki do wielkiej sali.

Zuzanna, blada i drżąca, zaledwie mogła mówić.

Rajmunda, energiczniejsza i odważniejsza, jak
również i piękniejsza, ze złotym blaskiem w
czarnych oczach, opowiedziała o wypadkach nocy i
o swoim w nim udziale.

Jest pani zatem zupełnie pewna tego, co pani
mówi?

Najzupełniej. Mężczyźni przechodzący parkiem coś
nieśli.

A trzeci?

Wyszedł stąd z pustymi rękoma.

Czy może go pani opisać?

Co prawda — oślepił nas wciąż światłem swej la-
tarni, mogę jednak powiedzieć, że był wysoki i,
zdaje się, gruby.

Czy taki wydał się i pani? — zapytał sędzia śledczy

Zuzannę de Gesvres.

Tak... albo raczej nie... — powiedziała, zastanowiwszy się, Zuzanna — mnie wydał się średniego wzrostu i chudy.

sta, na zewnątrz ozdobiona była mnóstwem marmurowych figurek, z których każda warta była tysiące.

Ukryć się tu wszakże było niepodobieństwem i jakże zresztą się dostać, kiedy klucz znajdował się zawsze u ogrodnika.

Poszukiwania doszły do furtki, przez którą wchodzili turyści, pragnący zwiedzić ruiny. Za nią ciągnęła się szeroka droga. Filleul nachylił się: na piasku widoczne były ślady opon samochodowych. W tej chwili Rajmunda i Wiktor przypomnieli sobie, iż rzeczywiście po wystrzale usłyszeli jakby warkot samochodu.

Ramony połączył się ze swymi towarzyszami — oświadczył sędzia.

Niepodobna!, — zawołał Wiktor. — Byłem tutaj, kiedy panienka i Albert jeszcze go widzieli.

Ależ wreszcie musi gdzieś się znajdować! Z zewnątrz albo tutaj, trzeciego przypuszczenia być nie może. 1

—Jest tutaj — twierdzili uporczywie służący.

Sędzia śledczy wzruszył ramionami i odwrócił się od nich ze złością. Doprawdy, głupia sprawa. Kradzież, której nic nie skradziono, nieuchwytny przestępca — ciekawe

Czas upływał. De Gesvres zaprosił sędziów i obu: dziennikarzy na śniadanie. Jedli w milczeniu; potem Filleull powrócił do sali, w której przesłuchiwał służbę. Nagle jednak na dziedzińcu rozległ się tętent koni, a po chwili wszedł żandarm, wysłany do Dieppe.

—No cóż? Widziałeś się z kapelusznikiem? — wykrzyknął sędzia, pragnąc czym prędzej posłyszeć pierwszą wskazówkę

jedną czapkę. Zapłacił, nie spojrzawszy nawet na Widzia rozmiar, i odjechał. Bardzo mu było spieszno.

łem
Kiedy to było?

się z
Dzisiaj rano, o godzinie ósmej.

samy
Dzisiaj rano? Co pleciesz?

m

Czapka była kupiona dzisiaj rano.

panem

Ależ to niemożliwe, ponieważ dzisiaj w nocy zna-

Maigre

leziono ją w parku; musiała więc być kupiona

t.

dawniej.

Czape

—Dzisiaj rano. Tak mi powiedział kupiec.

czkę

Zapanowało milczenie. Sędzia śledczy, wytrącony z

tę

równowagi, usiłował połapać się w całej tej

sprzed

plątaninie. Nagle, uderzony niespodziewaną myślą,

ano

porwał się z miejsca.

woźnic

—Niech tu przyprowadzą dorożkarza, który przy-

y.

wiół nas dzisiaj rano! Prędko! Dorożkarza!

Woźni

Brygadier ze swym pomocnikiem pobiegł do stajni.

cy?

W parę minut potem brygadier powrócił sam.

Tak,

Gdzie dorożkarz?

woźnic

Poprosił, ażeby mu wolno było pójść do kuchni,

y,

zjadł śniadanie, a potem...

który

A potem?

zatrzy

Uciekł.

mał

Z dorożką?

się ze

Nie. Pod pozorem, że chce zobaczyć swych

swoją

rodziców w Ouville, pożyczył sobie rower od

doroż-

stajennego. Zol stawił płaszcz i kapelusz.

ką i

Nie pojechał przecież z gołą głową?

popros

Wyjął z kieszeni czapkę i włożył ją na głowę.

ił o

Czapkę?

czapk

Tak. Z żółtej skóry.

ę

Ależ to niepodobna! Czapka leży tutaj.

szofer

To prawda, panie sędzio, ale on miał taką samą jak

ską z

pomocnik prokuratora zaśmiał się z cicha.

żółtej

skóry

To doskonale! Znakomite! Dwie czapki... Jedną

dla

prawdziwa, stanowiąca dla nas jedyny dowód

jedne-

rzeczowy, uciekła na głowie pseudodorożkarza!

go ze

Druga, fałszywa, jest w pańskim ręku. To nas

swych

wystrychnął!

klientó

Niech jadą za nim! Łapią! — krzyknął Filleul. —

w.

Brygadierze Quevillon, dwóch twoich ludzi niech

Była
pędzi, co koń wyskoczy!
tylko
Teraz jest już daleko — odezwał się pomocnik.
ta
Gdziekolwiek byłby, musimy go dostać!
Spodzi
kawałek papieru, złożony we czworo, na którym
ewam
napisano ołówkiem następujące, wyrazy:
się
„Biada pannie, jeżeli zabiła naczelnika.”
tego,
Zapanowało ogólne milczenie.
panie
—Dzielny chłop, ostrzega nas — szepnął pomocnik
sędzio
prokuratora.
, sędzę
jednak
, że
poszu
kiwani
a

nasze

potrze

bniejsz

e są

tutaj!

Proszę

przecz

ytać

tę

kartkę,

którą

znalazł

em w

kiesze

ni

płaszc

za.

Jakieg

o

płaszc

za?

Płaszcz

za

dorożk

arza.

Pomoc

nik

prokur

atora

podał

Filleul

owi

Panie hrabio — powiedział sędzia śledczy — błagam pana, proszę się nie trwożyć. A nade wszystko pani, panno Saint-Veran. Ta groźba jest bez znaczenia, ponieważ sprawiedliwość znajduje się tu na miejscu. Podejmiemy wszystkie środki ostrożności. Ręczę za pani bezpieczeństwo. Co zaś do panów — dodał zwracając się do reporterów — liczę na waszą dyskrecję. Uprzejmości mojej jedynie zawdzięczacie, że jesteście świadkami tego śledztwa i nieszlachetnie byłoby, gdybyście odwdzieczyli mi się...

Przerwał uderzony nagłą jakąś myślą; przyglądał się kolejno młodzieńcom, wreszcie podszedł do jednego z nich.

Które z pism wysłało pana tutaj?

„Journal de Rouen”.

Ma pan kartę redakcyjną?

Oto ona.

Dokument był w porządku. Niepodobna się było do niczego przyczepić. Filleul zapytał drugiego reportera:

A pan?

Ja?

Tak, zapytuję pana, z jakiej jest pan redakcji?

O mój Boże, panie sędzio, pisuję do wielu pism...

wszędzie po trochu...

Pańska karta redakcyjna?

Nie mam jej, panie sędzio.

A!... i dlaczegoż to?

Widzi pan, na to, żeby które z pism dało kartę,

trzeba w nim stale pracować.

No?

Ano, cóż, jestem tylko przypadkowym współpracownikiem. Posyłam wzmianki tu i tam, drukują je...

albo odrzucają, jak się zdarzy.

Jakże się więc pan nazywa? Jakie pan ma papiery.

Moje nazwisko nic panu nie powie. A papierów nie noszę przy sobie.

Nie masz pan żadnego dokumentu, stwierdzającego pański fach?

Nie mam żadnego fachu.

Ależ łaskawy panie! — krzyknął rozzłoszczony sędzia — dostawszy się tutaj podstępem i poznawszy tajemnice sprawiedliwości, nie wolno ci zachowywać incognito!

Racz pan sobie przypomnieć, panie sędzio śledczy że kiedy tu przyszedłem, nie pytałeś mnie pan o nic, po cóż więc miałem się sam zdradzać, a przy tym nie sądziłem, ażeby śledztwo, prowadzone przez pana, miało być tajnym, ponieważ byli przy nim obecni wszyscy... nawet jeden z przestępców.

Mówił cicho, z wyszukaną grzecznością. Był to mężczyzna bardzo młody, bardzo wysoki i bardzo chudy, ubrany bez żadnej elegancji w za krótkie palto i za ciasną marynarkę. Twarz miał różową, dziewczęcą, szerokie czoło, otoczone włosami ostrzyżonymi na jeża, nierówną, niedbale utrzymaną brodę i jasne mądre oczy.

Nie wydawał się ani trochę zmieszany i uśmiechał się miłym uśmiechem, w którym nie można było dostrzec śladu ironii.

Filleul przyglądał mu się z wyzywającym niedowierzaniem. Dwóch żandarmów wysunęło się na środek pokoju. Wówczas nieznajomy zawołał

wesoło:

Panie sędzio, przypuszczasz pan najwidoczniej, że należę do szajki rozbójników. Gdyby jednak tak było, czyżbym nie uciekł w odpowiedniej chwili za przykładem niego kolegi?

Mogłeś pan mieć nadzieję...

Wszelka nadzieja byłaby absurdem. Zastanów się pan nad tym, panie sędzio, a zgodzisz się pan ze mną, że logicznie...

Filleul spojrzał mu prosto w oczy i zapytał sucho:

Dość tych żartów! Pańskie nazwisko?

Izydor Beautrelet.

Pańskie zajęcie?

Słuchacz liceum Janson de Saily. Filleul zdumiony wytrzeszczył oczy.

Co mi pan pleciesz? Słuchacz liceum!...

W liceum Janson przy ulicy de la Pompe, numer...

- A! - krzyknął Filleul — kpi pan sobie ze mnie! To już nadto!

- Muszę przyznać, panie sędzio, że pańska niewiara zdumiewa mnie. I czemuż to nie miałbym być słuchaczem liceum Janson? Może wskutek mojej brody? Niech się pan uspokoi, broda jest przyprawiona.

Izydor Beautrelet wyrwał kilka pasm, upiększających jego podbródek, a wówczas ukazała się młodzieńcza twarzyczka, różowa, dziecinna, prawdziwie twarz studencka.

I w dźwięcznym, wesołym uśmiechu zabłysły jego białe zęby.

-Teraz się pan przekonałeś? Czy też potrzeba jeszcze panu dowodów? A więc przeczytaj pan słowa skreślone ręką mojego ojca na kopercie: „Panu Izydorowi Beautreletowi, uczniowi liceum Janson de Saily”.

Przekonany czy też nie, Filleul miał wciąż minę, z której łatwo było wywnioskować, że historia ta nie podoba mu się wcale. Po chwili zapytał ostro:

Co pan tu robi?

Ależ... ja się uczę.

Od tego jest liceum... pańskie...

Zapominasz pan, panie sędzio, że mamy dzisiaj 23 kwietnia, że zatem rozpoczęły się u nas ferie wielkanocne.

I cóż stąd?

A to, że podczas ferii wolno mi robić to, co mi się podoba.

Pański ojciec?...

Mój ojciec mieszka daleko, w głębi Savoie, a ja z własnej woli przedsięwziąłem tę wycieczkę nad brzegi La Manche.

Z przyprawioną brodą?

O, nie. Dopiero teraz ją nalepiłem. W liceum rozmawialiśmy często o różnych okropnych przygodach, czytaliśmy romanse kryminalne, w których ciągle się przebierano. Wymyślaliśmy rozmaite tajemnicze powikłania i sytuacje. Chciałem się zabawić, przyprawiłem sobie brodę, a pan tego nie zauważył i wziął mnie za reportera z Paryża.

Wczoraj wieczorem, po tygodniu podróży bez żadnych przygód, miałem przyjemność poznać mego kolegę z Rouen, a dzisiaj rano, dowiedziawszy się o wypadku w d'Ambrumesy, prosiłem, ażeby mi pozwolił towarzyszyć sobie i pokryć połowę kosztów za wynajęcie koni.

Izydor Beautrelet opowiedział to wszystko z wielką, nieco naiwną prostotą, której wdziękowi niepodobna się było oprzeć. Nawet Filleul, wciąż jeszcze niedowierzający słuchał z przyjemnością, a kiedy student skończył, zapytał go, już znacznie grzeczniej:

I jest pan zadowolony ze swej wycieczki?

Nad wyraz! Tym bardziej, że nigdy nie byłem obecny przy sprawach tego rodzaju, ta zaś nie pozbawiona jest interesu.

Ani tajemniczych powikłań, których pan tak bardzo pragnął.

I które są tak pociągające, panie sędzio! Nie znalazłem nigdy równie silnych wrażeń, jak teraz, patrząc, jak fakty wypływają na wierzch jeden po drugim, jak się grupują i jak z wolna składają się na przypuszczalną prawdę.

Przypuszczalną prawdę! Wyobraźnia ponosi cię, młodzieńcze! To znaczy, że ma pan już całkiem gotowe rozwiązanie tej zagadki?

O! nie — odrzekł ze śmiechem Beautrelet — tylko... zdaje mi się, że są tu takie punkty, iż wzięwszy je pod uwagę, niepodobna nie wytworzyć sobie jakiegoś zdania, a przy tym są to poszlaki tak wyraźne, że kierując się nimi, można... dojść do pewnego wniosku.

Hm! to się robi bardzo ciekawe i ja wreszcie czegoś się dowiem. Przyznaję bowiem z największym wstydem, że dotychczas nic nie wiem.

Ponieważ nie miał pan chwili czasu, aby pomyśleć, panie sędzio. Przede wszystkim pomyśleć.

Nigdy prawie nie zdarza się, aby fakty same w sobie nie zawierały objaśnienia.

A podług pana, fakty, przez nas wykryte, same w sobie zawierają objaśnienie?

Czy pan inaczej myśli? Nie dostrzegłem, doprawdy, innych faktów oprócz tych, które zostały wciągnięte do protokołu.

Doskonale! Gdybym więc zapytał pana, co została skradzione z tej sali?

Odpowiedziałbym, że wiem.

Brawo! Wie pan zatem więcej, aniżeli pan tego domu! Pan de Gesvres ma spis swych ruchomości; pani Beautrelet go nie ma. Brakuje mu zapewne biblioteki o potrójnych drzwiach i figury naturalnej wielkości, których nikt nie spostrzegł. A jeśli zapytam pana o nazwiska mordercy?

Odpowiem panu również, że znam je.

Obecni zadrżeli. Pomocnik prokuratora i reporter po; stąpili naprzód. De Gesvres i obie panny słuchali z natężoną uwagą, zdumieni spokojną pewnością młodzieńca.

Znasz pan nazwisko mordercy?

Tak.

A może i miejsce, w którym w tej chwili się znajduje?

Tak.

Filleul zatarł ręce.

Co za szczęście! Sprawa ta przyniesie zaszczyt mo-
jej karierze. I może mi pan zaraz udzielić swych
nadzwyczajnych informacji?

Tak, zaraz... albo lepiej, jeśli to panu nie
przeszkodzi, za godzinę albo dwie, kiedy dojdziemy
do końca pańskiego śledztwa.

—Nie, nie, natychmiast, mój młody panie...

W tej chwili Rajmunda de Saint-Veran, która od po-
czątku tej sceny nie spuszczała oczu z Izydora
Beautreleta, podeszła do Filleula.

Panie sędzio...

Czym mogę pani służyć?

Przez dwie czy trzy sekundy wahała się, wpatrzona
w studenta, po czym zwróciła się do Filleula:

—Poprosiłabym pana, aby raczył zapytać tego
młodzieńca, w jakim celu przechadzał się wczoraj
kończącą się u furtki drogą?

Efekt był nadzwyczajny. Izydor Beautrelet wydawał
się mocno zdziwiony.

—Ja, ja? Pani widziała mnie wczoraj? Doprawdy!

Rajmunda namyślała się, wpatrzona wciąż w
młodego

człowieka, jakby chcąc się upewnić, po czym rzekła

przyciszonym głosem:

Na drodze tej o godzinie czwartej po południu,
przechodząc pod lasem, spotkałam mężczyznę
pańskiego wzrostu, ubranego tak samo jak pan, z
wielką brodą, przystrzyżoną jak pańska... i czułam
najwyraźniej, że chce się ukryć.

I tym mężczyzną byłem ja?

Całkiem pewnie twierdzić tego nie mogę, ponieważ
wspomnienia te są nieco mgliste... Jednakże... jed-
nakże zdaje mi się... podobieństwo jest tak
szczególne...

Filleul nie wiedział co robić. Czyżby, oszukany już
przez jednego ze współników przestępstwa,
pozwolił

igrać ze sobą temu dzieciakowi, który chce uchodzić
za studenta? Zapewne, dobrowolne stawienie się
tutaj młodzieńca świadczyło na jego korzyść, czyż
można jednak zaręczać?...

I co pan na to powie?

Że panna de Saint-Veran myli się i że dowiodę tego,
wymówiwszy jedno tylko słowo. Wczoraj o tej porze
znajdowałem się w Dieppe.

Trzeba tego dowieść, trzeba dowieść, kochany pa-
nie. W każdym bądź razie zmienia to ogromnie

postać rzeczy. Brygadierze, jeden z twoich ludzi ma nie odstępować tego młodzieńca.

Na twarzy Izydora Beautreleta malował się wyraźnie gniew.

Czy to długo potrwa?

Dopóki nie zbierzemy potrzebnych wiadomości.

Panie sędzio, błagam pana, zbierz je pan jak najszybciej i w jak największej tajemnicy.

A to dlaczego?

Mój ojciec jest stary. Kochamy się z nim bardzo... nie chciałbym, aby niepokoił się z mego powodu.

Nieco płaczliwy ton jego głosu nie podobał się Filleulowi. Wszystko to przypominało melodramat.

Mimo to przyrzekł:

—Dzisiaj wieczorem... jutro najpóźniej będę wiedział, co dalej robić.

Zbliżało się południe. Sędzia śledczy wrócił do ruin klasztornych, usunąwszy uprzednio ciekawych, i cierpliwie, pedantycznie, podzieliwszy całą przestrzeń na małe kwadraty, sam począł prowadzić śledztwo. Ale zapadł

zmierzch, a poszukiwania nie posunęły się ani o krok dalej i sędzia oświadczył całej armii reporterów, którzy przez ten czas zapełnili zamek:

Panowie, wszystko każe nam przypuszczać, że raniony znajduje się tutaj, w naszym ręku, tymczasem w rzeczywistości nie ma go. A zatem, według mego zdania, musiał uciec i znajdziemy go prędzej czy później na zewnątrz.

Jednakże, przez ostrożność, po porozumieniu z brygadierem żandarmerii, sędzia ustawił straż przy parku i, obejrzawszy raz jeszcze obie sale, odjechał do Dieppe w towarzystwie swego pomocnika.

III. Ucieczka Beautreleta

Nadeszła noc. Ponieważ buduar był zamknięty, ciało Jana Davala przeniesiono do jego pokoju. Dwie kobiety, przy pomocy Zuzanny i Rajmundy, zajęły się ustawieniem katafalku. Na dole, pod pilnym nadzorem żandarma, młody Izydor Beautrelet spał na ławce w dawnym parlatorium. Wśród ruin i koło muru czuwali żołnierze, dzierżawca i kilkunastu wieśniaków.

Do godziny jedenastej panowała cisza, ale po jedenastej minut dziesięć na drugiej stronie zamku rozległ się wystrzał.

— Bacność — krzyknął brygadier. — Dwóch niech zostanie tutaj. Reszta za mną!

Puścili się pędem i obiegli zamek z lewej strony! W ciemnościach skradał się jakiś cień. Nagle drugi strzał pociągnął ich dalej, prawie już na folwark. I kiedy cała gromada podbiegła do płotu ogradzającego sad, na prawo od domu dzierżawcy zabłysnął ogień, a zaraz potem wzniosł się gęsty słup dymu. Palił się olbrzymi stóg siana!

—Rozbójnicy — krzyknął brygadier Quevillon — to oni podpalili. Nie mogą być daleko. Pędem!

Ale ponieważ wiatr unosił płomienie wprost na donicę należało przede wszystkim odwrócić niebezpieczeństwo! Wszyscy przystąpili do ratunku z tym większym zapalem że de Gesvres, przybiegłszy na miejsce wypadku, przyrzekł hojną nagrodę.

Kiedy wreszcie ogień opanowano, była druga godzina w nocy. Wszelka pogoń była próżna

Poszukamy w dzień — rzekł brygadier — musieli zostawić jakieś ślady... znajdziemy je.

Wiele bym dał za to, żeby się dowiedzieć o powódzie tego napadu — powiedział de Gesvres.

Podpalenie stogów siana jest przecież bezcelowe!

Chodź pan ze mną, panie hrabio... potrafię może wskazać panu przyczynę.

Podeszli razem do ruin klasztornych. Brygadier

zawołał swych żołnierzy. Nikt się jednak nie odezwał.

Żandarmi szukali już kolegów, których pozostawiono na straży, Wreszcie znaleziono ich o kilka kroków od furtki. Siedzieli na ziemi, związani, z chustkami na ustach i oczach.

Panie hrabio — szepnął brygadier — daliśmy się] podejść jak dzieci.

Jak to?

Strzały... napad... pożar... wszystko to było zrobione rozmyślnie, aby nas stąd oddalić...

Tymczasem naszych ludzi związano i zrobiono swoje.

—Jak to — zrobiono swoje?

Uniesiono rannego.

—Tak pan sądzisz?

—Czy tak sądzę? Ależ to najprawdziwsza prawda.

Już od dziesięciu minut o tym tylko myślę... Jakiż ze mnie głupiec, że wcześniej mi to nie przyszło do głowy. Można ich było wyłapać co do jednego.

Biedny brygadier był nieprzytomny z gniewu.

—Ale którądy, u diabła, którądy się oni dostali?

Którędy go wynieśli? I gdzie ten rozbójnik się

ukrywał? Przecież cały dzień łaziliśmy tutaj i nikt. tu nie mógł się

schować. To chyba jakieś czary!

Brygadier Quevillon nie mógł w żaden sposób
przyjść do siebie. O świcie, kiedy otworzono
parlatorium, służące za celę więzienną Izydorowi
Beautreletowi, skonstatowano, że Izydor Beautrelet
zniknął.

Na krześle, zgięty we dwoje, spał jego dozorca.

Koło niego stała karafka oraz dwie szklanki. Na dnie
jednej z nich widać było resztki jakiegoś białego
proszku.

Po przeprowadzeniu śledztwa, ustalono przede
wszystkim, że Izydor Beautrelet uraczył swego
dozorcę jakimś narkotykiem, następnie, że mógł
uciec tylko przez okno, znajdujące się na wysokości
dwóch i pół metra i wreszcie — ciekawy szczegół —
że nie mógł dostać się do tego okna inaczej, jak
tylko po plecach swego dozorca niczym po drabinie.:

IV. Nowe wiadomości. Porwanie doktora Delattre'a

W chwili, kiedy numer znajdował się już na maszynie
nadesłano nam wiadomość, za którą wszakże
odpowiedzialności nie ośmielamy się brać na siebie
— tak nam się wydaje nieprawdopodobna.

Przytaczamy ją też z powyższym zastrzeżeniem.

„Wczoraj wieczorem doktor Delattre, znakomity

chirurg, wraz z żoną i córką znajdował się na przedstawieniu Hernaniego w Comedie Francaise.

Na początku trzeciego aktu, to jest około godziny dziesiątej, drzwi jego łoży otwarły się, jakiś jegomość, któremu towarzyszyło dwóch panów, podszedł do doktora i rzekł doń szeptem, tak jednak głośno, że pani Delattre usłyszała:

Panie doktorze, podjąłem się niesłychanie trudnego zadania i byłbym panu ogromnie wdzięczny, gdybyś raczył mi je ułatwić.

Kto pan jesteś?

Tesard, komisarz policji z pierwszego cyrkułu. Kazano mi zaprowadzić pana do sędziego Dudouisa, do prefektury.

Ależ...

Ani słowa doktorze, błagam pana, ani jednego ruchu... zaszła nader przykra pomyłka, dlategoż musimy działać po cichu i nie zwracać na siebie uwagi. Nie wątpie ani chwili, że powróci pan przed skończeniem przedstawienia.

Doktor wstał i poszedł za komisarzem.

Do końca przedstawienia nie wrócili.

Ogromnie zaniepokojona, pani Delattre udała się do prefektury. Tam znalazła prawdziwego Tesarda i ku

swemu największemu przerażeniu przekonała się, że człowiek, który porwał jej męża, przedstawił się przybranym nazwiskiem.

Podczas śledztwa okazało się, że doktor siadł do samochodu i że samochód ten pojechał w stronę placu Zgody.

W następnym wydaniu naszego dziennika czytelnicy znajdą dalsze szczegóły tego nieprawdopodobnego a jednak prawdziwego zdarzenia".

Tak też było w rzeczywistości. Rozwiązanie nie dało zresztą na siebie czekać, a „Grand Journal”, potwierdziwszy wszystko wyżej powiedziane, w południowym swym wydaniu opowiedział wkrótce, jak się zakończył wypadek w teatrze.

Koniec historii i początek przypuszczeń.

„Dzisiaj rano, o godzinie dziewiętej, doktor Delattre został odwieziony przed drzwi domu nr 78 przy ulicy Duret w samochodzie, który natychmiast odjechał.

W domu pod nr 78 przy ulicy Duret znajduje się klinika, w której doktor Delattre ma ranne zajęcia o tej właśnie porze. Kiedy przyszlismy, rozmawiał z naczelnikiem policji, mimo to jednak raczył nas przyjąć.

— Mogę panom jedynie powiedzieć — brzmiała odpowiedź na nasze pytania — że obchodzono się ze

mną z największymi względami. Trzej moi towarzysze podróży okazali się ludźmi nadzwyczajnie miłymi, niezwykle uprzejmymi, dowcipnymi i rozmownymi, co było rzeczą, nader ważną, gdyż czekała nas długa droga.

Jak długo trwała podróż?

Około czterech godzin i tyleż prawie z powrotem.

A jaki był jej cel?

Przywieziono mnie do chorego, którego stan wymagał natychmiastowej pomocy chirurga.

I operacja się udała?

—Owszem, ale mogą nastąpić. Tutaj ręczyłbym za chorego. Tam... w warunkach, w jakich się znajduje...

Warunki są złe?

Jak najgorsze... Pokój w oberży... a przy tym absolutna niemożność doglądania chorego.

Cóż więc może go uratować?

Cud jakiś chyba... i wyjątkowo silna budowa.

Czy nic więcej nie mógłby pan nam powiedzieć o owym tajemniczym kliencie?

Nie mogę. Przede wszystkim — przysiągłem, a następnie otrzymałem dziesięć tysięcy franków na moją klinikę. Gdybym nie dotrzymał słowa, pieniądze te odebrano by mi.

Tak pan sądzi?

Jestem tego pewien. Wszyscy ci ludzie mieli, moim zdaniem, bardzo poważne miny.

Oto informacje, udzielone nam przez doktora

Delattre'a. Wiemy skądinąd, że i naczelnik policji, mimo wszelkich usiłowań, nie zdołał uzyskać bardziej szczegółowych

wiadomości ani o operacji, ani o chorym, ani też o miejscowościach, przez które przejeżdżał

samochód. Zdaje się że wykrycie- prawdy jest

niepodobieństwem". Tę trudną do wykrycia prawdę

poznały wkrótce bardziej przenikliwe umysły przy

pomocy zwykłego zestawienia wypadków, jakie dnia

poprzedniego zaszły w d'Ambrumesy, a które

dzienniki miejscowe . opisały z najdrobniejszymi

szczegółami. Jasnym było, iż pomiędzy zniknięciem

ranionego mordercy a porwaniem doktora istnieje

ścisły związek i należało wziąć to pod

uwagę.

Śledztwo wykazało słuszność tego przypuszczenia.

Zdążając śladem pseudodorożkarza, który zbiegł na

rowerze, wykryto, iż dojechał on do lasu,

położonego w odległości piętnastu kilometrów,

porzucił tam rower, a sam udał się do wsi Saint-

Nicolas, skąd wysłał depezę następującej treści:

A. L. N. Biuro 45, Paryż.

„Położenie rozpaczliwe. Operacja nieunikniona.

Przywieźcie doktora czternastą narodową.”

Dowód był niezbity. Otrzymałszy depezę, współnicy paryscy pośpieszyli wypełnić swe zadanie. O godzinie dziesiątej wieczorem wyprawili słynnego chirurga szosą nr 14, przechodzącą obok wyżej wzmiankowanego lasu i kończącą się w Dieppe. Tymczasem, dzięki pożarowi, urządzonemu przez bandę, uniesiono naczelnika i umieszczono w jakimś zajeździe, gdzie doktor dokonał operacji.

V. Co skradziono w zamku

Dotychczas wszystko było jasne. Naczelnny inspektor Ganimard, specjalnie delegowany z Paryża, wykrył w okolicach d'Ambrumesy ślady opon samochodowych, ginące nagle o pół mili od zamku oraz liczne odciski stóp na przestrzeni między furtką parku i ruinami klasztoru. Oprócz tego zauważył, że kłódka przy furtce była złamana.

Należało zatem odszukać tylko oberżę, o której współ minal doktor. Było to zadanie, na pozór bardzo łatwej dla inspektora Ganimarda, doświadczonego i cierpliwe detektywa. Liczba

zajazdów była ograniczona, ten zaś biorąc pod uwagę stan rannego, musiał się znajdować m
pobliżu d'Ambrumesy. Ganimard wraz z
brygadierem Quevillon'em udali się na
poszukiwania. Zwiedzili i obi szukali w promieniu
pięciuset metrów wszystko, cokolwiek mogło
uchodzić za oberżę. Mimo to jednaj umierający
wciąż pozostawał niewidzialny.

Ganimard tracił głowę. W sobotę powrócił na noc do
zamku z zamiarem rozpoczęcia poszukiwań na
nowo w niedzielę. Ale w niedzielę rano dowiedział
się, iż patrol żandarmerii zauważył w nocy jakiś cień
ludzki, skradaj jacy się po drugiej stronie murów.

Czy to czasem nie wspólnik, sprawdzający rezultaty
poszukiwań? Czy nie-l podobna przypuścić, iż
naczelnik bandy nie opuścili wcale klasztoru lub
też jego okolic?

Wieczorem Ganimard ostentacyjnie przeniósł
póstenek na stronę fermy, sam zaś, z pomocnikiem
swym Foliafantem, ulokował się za murem, przy
furtce.

Mniej więcej około północy wysunął się z lasu czło-
wiek, przeszedł pomiędzy nimi, otworzył furtkę i
wślizgnął się do parku. Widzieli, jak przez trzy

godziny chodził wśród ruin, nachylał się, odwalał odwieczne głązy, czasami kilka minut stał bez ruchu. Potem powrócił do furtki i przeszedł pomiędzy dwoma inspektorami.

Ganimard chwycił go za kołnierz, podczas gdy Foliafant trzymał go oburącz w pól. Nie stawiał oporu i najspokojniej w świecie dał się związać i odprowadzić do zamku. Ale kiedy chcieli, aby odpowiadał im na pytania, oświadczył po prostu, że nie jest obowiązany dawać żadnych wyjaśnień i że poczeka do przybycia sędziego śledczego.

Wtedy przywiązali go jak tylko mogli najmocniej do nogi łóżka w jednej ze swych sypialni.

W poniedziałek o godzinie dziesiątej rano, gdy zjawił się Filleul, Ganimard zawiadomił go o schwytaniu jeńca. Przyprowadzono go. Był to Izydor Beautrelet.

— Pan Izydor Beautrelet! —wykrzyknął Filleul, z widocznym zadowoleniem, podając obie ręce wchodzącemu. — Co za miła niespodzianka! Mamy wreszcie naszego sławnego detektywa-amatora!...

To się nazywa szczęście! Jaka nieoczekiwana pomoc. Panie naczelniku, pozwól pan sobie przedstawić pana Izydora Beautreleta, słuchacza liceum Janson de Saily.

Biedny Ganimard nie wiedział, gdzie się ma podziąć. Izydor ukłonił mu się z szacunkiem, jako starszemu koledze, i rzekł do Filleula:

Zdaje się, panie sędzio, iż otrzymał pan o mnie za dowalające referencje.

Wspaniałe! Przede wszystkim, był pan istotnie™™ Dieppe w chwili, gdy pannie de Saint-Veran wydało sil iż widziała cię na ścieżce. Nie ulega wątpliwości, że odnajdziemy pańskiego sobowtóra. A wreszcie, jest pan naprawdę Izydorem Beautreletem, uczniem liceum, i uczniem doskonałym, pracowitym, wzorowego sprawowania. Ojciec pański mieszka na prowincji, co miesiąc składasz pan wizytę adwokatowi jego, panu Bernod, który nie ma dość słów uznania dla pana.

Tak, że...

Tak, że jest pan wolny, panie Izydorze Beautrelet!

Zupełnie wolny?

Najzupełniej. Ach! Prawda, pod jednym jedynym małym warunkiem. Pojmuje pan, że nie mogę wypuścić człowieka uciekającego się do środków usypiających, wyskakującego przez okno i zatrzymywanego na miejscu zbrodni, gdy wałęsał się po prywatnych posiadłościach. Ta kiego człowieka

nie mogę przecież wypuścić bez okupić

Czekam.

Doskonale. Przypomnijmy więc rozmowę, którą nam przerwano i powiedz mi pan, jak daleko zaszedłeś w swych poszukiwaniach... W ciągu tych dwu dni musiałeś pan niemało dokonać.

Widząc, że Ganimard, oburzony tego rodzaju śledztwem, zamierza odejść, sędzia zawołał:

—To jeszcze nie koniec, panie inspektorze, pańskie miejsce jest tutaj... Zapewniam, że pana Izydora Beatreleta warto posłuchać. Jak się dowiedziałem, cieszy się on w swoim liceum opinią obserwatora, którego oku ujść nie zdoła, a koledzy uważają go, jak mi wiadomo za pańskiego konkurenta, za konkurenta Herlocka Sholmesa.

Doprawdy! — wycedził ironicznie inspektor.

Tak, tak. Jeden z tych młodzieńców napisał mi:

Jeżeli Beatrelet oświadcza, że coś wie, należy mu wierzyć, a to, co on powie, będzie niewątpliwie najzupełniej zgodne z prawdą. Panie Izydorze Beatrelet, trafia się właśnie sposobność uzasadnienia pochlebnej opinii pańskich kolegów.

Błagam pana, proszę powiedzieć wszystko, co panu wiadomo.

Izydor, wysłuchawszy z uśmiechem tej przemowy,

odparł:

Jest pan okrutny, panie sędzio. Drwi sobie pan z biednych uczniów, którzy bawią się, jak umieją.

Ma pan zresztą słuszość i nie dam już panu powodu śmiać się ze mnie.

To jest, nie wie pan nic, panie Izydorze

Beautrelecie?

Istotnie, wyznaję z całą skromnością, że nie wiem nic. Nie nazywam bowiem „wiedzieć coś” .odkrycia tych, paru faktów, które z pewnością nie uszły przed panem.

Na przykład?

Na przykład przedmiotu kradzieży.

Zarówno, jak i pan, jestem tego pewien. Jest to pierwsza rzecz, do której się zabrałem; zadanie okazało się nadzwyczaj łatwe.

Rzeczywiście, nadzwyczaj łatwe?

Ach, mój Boże, oczywiście. Tutaj trzeba było tylko pomyśleć.

Nic więcej?

Nic więcej.

I do czegoś doprowadziło pana to myślenie?

Oto do czego, bez żadnych komentarzy. Z jednej

strony, popełniono tu kradzież, gdyż obie panny zeznają jednakowo i rzeczywiście widziały dwóch ludzi którzy uciekając mieli jakieś rzeczy.

Kradzież popełniono.

Z drugiej strony, nic nie zginęło, ponieważ twierdzi tak pan de Gesvres, a nikt lepiej od niego wiedzieć nie może.

Nic nie zginęło.

Z tych dwóch faktów oczywiście trzeba wyciągnąć następujący wniosek: ponieważ kradzież została popełniona, a jednak nic nie zginęło, zatem przedmiot skradziony zastąpiono takim samym.

Pospieszam wszakże zastrzec się, iż rozumowania tego fakty mogą nie potwierdzić. Ale oświadczam, że to przede wszystkim winno było przyjść panu na myśl i wniosek ten możemy odrzucić dopiero po przeprowadzeniu ścisłego śledztwa.

To prawda... to prawda... — mruknął sędzia, nil ukrywając swego zainteresowania.

A więc — ciągnął dalej Izydor — cóż jest takiego w tej sali, co by mogło zwabić bandytów? Dwie rzeczy.

Przede wszystkim gobeliny. Ale to być nie może.

Stary gobelin niepodobna podrobić, fałszerstwo zaś natychmiast rzuciłoby nam się w oczy. Pozostają

obrazy Rubensa.

Co pan mówi?

Mówię, że cztery Rubensy, zawieszona na tej oto ścianie, są podrobione.

To niepodobna!

Są podrobione, a poza tym podrobione bardzo artystycznie.

Powtarzam panu, że to niepodobna!

Panie sędzio, mniej więcej przed rokiem, pewien młodzieniec, nazwiskiem Charpenais, zjawił się w zamku d' Ambrumesy i poprosił o pozwolenie namalowania kopii obrazów Rubensa. Pozwolenie to od pana de Gesvres otrzymał. W ciągu pięciu miesięcy Charpenais codziennie, od rana do nocy, pracował w tej sali. Przygotowywał kopie ram i obrazów, które zajęły miejsce czterech oryginałów, zapisanych panu de Gesvres przez wuja jego, markiza Bobadilla.

Dowiedź pan tego!

Dowieść tego nie mogę. Obrazy są podrobione, ponieważ je podrobiono i uważam, że nie zachodzi potrzeba przyglądania się im.

. Filleul, i Ganimard zamienili spojrzenia, nie ukrywając dłużej swego zdumienia. Inspektor nie myślał już

wychodzić.

Wreszcie sędzia odezwał się: — Trzeba by się dowiedzieć, co powie de Gesvres.

Ganimard przywtórzył:

—Trzeba by go zapytać.

I kazali poprosić hrabiego i aby przyszedł do sali.

Młodzieniec odniósł prawdziwe zwycięstwo.

Zmusić dwóch tak doświadczonych sadowników, jak

Filleul i Ganimard, do przyjęcia wniosku — był to

triumf tak wielki, że każdego innego napełniłby

pychą. Ale Beautreletow zdawał się nieczuły na

takie zadowolenie miłości własnej i uśmiechając się

spokojnie, bez śladu ironii, czekał. Wszedł hrabia.

—Panie hrabio — powiedział sędzia — śledztwo

niniejsze doprowadziło nas do pewnego, zgoła

niespodziewanego przypuszczenia, które wszakże

przyjmujemy z najwiękzszymi zastrzeżeniami. Być

może... mówię: być może..., że złodzieje dostawszy

się tutaj, mieli zamiast skraść pańskie cztery obrazy

Rubensa... albo przynajmniej zamienić je czterema

kopiami... kopiami, które przed rokiem sporządził

niejaki malarz Charpenais. Nie byłbyś pan łaskaw

przyjrzeć się tym obrazom i powiedzieć nam, czy to

są oryginały?

Hrabia, ledwie powstrzymując niezadowolenie,
spojrzał na Izydora Beautreleta, potem na Filleula, i
odparł! nie podchodząc nawet ku obrazom:

Miałem nadzieję, panie sędzio, że prawda nie zo-
ł stanie wykryta. Ponieważ jednak stało się inaczej,
bel wahania oświadczam; te cztery obrazy są
podrobione.

A zatem, wiedział pan o tym?

Od pierwszej chwili.

Czemuż dotąd nie powiedział pan tego?

Mój panie, właściciel jakiegoś cennego przedmiotu
nie śpieszy się nigdy z oświadczeniem, że
przedmiot ten nie jest... albo inaczej, już nie jest
oryginałem.

A jednak, był to jedyny środek na odszukanie ich.

Moim zdaniem, pozostaje jeszcze jeden, o wiele;
lepszy.

—Jaki?

Nie rozgłaszać tajemnicy, nie wystraszać moich
wrogów i zaproponować im odkupienie obrazów,
które muszą ich przecież nieco krępować.

Jakże się z nimi porozumieć?

A gdy hrabia nie odpowiadał, Izydor Beautrelet
rzekł:

Za pomocą ogłoszenia. Umieszcza je zazwyczaj

„Le Journal”, i „Le Matin”; głoszą one jedynie:

„Zgadzam się wykupić obrazy”.

Hrabia potwierdził skinieniem. Znowu młodzieniec przeszedł starszych.

Ale Filleul był doskonałym graczem.

Doprawdy, kochany panie — zawołał — zaczynam wierzyć, iż koledzy pańscy mieli najzupełniejszą słuszność. Do diabła!... co za przenikliwość, jaki rozum!... Jeżeli tak dalej pójdzie, to my obaj z Ganimardem nie mamy tu co robić.

O, ta sprawa nie była wcale skomplikowana.

Chce pan powiedzieć, że reszta jest trudniejsza?

Istotnie, przypominam sobie, że od pierwszej chwili miał pan taką minę, jakbyś o tym wszystkim dawno wiedział. O ile sobie przypominam, twierdził pan, że zna imię zabójcy.

To prawda.

A zatem, kto zabił Jana Davala? Czy człowiek ten żyje? Gdzie się ukrywa?

Pomiędzy nami, panie sędzio, a raczej pomiędzy panem a faktami rzeczywistymi od samego początku zaszło nieporozumienie. Zabójca i uciekający — to dwa zgoła odrębni ludzie.

Co pan mówi? — wykrzyknął Filleul. — Człowiek, którego pan de Gesvres widział w buduarze i z którym walczył, człowiek, którego panie widziały w sali, i di którego strzeliła panna de Saint-Veran, który upadł w parku, i którego poszukujemy, ten człowiek nie jest tym samym, który zabił Jana Davala?

Nie.

A zatem odkrył pan ślady trzeciego współnika! który zniknął przed przyjściem panien?

Nie.

W takim razie nic nie rozumiem... Któż jest zabójcą Jana Davala?

Jan Daval został zabity...

Beautrelet urwał, myślał przez chwilę, po czym powiedział:

Ale najprzód muszę przedstawić panu, w jaki sposób doszedłem do tego przekonania, a nawet odkryłem; przyczynę zabójstwa... inaczej oskarżenie moje wydałoby się panom potworne... A ono nie jest takim, nie, wcale takim nie jest... istnieje pewien szczegół, który nie został zauważony, a który ma jednak olbrzymią wagę, a mianowicie: Jan Daval w chwili śmierci ubrany był od stóp do głów, w

trzewikach, ubrany jak na dzień, w kołnierzyku!

krawacie i kamizelce. A tymczasem zbrodnia

popelniona i została o godzinie czwartej nad ranem.

Hrabia mówił mi, że Jan Daval zazwyczaj pracował po nocach.

Służba przeciwnie, twierdzi, że udawał się zawsze bardzo wcześnie na

spoczynek. Przypuśćmy jednak, że spał, po cóż

więc zgniótł swoje poślanie, aby myśleć że spał? A

jeśli spał, to dlaczego, usłyszawszy hałas ubrał się

od stóp do głów, zamiast cokolwiek na siebie

narzucić? Byłem tam w jego pokoju zaraz

pierwszego dnia, kiedy panowie jedli śniadanie: jego

pantofle stały przy łóżku. Dlaczego nie włożył ich

raczej, zamiast wciągać ciężkie, podkute trzewiki?

— Dotychczas nie widzę...

Dotychczas może pan istotnie widzieć same tylko

sprzeczności. Jednakże nie wydają się już one

podejrzany, gdy panom opowiem, że malarz

Clarpenais, który kopiował obrazy Rubensa — był

przedstawiony i polecony hrabiemu de Gesvres

przez tegoż samego Jana Davala.

No?

Ano, stąd tylko jeden krok do wyciągnięcia wniosku,

iż Jan Daval i Cliarpenais byli współnikami. Krok ten uczyniłem, gdy pan zbierał zeznania.

Zdaje mi się, że, nieco zbyt pośpiesznie.

To prawda, trzeba było dowodu rzeczowego. Jednakże w pokoju Davala, na jednej z kartek bloku znalazłem następujący adres, którego odbicie znajdowało się oprócz tego poniżej, na bibule:

„Panu A. L. N., biuro 45, Paryż”. Nazajutrz wykryto, iż depesza, wysłana przez fałszywego dorożkarza z

Saint-Nicolas, miała ten sam adres: „A. L. N. biuro 45”. Dowód rzeczowy istnieje. Jan Daval korespondował z bandą, która zorganizowała kradzież obrazów.

Filleul już się nie sprzeczał.

Dobrze. Wszystko jest ustalone. I cóż pan staj wnioskujez?

To przede wszystkim, że zbieg nie zabił Jana Davala, ponieważ Jan Daval był jego współnikiem. A w takim razie?

Panie sędzio, proszę sobie przypomnieć pierwsze! słowa, wypowiedziane przez hrabiego de Gesvres po, odzyskaniu przytomności — słowa, przytoczone przez pannę de Gesvres i wciągnięte do protokołu:

„Ja nie jestem raniony. A Daval?... Czy żyje?...

Nóż?” I proszę zestawić z tą częścią opowiadania,

również wciągniętego do protokołu, w której mówi o napadzie: „Mężczyzna rzucił się na mnie i uderzył mnie pięścią w głowę”. W jakiż sposób de Gesvres, straciwszy przytomność, mógł, odzyskawszy ją, wiedzieć, że Davala uderzono nożem? ;

Izydor Beautrelet nie oczekiwał odpowiedzi na swe pytanie. Zdawało się, że sam pragnie co prędzej na nie odpowiedzieć, uprzedzając wszelkie uwagi.

Ciągnął więc dalej!

—A zatem, właśnie Jan Daval wprowadził wszystkich trzech bandytów do tej sali. Podczas gdy plądrowali tutaj wraz z tym, którego zwali swoim naczelnikiem, w buduarze dał się słyszeć szmer. Daval otwiera drzwi. Ujrzawszy de Gesvresa, podbiega ku niemu z nożem w ręku. De Gesvres wyrywa mu się, uderza go i pada, powalony pięścią tego właśnie człowieka, którego panie spostrzegły w parę minut później.

I znowu Filleul i Ganimard zamienili spojrzenia.

Ganimard pokiwał głową, bardzo zmieszany. Sędzia rzekł:

—Panie hrabio, czy mogę wierzyć, aby wersja ta była prawdziwa?

Gesvres nie odpowiadał.

Doprawdy, panie hrabio, milczenie pańskie pozwala nam przypuszczać... Błagam pana, proszę mówić.

Gesvres powiedział wówczas głośno i dobitnie:

Wersja ta jest prawdziwa w każdym szczególe.

Sędzia podskoczył.

Nie rozumiem tedy, czemu pan nas wprowadził w błąd. Po co było ukrywać czyn, który miał pan prawo popełnić w obronie swego życia?

—Od lat dwudziestu przeszło — odparł de Gesvres

Daval pracował dla mnie. Ufałem mu. Jeżeli zdradził mnie z nieznanymi mi pobudek, pragnąłem, ażeby zdrada ta nie stała się publiczną tajemnicą.

Nie chciał pan, dobrze, ale powinien pan to być uczynić.

Nie podzielam pańskiego zdania, panie sędzio. Do chwili, kiedy nikt jeszcze nie został oskarżony o to zabójstwo, uważałem, że powinienem nie obwiniać tego, który był równocześnie przestępcą i ofiarą. On umarł. Sądzę, że śmierć jest dostateczną karą.

Ale teraz, panie hrabio, teraz, kiedy prawda została wykryta, musi pan mówić.

Tak. Oto bruliony dwóch listów, które wysłał do swoich współników. Wyjąłem je z portfela w parę minut po jego śmierci.

A kto namówił go do kradzieży?

Udajcie się panowie do Dieppe, dom pod nr 18, przy ulicy de la Barre. Mieszka tam głośna pani Verdier.

Daval popełnił kradzież dla tej kobiety, żeby dopomóc jej swymi pieniędzmi w potrzebie, poznał ją przed dwoma laty.

Tajemnica była wyjaśniona. Dramat wyłaniał się J wolna z mroków na światło dzienne.

Idźmy dalej — powiedział Filleul, gdy hrabia odszedł do swych pokojów.

Daję słowo — zawołał Beautrelet wesoło — jestem już prawie przy końcu mojej epopei.

Ale zbieg raniony.

Co do tego, panie sędzio, wie pan tyle, co i ja.

Wyśledził pan jego ślady na trawie koło ruin klasztornych... widział...

Tak, tak, widziałem... ale potem oni go stąd porwali: chciałbym dowiedzieć się czegokolwiek o tej oberży.

Izydor Beautrelet wybuchnął głośnym śmiechem.

Oberża! Oberża nie istnieje! To bajka, ułożona dla zamydlenia oczu, wspaniała bajka, ponieważ w nią uwierzono.

Jednak doktor Delattre twierdzi...

A, prawda — wykrzyknął z głębokim przekonaniem

Beautrelet. — Ponieważ doktor Delattre tak twierdzi, nie trzeba mu wierzyć. Doktor Delattre zgodził się podać jak najbardziej nieokreślone wiadomości o swej przygodzie. Nie chciał powiedzieć nic, co by zagrażała bezpieczeństwu jego klienta... A więc odwraca uwaga sprawiedliwości, posyłając ją do jakiejś oberży! Ależ proszę być pewnym, że jeśli wymówił wyraz „oberża”, to ma tak kazano. Cała ta historia, którą nam opowiedział, zół stała mu podyktowana pod groźbą najokrutniejszego prześladowania. Doktor ma żonę. Doktor ma córkę. Nazbyt je kocha, ażeby miał być nieposłuszny ludziom, których potęgę działania zna. Oto dlaczego na pytania wasze dał tak dokładne odpowiedzi. Tak dokładne, że oberży ani znaleźć. Tak dokładne, że nie przestaniecie jej poszukiwać, wbrew wszelkiej logice; tak dokładne, iż oczy wasze odwrócą się od jedyne miejsce, w którym ten człowiek może się znajdować, od tego tajemniczego miejsca, którego nie opuszczał, którego nie mógł opuścić od chwili, kiedy, raniony przez pannę de Saint-Voran, zdołał prześliznąć się tam, jak zwierzę do swego legowiska.

—Ale gdzie, gdzie, u diabła?... W jaką piekielną

nore?..

W ruinach starego opactwa. '

Ależ ruin już nie ma! Parę metrów muru!... Kilka kolumn!...

Tam też właśnie się zakopał, panie sędzio — zawołał z ożywieniem Beautrelet — w tym miejscu zatrzymać się winny pańskie poszukiwania! Tam właśnie, a nie gdzie indziej znajdziecie Arsena Łupina.

Arsena Łupina! — krzyknął Filleul, podskakując na krześle.

Nastąpiła uroczysta cisza. Wymówiono bowiem sławne imię. Czy to możliwe, aby Arsen Lupin był tym zwyciężonym, a jednak niewidzialnym przeciwnikiem, na którego polowano na próżno od tylu już dni? Arsen Lupin, aresztowany, osadzony w więzieniu — dla sędziego śledczego to natychmiastowy awans, szczęście, sława!

Ganimard milczał. Izydor zapytał go:

Zgadza się pan ze mną, panie inspektorze?

Niech diabli porwą!

Nieprawda, że pan wiedział od pierwszej chwili, J nikt inny oprócz niego nie mógł być organizatorem tego dzieła?

Oczywiście! Na sprawie tej jest jego podpis. Czyny Arsena Lupina tak są odmienne od czynów każdego innego, jak jeden człowiek od drugiego. Trzeba było tylko otworzyć oczy.

Tak sędzicie... tak sędzicie... —powtarzał Filleull
Czy ja sędzę! — wykrzyknął młodzieniec. — Weźmy, chociażby ten drobny szczegół: pod jakimi inicjałami prowadzono korespondencję? A. L. N. — jest to pierwsza litera imienia Arsena oraz pierwsza i ostatnia nazwiska Lupina.

Ach! — rzekł Ganimard — nic nie ujdzie pańskie! mu oku. Daję słowo, mądry z pana człowiek, stary Ganimard składa broń.

Beautrelet aż poczerwieniał z zadowolenia, gorąca ściskając dłoń, którą mu podał inspektor.

Wszyscy trzej podeszli do balkonu, a spojrzenia ich skierowały się na ruiny. Filleul zamruczał:

—A zatem byłby tutaj.

Co? Jest tutaj — powiedział Beautrelet głucho. —I

Jest tutaj od chwili, jak upadł. Teoretycznie i praktycznie nie mógł uciec niezauważony przez pannę de Saint-Vel ran oraz dwóch służących.

W jaki sposób dowiedzie pan tego?

Dowodów dostarczyli nam jego wspólnicy. Także

jeden z nich przebrał się za dorożkarza i przywiózł,
żeby ukraść czapkę, dowód rzeczowy.

Przypuśćmy, ale również i przede wszystkim, aby
zobaczyć samemu, co się stało, i żeby widzieć się z
szefem.

I widział się?

Myślę, że on znał tajemną kryjówkę. I przypusz-
czam, że rozpaczliwy stan jego pana wzburzył go
do ostateczności, ponieważ pod wpływem niepokoju
popęłił lekkomyślność niesłychaną, napisawszy
groźbę: „Biada pannie , jeżeli zabiła naczelnika”.

Ale przyjaciele jego mogli go potem stąd porwać.

Kiedy? Pana ludzie nie opuszczali ruin. Przy tym,
dokąd go mieli przenieść? Co najwyżej o paręset
metrów, bo umierający nie może przecież

przedsięwziąć podróży... wówczas bylibyście go

znaleźli. Powiadam panu, że on tu jest. Nigdy

przyjaciele jego nie mogliby dlań znaleźć

pewniejszego schronienia. Tutaj też przywieźli dok-
tora, kiedy żandarmi, jak dzieci, pobiegli na odgłos
strzału.

Ale jakże on żyje? Jakże żyć będzie? Do życia po-
trzeba jedzenia, picia! .

Nie mogę nic więcej powiedzieć... nic nie wiem... ale

on jest tutaj, przysięgam panu. Jest tutaj, ponieważ
nie może tutaj nie być. Jestem tego tak pewien,
jakbym go widział, jakbym go dotykał. On jest tutaj.
I wyciągnąwszy palec w kierunku ruin, zarysował w
powietrzu kółeczko, stopniowo je zmniejszając, aż
zmieniło się w punkcik. Obaj jego towarzysze
szukali uporczywie tego punktu, obaj pochyłem
naprzód, obaj ożywieni
tą samą wiarą, co i Beautrelet, i drżąc z tego
samego co on wzruszenia. Tak, Arsen Łupin był
tutaj. Żaden z nich wątpić już o tym nie mógł.

A jeżeli umarł? — zapytał szeptem Filleul.

Jeżeli umarł — rzekł Beautrelet — i jeżeli jego to-
warzysze dowiedzą się o tym, drzyjcie o życie panny
de Saint-Veran, panie sędzio, bo zemsta będzie
strasзлиwa.

Minęło kilka minut i mimo prośby Filleula, zgadzają-
cego się w zupełności ze swym sympatycznym
pomocnikiem, Izidor Beautrelet, którego ferie tego
dnia właśnie się kończyły, udał się do Dieppe.

Przyjechał do Paryża o godzinie piątej, o Ósmej zaś,
wraz ze swymi towarzyszami, wchodził w bramę
liceum Janson.

Ganimard, po przeprowadzeniu ścisłych, lecz mimo

to próżnych poszukiwań w ruinach opactwa

d'Ambrumesy, wrócił wieczornym pociągiem do

Paryża. Przyjechawszy do domu, znalazł list,

wysłany pocztą pneumatyczną, następującej treści:

Panie inspektorze!

Mając trochę wolnego czasu, zebrałem nieco

dodatkowych wiadomości, które zapewne pana

zainteresują.

Od roku już blisko Arsen Łupin mieszka w Paryżu

pod nazwiskiem Stefana de Vaudreix. Jest to

nazwisko, które czytał pan zapewne niejednokrotnie

w kronice światowej lub też sprawozdaniach

sportowych. Amator przygód, często podróżuje, i

wówczas, jak powiada, poluje bądź na tygrysy w

Bengalu, bądź na brunatne niedźwiedzie na Syberii.

Mówi, że prowadzi interesy, chociaż nie wiadomo

właściwie jakie.

Obecne miejsce jego zamieszkania: ulica Marbeuf

36. (Proszę zauważyć, że ulica Marbeuf znajduje się

w pobliżu biura pocztowego nr 45). Od czwartku 23

kwietnia poprzedzającego wypadki w d'Ambrumesy

o Stefanie de Vaudreix nie ma żadnych wiadomości.

Proszę przyjąć, panie inspektorze, zapewnienie

mego najgłębszego szacunku

Izydor Beautrelet

PS. Proszę nie myśleć, że wiele kosztowało mnie otrzymanie tych wiadomości. W sam dzień przestępstwa, kiedy Filleul prowadził śledztwo, przysłała mi szczęśliwa myśl obejrzenia czapki zbiega, zanim fałszywy dorożkarz zdołał ją zamienić.

Dość mi było; nazwiska kapelusznika, ażeby pochwycić nią, która doprowadziła mnie do poznania nazwiska klienta oraz miejsca jego zamieszkania.

Nazajutrz rano Ganimard udał się na ulicę Marbeuf pod nr 36. Zebrawszy informacje u szwajcara, kazał sobie otworzyć mieszkanie na pierwszym piętrze, elegancki apartament, w którym zresztą nie znalazł nic, oprócz popiołu w kominku. Cztery dni temu dwóch przyjaciół pana de Vaudreix spaliło wszystkie kompromitujące papiery.

Jednak wychodząc z bramy Ganimard natknął się na listonosza niosącego list do pana-de Vaudreix.

Sędzia śledczy, prowadzący tę sprawę, zbadał list.

Pochodził on z Ameryki, pisany był po angielsku, brzmiał zaś, jak następuje:

Szanowny Panie!

Powtarzam odpowiedź, daną pańskiemu agentowi.

Z chwilą, gdy cztery obrazy de Gesvresa znajdują się

w pańskim mieszkaniu, proszę mi je wysłać przy pierwszej sposobności.

Proszę dołączyć do przesyłki resztę, jeśli się panu powiedzie, o czym bardzo wątpię.

Nieprzewidziana przeszkoda zatrzymuje mnie tutaj, tak że będę mógł przyjechać dopiero razem z tym listem. Znajdzie mnie pan w Grand-Hotelu.

Podpisano: Harlington

Tegoż dnia Ganimard, zaopatrzony w specjalny rozkaz, dostawił do biura policji sir Harlingtona, obywatela amerykańskiego, oskarżonego o współnictwo w kradzieży i przechowywaniu łupu.

W ciągu dwudziestu czterech godzin zatem, dzięki zgoła niespodziewanym wskazówkom siedemnastoletniego chłopca, pochwycono wszystkie nici intrygi. W ciągu dwudziestu czterech godzin zburzono plan jego współników co do uratowania swego naczelnika; pojmanie Arsena Lupina ranionego, umierającego, nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości; banda jego była zdezorganizowana, dowiedziano się o jego schronieniu w Paryżu, maska, pod którą się ukrywał, została zerwana.

Wszystko to wzbudziło wśród publiczności

zdumienie, zachwyty i ciekawość. Już jakiś reporter z Rouen w bardzo zręcznym artykule przytoczył pierwsze zeznania młodego studenta, opisując jego uprzejmość, naiwny wdzięk i spokojny humor. Nieostrożność Ganimarda i Filleula, niedyskrecje, które mimowolnie popełniali, dając się unieść niezadowoleniu, od razu postawiły Izydora Beautreleta w nader korzystnym świetle, zyskując dlań sympatię publiczności. Jemu jednemu należało się całe uznanie.

VI. Pierwsza przestroga

Namiętności były wzburzone. Izydor Beautrelet wyrósł na bohatera, a tłum, łatwo się entuzjazmujący, żądał najściślejszych szczegółów o swym ulubieńcu. Reporterzy byli na usługi. Rzucili się gromadnie na liceum Janson de SAILLY, pilnowali godzin rekreacji/ badając uczniów i skrzętnie zbierając wszystko, co w ten lub inny sposób dotyczyło osoby Izydora; dowiedzieli się, jaką opinię ma wśród kolegów ten, którego nazywali konkurentem Herlocka Sholmesa. Posługując się rozumem swym i logiką, bez innych wskazówek ponad te, które zamieszczono w pismach, kilkakrotnie już wskazał rozwiązanie bardzo skomplikowanych wypadków, w których

policja orientowała się dopiero znacznie później.

W liceum Janson największą rozrywką było zadawanie Izydorowi

trudnych zapytań, zadań prawie nie do rozwiązania,

i przyjemnie było patrzeć, z jaką pewnością, przy

pomocy jedynie logicznych wniosków odszukiwał

drogę wśród najgłębszych ciemności. Na dziesięć

dni przed aresztowaniem sklepikarza Jarisa wskazał

korzyść, jaką można wyciągnąć ze zgubionego

parasola. W dramacie z Saint-Cloud twierdził od

początku, iż szwagier jedynie mógł popełnić

zbrodnię.

Ale najciekawsze było ćwiczenie jego, krążące

wśród wychowanków liceum, ćwiczenie, przepisane

na maszynie i odbite w dziesięciu egzemplarzach,

na temat: Arsen Łupin, jego metoda, w czym jest

naśladowcą, a w czym oryginalny — na zasadzie

porównania angielskiego humoru z francuską ironią.

Było to poważne studium każdej przygody Arsena,

w którym czyny słynnego włamywacza Beautrelet

opisywał nadzwyczaj obrazowo, wykazując cały

mechanizm jego kradzieży, jego oryginalną taktykę,

przytaczając jego listy w dziennikach, jego groźby,

wzmianki o jego przestępstwach, wszystkie, jednym

słowem, sposoby wystraszenia swych ofiar i wprowadzania ich w taki stan ducha, że same prawie biegły na swą zgubę.

Ciekawy był widok, jak wszyscy wielbiciele odwrócili się od Arsena Łupina, jak sympatia tłumu otoczyła Izydora Beautreleta w rozpoczętej przez tych dwóch ludzi walce przewidywano zawczasu, że zwycięstwo będzie po stronie młodego studenta.

W każdym bądź razie, cała policja śledcza w Paryżu, z sędzią Filleulem na czele, żałowała, że pozwolili* mu triumfować.

Sytuacja zaś była następująca: z jednej strony nie zdołano wyjaśnić roli sir Harlingtona, jak również zdobyć pozytywnego dowodu jego przynależności do szajki Łupina. Wspólnik czy też nie, milczał uporczywie. Co więcej, po zbadaniu charakteru jego pisma, nie ośmielono się twierdzić, ażeby był autorem słynnego listu. Sir Harlington, zaopatrzony w mały sakwojaż i notes, zatrzymał się w Grand-Hotelu; oto wszystko, co wiedziano na pewno.

Z drugiej strony w Dieppe Filleul zajmował pozycje zdobyte dla niego przez Beautreleta. Nie posuwał się ani o krok naprzód. Dokoła człowieka, którego panna de Saint-Veran w przeddzień wypadków

wzięła za Izydora Beautreleta — wciąż ta sama tajemnica. Te same mroki otaczały wszystko, cokolwiek miało związek z porwaniem czterech obrazów Rubensa. Co się z nimi stało? Jaką drogą jechał pojazd, który zabrał je w nocy?

Aż do samej Sekwany ślady były widoczne.

Codziennie agenci Filleula robili poszukiwania w ruinach. Prawie codziennie rozpoczynał osobiście śledztwo od początku. Ale stąd do odkrycia schronienia, w którym umierał Łupin — jeżeli przypuszczenie Beautreleta było zgodne z prawdą — tak daleko, iż sędzia odległości tej zmierzyć nawet nie był w stanie.

Czyż wobec tego nie było naturalne, że wszyscy zwrócili się do Izydora Beautreleta? On jeden miał moc rozpraszania ciemności, które bez niego stawały się jeszcze gęstsze, jeszcze bardziej nieprzeniknione! Dlaczego on nie weźmie się do tej sprawy? Zaszedł już tak daleko, że jeden wysiłek tylko, a znalazłby się u celu.

Pytanie to zadał mu redaktor „Grand Journal” pewnego razu, gdy zdołał wcisnąć się do liceum Janson pod zmyślonym nazwiskiem Bernota.

Na to zaś odpowiedział mu bardzo rozsądnie

Beautrelet:

— Łaskawy panie, na świecie istnieje nie tylko

Arsen Lupin, istnieją nie tylko

historie włamywaczy i detektywów, jest jeszcze

rzecz nazywająca się bakalarstwem. A zatem,

kończę nauki w lipcu. Teraz mamy maj. Nie chcę

przepaść przy egzaminach. Co by na to powiedział

mój poczciwy ojczulek?

A co by powiedział, gdyby pan oddał w ręce spra-

wiedliwości Arsena Lupina?

No, na to mamy jeszcze czas. W najbliższy wolny

dzień...

To jest na Zielone Świąta?

Tak. W sobotę, 6 czerwca, wyjadę pierwszym po-

ciągiem.

I wieczorem tegoż dnia Arsen Łupin będzie schwy-

tany?

Proszę zostawić mi czas do niedzieli — prosił śmie-

jąc się Izydor.

— Na co ta zwłoka? — najpoważniej w świecie iryto-

wał się redaktor.

Tę niepojętą wiarę, obudzoną tak niedawno, a tak

już niezachwianą, odczuwali względem Izydora

wszyscy, jakkolwiek w rzeczywistości fakty

potwierdzały ją do pewnego tylko stopnia. Ale to nic!

Wierzono mu. Nic dla niego nie wydawało się zbyt trudne. Oczekiwano odeń tego, czego można było jedynie oczekiwać od jakichś nadzwyczajnych mediów: jasnowidzenia, doświadczenia, zręczności.

Szósty czerwca! Data ta figurowała we wszystkich dziennikach. Szóstego czerwca Izydor Beautrelet wsiądzie do pośpiesznego pociągu, a wieczorem Arsen Łupin zostanie aresztowany.

O ile do tej pory nie ucieknie... — dodawali stronnicy wielkiego włamywacza.

Niepodobna! Wszystkie wyjścia są strzeżone.

A więc, o ile nie umrze wskutek ran — mówili wielbiciel, którzy woleli śmierć, aniżeli porażkę swego bohatera.

Ale natychmiast następowało zaprzeczenie:

—Gdyby nie żył, wspólnicy jego już by o tym wiedzieli, jak powiedział Beautrelet; Arsen Łupin byłby pomszczony.

Nadszedł szósty czerwca. Z pół tuzina reporterów oczekiwało Izydora na dworcu Saint-Lazarre. Dwóch z nich chciało mu towarzyszyć. Ledwo ich ubłagał, żeby tego nie czynili.

Jechał więc sam. Przedział był pusty. Zmęczony

nocami spędzonymi nad książką, zasnął wkrótce głębokim snem. Przez sen czuł, jak pociąg stawał na stacjach, jak wchodzili i wychodzili jacyś ludzie. Zbudziwszy się w pobliżu Rouen, był znowu sam w przedziale. Ale wzrok jego przyciągał wielki arkusz, przymocowany szpilką do oparcia przeciwległej ławki. Na papierze czernił się napis:

„Każdy ma swoje interesy. Zajmij się własnymi. Inaczej źle będzie z tobą”.

—Doskonale! — zawołał, pocierając z zadowoleniem ręce. — Nieświetnie mu się widocznie dzieje.

Groźba ta równie jest bezsensowna, jak i groźba fałszywego dorożkarza. Co, za styl! Od razu widać, że to nie Lupin pisał.

Pociąg wpadł do tunelu, zapowiadającego bliskość starego normandzkiego grodu.

Na dworcu Izydor przeszedł się, aby wyprostować nogi. Zamierzał już wejść z powrotem do swego przedziału, gdy nagle krzyknął. Przechodząc koło księgarni mimowoli odczytał na pierwszej stronie dodatku nadzwyczajnego „Journal de Rouen” następujące wiersze, okropne znaczenie których uderzyło go natychmiast:

„Ostatnie wiadomości — Telefonują nam z Dieppe, iż nocy dzisiejszej do zamku d'Ambrumesy wdarli się złoczyńcy, którzy związali pannę de Gesvres, zakneblowali jej usta i porwali pannę de Saint-Veran. W odległości pięciuset metrów od zamku znaleziono ślady krwi, a nieco dalej wstążkę, również zakrwawioną. Należy przypuszczać, że dziewczę nie żyje.”

Izydor Beautrelet do samego Dieppe siedział bez ruchu. Zgięty we dwoje, wsparłszy się łokciami na kolanach i opuściwszy głowę na dłonie, rozmyślał. W Dieppe najął karete. Przy wjeździe do d'Ambrumesy spotkał sędziego, który potwierdził straszliwą wiadomość.

I nic pan więcej nie wie? — zapytał Beautrelet.

Nic. Zaraz wracam.

W tej chwili podszedł do nich brygadier żandarmerii, podając sędziemu skrawek papieru, pomięty, poszarpany, żółkły, który został podniesiony w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono wstążkę. Filleul obejrzał go, potem oddał Izydorowi ze słowami: —No, to niewiele pomoże panu w poszukiwaniach.

Beautrelet odwrócił papier. Pokryty cyframi, punktami i znakami, zawierał on dokładny rysunek

tego, co podajemy niżej:

2.1.1..2..2.1.

.1..1...2.2.

.2.43.2..2.

.45.-2.4.. .2. .2.4.. 2

D d?D 19 + F 44 ^

13.53..2

..25.2

VII. Czy panna de Saint-Veran została

zamordowana?

O godzinie szóstej wieczorem, ukończywszy wszystkie czynności, Filleul w towarzystwie sekretarza Bredoux czekał na powóz, mający go odwieźć do Dieppe. Był wzruszony, niespokojny.

Dwukrotnie zapytywał:

Nie widział pan młodego Beautreleta?

Nie widziałem, panie sędzio.

Gdzie, u diabła, może się on podziewać? Nie widziano go nigdzie od południa.

Nagle przyszła mu jakaś myśl; oddał portfel sekretarzowi i puścił się pędem przez dziedziniec zamkowy ku ruinom.

Koło arkady, leżąc na wznak na ziemi, usianej sosnowymi igłami, z rękoma podłożonymi pod

głowę, drzemał Izydor Beautrelet.

—: Co się stało, co ci jest, młodzieńcze? Śpi pan?

—Nie śpię — myślę.

Od rana?

Od rana.

Jest o czym myśleć! Trzeba wszystko obejrzeć.

Trzeba poznać fakty; szukać wskazówek, ustalić

punkty wyjścia, a potem dopiero można

zszeregować to w myśli i wykryć prawdę.

Tak wiem... To zwykła metoda... niewątpliwie bardzo

dobra. Ale ja mam inną... najpierw myślę, staram się

odnaleźć nić przewodnią, a potem stwarzam jakąś

rozumną, logiczną fabułę, która by odpowiadała tej

ogólnej idei. I wówczas dopiero sprawdzam, czy

fakty dadzą się zastosować do mojej hipotezy.

Śmieszna metoda! Z gruntu nieprawidłowa!

Moja metoda jest prawidłowa, a pańska — nie,

panie sędzio.

Ale fakty pozostają zawsze faktami.

Z niektórymi przeciwnikami, tak. O ile jednak

nieprzyjaciel posiada przebiegłość, to wówczas nie

jest faktem to, co on czyni. Te osławione poszlaki,

na których opiera pan całe swoje śledztwo, mógł on

sam rozwiązać. A mając do czynienia z takim

przeciwnikiem, jak Arsen Łupin, przekona się pan, dokąd one doprowadzą; jakie błędy i głupstwa będzie pan popełniać! Nawet Herlock Sholmes wpadł w pułapkę.

Arsen Lupin nie żyje.

Przypuśćmy. Ale została jego szajka, a uczniowie takiego mistrza sami są mistrzami.

Filleul wziął Izydora za rękę i zmuszając go, aby powstał z ziemi, rzekł:

—Słowa, słowa, młodzieńcze. Oto, co tutaj jest najważniejsze. Tylko proszę mnie uważnie słuchać. Ganimard, który wyjechał do Paryża, wróci dopiero za kilka dni. Z drugiej strony, hrabia de Gesvres telefonował do Herlocka Sholmesa i ten przyrzekł swoją pomoc w przyszłym tygodniu. Młodzieńcze, zali sądzisz, że będzie bardzo przyjemnie powiedzieć tym dwóm sławom w dniu ich przyjazdu: „Przykro nam, kochani panowie, ale niczego nie mogliśmy się dowiedzieć. Sprawa skończona!”

Nie można było bardziej szczerze przyznać się do swej bezsilności, aniżeli uczynił to poczciwy Filleul. Izydor powstrzymał śmiech i, udając naiwnego, rzekł:

Przyznam się panu, panie sędzio, że jeśli towarzy-
szyłem panu

tylokrotnie przy śledztwie, to jedynie w nadziei, że
zgodzi się pan powiadomić mnie o swoich rezul-
tatach. Zatem cóż pan wie?

Dobrze, grajmy w otwarte karty. Wczoraj wieczorem
o godzinie

jedenastej trzej żandarmi, pozostawieni przez
brygadiera Quevillon na straży w zamku, otrzymali
od swego zwierzchnika rozkaz, wzywający ich jak
najśpieszniej do Dieppe, gdzie obozuje ich brygada.

Dosiedli natychmiast koni, a przyjechawszy do
Dieppe...

Przekonali się, że ich oszukano, że rozkaz był sfał-
szowany i że nie

pozostaje im nic innego, jak powrócić do
d'Ambrumesy.

Co też zrobili, pod dowództwem brygadiera Que-
villon. Ale

nieobecność ich trwała półtorej godziny, a w ciągu
tej półtorej godziny popełniono przestępstwo.

W jakich warunkach?

W warunkach nader prostych. Zabraną z folwarku
drabinę przystawiono

do trzeciego piętra. Zasuwę przepiłowano, okno otwarto. Dwóch mężczyzn z latarniami dostało się do pokoju panny de Gesvres i zakneblowało jej usta, zanim zdążyła zawołać o pomoc. Potem, skrępowawszy ją sznurem, ostrożnie uchylili drzwi do pokoju, w którym spała panna de Saint-Veran. Panna de Gesvres usłyszała stłumiony jęk, potem szamotanie. Po chwili zobaczyła, jak dwóch mężczyzn niosło jej kuzynkę, także skrępowaną i z zakneblowanymi ustami. Przeszli koło niej i zniknęli w oknie. Panna de Gesvres z przerażenia straciła przytomność.

A psy? Wszakże hrabia kupił dwa na wpółdzikie owczarki, które na noc spuszczano z łańcucha.

Znaleziono je martwe, otrute.

Ale kto to zrobił? Nikomu nie pozwalały zbliżyć się do siebie.

Tajemnica! Wiadomo tylko, że dwóch mężczyzn przeszło bez przeszkody ruiny i umknęło przez furtkę. Potem puścili się w las... W odległości mniej więcej pięciuset metrów od zamku, pod drzewem zwanym Wielkim Dębem zatrzymali się... i naradzili, jak mają dalej postępować.

A czemu, jeśli przyszli w zamiarze zabicia panny de Saint-Veran, nie zamordowali jej w swoim pokoju?

Nie wiem. Być może, że okoliczność, która wpłynęła na ich postanowienie, zdarzyła się dopiero po wyjściu z zamku. Być może, że panna de Saint-Veran zdołała się uwolnić z więzów. Ja myślę, że wstążka, którą znaleziono, krępowała jej rękę. Jakkolwiek bądź, została zamordowana pod Wielkim Dębem. Zebrane przeze mnie poszlaki nie zostawiają żadnej wątpliwości...

A ciało?

Ciała nie znaleziono, co nas dziwić nie powinno.

Zdążając za śladem, doszedłem do starego cmentarza, znajdującego się na szczycie wzgórza.

Jest tam przepaść przeszło stu metrowej głębokości.

A w dole — skały, morze. W ciągu dwóch, trzech dni silniejszy przypływ wyrzuci ciało na brzeg.

Zapewne. Wszystko to jest tak proste.

Tak, wszystko to jest bardzo proste i nie dziwi mnie wcale. Łupin umarł, wspólnicy jego dowiedzieli się o tym i przez zemstę, jak o tym zresztą uprzedzili, zamordowali pannę de Saint-Veran — oto są fakty, których nie ma co nawet sprawdzać. Ale Lupin?

Co Lupin?

Co się z nim stało? Najprawdopodobniej wspólnicy jego porwali trupa wówczas co i pannę, ale jaki

mamy na to dowód, że ciało zostało zabrane?

Żadnego. Nie jesteśmy pewni jego życia lub śmierci, jak nie byliśmy pewni, że przebywa w ruinach. I oto, w czym leży największa tajemnica. Zamordowanie Rajmundy nie rozwiązuje jej. Przeciwnie, jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Co się działo w ciągu tych dwóch miesięcy w zamku d'Ambrumesy? Jeśli zagadki tej nie rozwiążemy, to znajdą się, młodzieńcze, inni, którzy nas pobiją.

I kiedy zjawią się ci inni?

—We środę... może nawet we wtorek.

Beautrelet widocznie coś obliczał, po czym oświadczył:

—Panie sędzio, dzisiaj jest sobota. W poniedziałek muszę wracać do liceum. Dobrze byłoby, gdyby się pan raczył pofatygować tutaj w poniedziałek rano, punktualnie o godzinie dziesiątej; postaram się panu wyjaśnić tę tajemnicę.

Czy naprawdę, panie Beautrelet... tak pan sądzi?

Jest pan pewien?

Mam co najmniej nadzieję.

A teraz, dokąd pan idzie?

Chcę sprawdzić, czy fakty odpowiadają przewodniej myśli, która w mózgu moim staje się coraz

wyraźniejsza.

A jeżeli jej nie odpowiadają?

Wówczas, panie sędzio, one same będą temu winne — rzekł śmiejąc się Beautrelet — ja zaś poszukam innych, właściwszych. A zatem — do poniedziałku.

Do poniedziałku.

W kilka minut potem Filleul jechał do Dieppe, Izydor zaś na rowerze, pożyczonym przez hrabiego, pędził drogą z Yerville do Caudebec.

VIII. Poszukiwania

W sprawie tej znajdował się pewien punkt, co do którego Beautrelet wytworzył sobie określone zdanie, ponieważ punkt ów właśnie wydawał mu się słabą stroną nieprzyjaciela. Przedmioty tych rozmiarów, co obrazy pana de Gesvres, nie nikną bez śladu. Gdzieś muszą się znajdować. Jeśli w danej chwili nie można ich odszukać, można wszakże dowiedzieć się, którędy je wieziono.

Hipoteza Beautreleta była następująca: automobil zabrał cztery obrazy, ale nie dojeżdżając do Caudebec przełożono je na drugi automobil, który przeprowił się przez Sekwanę poniżej albo powyżej Caudebec.

Jeżeli niżej — pierwszy prom będzie w Quillebeuf,

leżącym przy szosie niezmiernie ruchliwej, zatem

niebezpiecznej. Niżej — a więc — przez prom

MaiUeraie, wielkie, odosobnione miasto,

pozbawione wszelkiej prawie komunikacji.

Około północy Izydor przejechał osiemdziesiątą

milę, dzielącą go od MaiUeraie, i zastukał do drzwi

zajazdu, w pobliżu morza. Tu przenocował,

nazajutrz zaś jął rozpytywać marynarzy.

Przejrzano księgę pasażerów. W czwartek 23

kwietnia nie przejeżdżał ani jeden pojazd.

A więc może kareta — nalegał Beautrelet — powóz,

fura?

Nie.

Izydor szukał całe rano. Miał już zawracać do Quille-

beuf, kiedy służący zajazdu, w którym stanął,

powiedział mu:

Tego rana wracałem z urlopu i widziałem jakąś ka-

retę, ale ta nie przejeżdżała przez rzekę.

Jak to?

Wprowadzono ją na płaską łódź, na szalupe, jak tu

mówią, oczekującą przy brzegu.

A ta kareta skąd przyjechała?

O! Poznałem ją doskonale, to był jeden z powozów

pana Vatinela, który ma remizę.

Gdzie on mieszka?

W wiosce Humbleville.

Beautrelet spojrział na mapę sztabu generalnego, i

Wioska Humbleville leżała na skrzyżowaniu drogi z

Yve- tot do Caudebec oraz krętej dróżki, wiodącej

przez las I do Mailleraie.

Zaledwie o godzinie szóstej rano Izydor zdołał

odszukać w jakiejś karczmie powoźnika Vatinela,

jednego z 1 tych przebiegłych Normandczyków, co

to mają się zawsze na ostrożności, nie dowierzają

nigdy obcym, ale którzy nie potrafią się oprzeć

pokusie brzęczącej monety oraz działaniu paru

kieliszków.

Tak, panie, tego rana ludzie z automobilem

naznaczyli mi spotkanie o piątej godzinie na

rozstaju. Oddali mi cztery wielkie paki. Jeden z nich

poszedł za mną. Rzeczy przewieźliśmy do szalupy.

Mówicie o nich, jakbyście ich już dawniej znali.

Naturalnie, że ich znam. Wtedy już szósty raz pra-

cowałem dla nich.

Izydor drgnął.

Mówicie, że szósty raz?... Od jakiego czasu?

A cały czas przedtem, ale wtedy było co innego...

wielkie kawałki kamienia... lub zupełnie małe, dosyć

długie, zawinięte w gazety. Przenosili to jak jakie świętości. Szkoda, że nie pomacałem. Ale co to się panu stało? Blady pan jak trup.

To nic... w izbie jest okropnie duszno.

Beautrelet wyszedł słaniając się. Radość, niespodziane odkrycie ogłuszyły go.

Wrócił już całkiem spokojny; na noc poszedł do wsi Va-rengeville; następnego dnia cały ranek spędził w merostwie z nauczycielem ludowym, po czym wrócił do zamku. Tam czekał na niego list. List zawierał następujące słowa:

„Drugie ostrzeżenie. Milcz. Inaczej...”

— Aha — rzekł do siebie — muszę bezwarunkowo przedsięwziąć jakieś środki dla zabezpieczenia swojej osoby. Inaczej, jak powiadają...

IX. Okradziona kaplica

Była godzina dziewiąta rano. Beautrelet przechadzał się wśród ruin, potem wsparł o arkadę i zamknął oczy.

—No, młodzieńcze, czy zadowolony pan jest ze swej wycieczki?

Był to Filleul, przed oznaczoną porą stawiający się na spotkanie.

Zachwycony, panie sędzio!

Co to znaczy?

To znaczy, że jestem gotów dotrzymać swego przyrzeczenia... nie zważając na ten oto list, w którym zabraniają mi to uczynić.

Podał list swemu rozmówcy.

—A to historia! — zawołał sędzia — ale ja mam nadzieję, iż nie przeszkodzi panu...

Powiedzieć co wiem? Bynajmniej, panie sędzio!

Przyrzekłem i dotrzymam słowa. Za dziesięć minut dowieśmy się... części prawdy.

Części?

Tak, moim zdaniem wykrycie schronienia Arsena Lupina nie rozwiązuje jeszcze sprawy. Daleko do tego. Ale o tym potem.

Panie Beautrelet, nic już mnie u pana nie jest w stanie zadziwić. Ale w jaki sposób zdołał pan to odkryć?...

O! Całkiem po prostu. W liście sir Harlingtona do Stefana de Vaudreix, inaczej do Lupina, znajduje się...

W przejętym liście?

Tak, znajduje się pewne zdanie, które zawsze mnie

intrygowało. A mianowicie zdanie: „Do przesyłki obrazów proszę dołączyć resztę, jeśli się wam powiedzie, o czym mocno wątpię”.

Tak, przypominam sobie.

Co za reszta? Dzieło sztuki, coś rzadkiego a cennego? W

zamku nie ma nic takiego, oprócz obrazów Rubensa i

gobelinów. Drobiazgi? Niewiele ich jest, a wszystkie

średniej wartości. A więc cóż? Z drugiej zaś strony, czy można przypuścić, aby człowiek tego

rodzaju, co Łupin,

tak potwornie zręczny, nie potrafił przyłączyć do przesyłki tej reszty, zamierzając to widocznie uczynić? Zapewne

przedsięwzięcie było trudne, wyjątkowe, ale możliwe,

zatem prawdopodobne, ponieważ dokonać go chciał

Łupin.

Jednakże nie udało mu się: nic nie zginęło.

Udało mu się: coś zginęło.

— Tak, obrazy Rubensa... ale...

— Obrazy Rubensa i jeszcze coś... coś... co zamienili na podobną rzecz, jak to uczynili z „rubensami”, coś bardziej niezwykłego, aniżeli obrazy Rubensa.

.— Cóż wreszcie? Nadużywasz pan mojej cierpliwości!

Podczas tej rozmowy podeszli ku furtce i znajdowali się właśnie koło kaplicy.

Beautrelet przystanął.

Czy chce pan się dowiedzieć, panie sędzio?

Czy chcę?!

Beautrelet trzymał w ręku ciężką, sękatą laskę. Za-

mierzwszy się nią z całej siły, rozbił na kawałki jedną z figurek, zdobiących portal kaplicy...

Oszalał pan! — krzyknął Filleul rozgniewany i rzucił się ku potłuczonej figurce. — Jest pan wariatem! Ten

posązek był cudowny...

Cudowny! — odezwał się Izydor, strącając laską drugą

figurkę, która padła strzaskana.

Filleul pochwycił go oburącz w pól.

Młodzieńcze, nie pozwolę ci na to... Spadły jeszcze dwa posązki.

Jeden ruch, a będę strzelał.

Nagle ukazał się hrabia de Gesvres, uzbrojony w rewolwer.

Beautrelet wybuchnął głośnym śmiechem.

—Strzelaj pan do góry, panie hrabio... strzelaj pan do góry, jak w strzelnicy... Do tej oto figurki, która za słońca głowę rękami.

I uderzył laską po posązku.

Ach! — zawołał hrabia, celując doń z rewolweru —

taka profanacja!... takie arcydzieło!

Z tektury, panie hrabio!

Jak? Co pan mówi? — wykrzyknął Filleul, odbierając rewolwer hrabiemu.

Z tektury — powtórzył Izydor — z papier mache!

A!... czy to możliwe?

Z głupstwa, z niczego!

Hrabia nachylił się i podniósł kawałek posązka.

—Proszę się dobrze przypatrzeć, panie hrabio... z

gipsu! Ze spleśniałego, pomalowanego na stary

kamień gipsu... ale z gipsu... oto wszystko, co

zostało z tych sławnych arcydzieł... oto co zdziałali w ciągu kilku dni!...oto co rok temu przygotował pan

Charpenais, kopiując obrazy Rubensa.

I on teraz pochwycił za rękę Filleula.

Co pan o tym myśli, panie sędzio? To piękne, co?

Wspaniałe, potworne? Skradziono kaplicę! Całą

kaplicę gotycką, ciosaną w kamieniu! Pochwycono

do niewoli całe plemię posążków: zamieniono je
człowieczkami z papier mache! Skonfiskowano jeden
z najwspanialszych zbiorów z czasów największego
rozkwitu sztuki! Okradziono kaplicę. Czy to nie jest
potworne? Ach! panie sędzio, jakimże geniuszem
jest ten człowiek!

Pana to zachwyca, panie Beautrelet?

Nigdy dość zachwytu, panie sędzio, gdy chodzi o
takiego człowieka! Wszystkim, co wyrasta nad
zwykłą miarę, należy się zachwycać. A ten człowiek,
panie sędzio, przewyższa wszystkich. W kradzieży
tej tyle jest myśli, taka siła i potęga, że drzę po prostu z podziwu.

—Szkoda, że umarł — roześmiał się Filleul — nie
będzie mógł ukraść wieży Notre-Dame.

Izydor wzruszył ramionami.

Nie śmieć się, łaskawco; ten człowiek, martwy nawet,
może nas jeszcze zaskoczyć!

Nie przeczę... nie przeczę, panie Beautrelet, przy-
znaję, że nie bez pewnego wzruszenia spojrzę nań...
jeśli jego koledzy nie zabrali już trupa.

A zwłaszcza, zważywszy — dodał hrabia de Ges-
vres — że był to człowiek, którego zraniła moja
biedna siostrzenica.

Tak, to był on, panie hrabio — potwierdził Beau-trelet

— on to był, wierzcie mi, mężczyzna, który padł wśród ruin od kuli panny de Saint-Veran; on to był, którego widziała, jak podniósł się u akłady, aby powstać po raz ostatni i dojść do tej kamiennej kryjówki, która miała się stać dlań grobem.

I Beautrelet uderzył laską o próg kaplicy.

Jak to? Co? — wykrzyknął zdumiony Filleul... —

Grobem? — Sądzi pan, że ta nieprzenikniona kryjówka...

Znajduje się tutaj... tam... — powtórzył chłopiec.

Kaplicę przeszukaliśmy.

Tutaj nie ma żadnej kryjówki, — protestował hrabia — znam doskonale kaplicę.

Nie, panie hrabio, jest tutaj tajemna kryjówka. Proszę udać się do merostwa w Varengewille, gdzie przechowuje się wszystkie dokumenty, zebrane z dawnego opactwa d'Ambrumesy, a dowie się pan, że pod kaplicą znajdowała się podziemna pieczara.

Pieczara ta kończyła się niewątpliwie w kaplicy romańskiej, na której miejscu wzniesiono obecną.

Skądże Łupin mógł znać ten szczegół?

Całkiem po prostu. Dowiedział się o nim z dzieł, które musiał przeczytać, ażeby okraść kaplicę.'

— No, no, panie Beautrelet, za daleko pan

zachodzisz. Nie ukradł przecież całej kaplicy.

Wszakże ani je-! den z tych kamieni węgielnych nie został poruszony.

Oczywiście zamienił i wziął to tylko, co ma jakąś wartość artystyczną: rzeźby, posąжки, wszystkie skarby, zdobiące kolumny. Fundamenty ocalały.

A zatem, panie Beautrelet, Łupin nie mógł się dostać do pieczary.

W tej chwili wrócił de Gesvres, który poszedł po klucz od kaplicy. Otworzył drzwi. Weszli.

Obejrząwszy się na wszystkie strony, Beautrelet ciągnął dalej:

Płyty w posadzce oszczędzono. Ale łatwo się przekonać, że główny ołtarz podrobiony. Schody, prowadzące do pieczary, mają przejście przed ołtarzem, a idą pod nim.

I co pan stąd wnioskuje?

Wnioskuje stąd, że Łupin znalazł pieczarę pracując tutaj.

Kilofem przyniesionym na rozkaz hrabiego począł Beautrelet uderzać w ołtarz. Ze wszystkich stron posypał się gips.

Do diabła — rzekł Filleul — chciałbym się prędzej dowiedzieć o wszystkim...

I ja także — odezwał się Beautrelet, blady ze
wzruszenia.

Coraz szybciej walił kilofem. Nagle natrafił na jakąś
twardą masę. Rozległ się łoskot, jakby od upadku, i
wszystko, co jeszcze zostało z ołtarza, runęło na dół
wraz z kamieniem, o który uderzył kilof. Beautrelet
pochylił się. Pęd powietrza powiał mu w twarz.

Zapalił świecę i spuścił się w głąb.

Schody zaczynają się wyżej, aniżeli myślałem. Stąd
widać już ostatnie stopnie.

Głęboko?

O trzy albo cztery metry pode mną... schody są
bardzo strome.

Niepodobna — rzekł Filleul — ażeby w ciągu kró-
tkotrwałej nieobecności żandarmów, kiedy porwano
pannę de Saint-Veran, wspólnicy Łupina mogli
równocześnie wydostać stąd trupa... a przy tym, po
co mieli to robić?... Nie, moim zdaniem, on jest tutaj.

Przyniesiono drabinę, którą Beautrelet spuścił w
otwór i ustawił pośród gruzów. Potem oparł się o nią
z całej siły.

—Czy chce pan zejść na dół, panie sędzio?

Filleul, wzięwszy świecę, odważnie począł schodzić

głęb. Hrabia de Gesvres poszedł za nim.

Beautrelet postawił nogę na pierwszym szczeblu.

Szczebli było osiemnaście; liczył je machinalnie, oglądając pieczarę, w której blade światło świecy walczyło z gęstym mrokiem. Ale na dole zamroczyła go uderzająca, wstrętna woń, woń zgnilizny, jakiej długo niepodobna zapomnieć. Okropny zapach, od którego mdleje serce...

Nagle jakaś drżąca ręka pochwyciła go za ramię.

—No, co takiego?

Beautrelet — bełkotał Filleul. — Beautrelet... —

Przerażenie nie pozwalało mu mówić.

Panie sędzio, odwagi...

Beautrelet... on jest tutaj...

Kto?

Ktoś leży pod głazem, który oderwał się od ołtarza...

zawadziłem o kamień i dotknąłem... o! nigdy nie;

zapomnę...

Gdzie on jest?

Z tej strony... Czujecie pan tę wstrętą woń?... a teraz

proszę spojrzeć...

Porwał świecę, kierując światło na nieruchomą

masę, spoczywającą na ziemi."

—Och! — krzyknął Beautrelet z wyrazem najwyż-

sze go przerażenia.

Wszyscy trzej nachylili się. Leżał przed nimi na wpół nagi trup, wychudły, straszny. Tu i owdzie poprzez rozdarte ubranie przeglądało posiniałe ciało. Ale co było najokropniejsze, i co właśnie wyrwało okrzyk przerażenia z ust chłopca, to to, że głowa trupa była zmiażdżona; głowa ta, zdeformowana, stanowiła ohydłą masę, w której niepodobna było nic rozpoznać, a gdy oczy ich oswoiły się z ciemnością, spostrzegli, że całe to okropne ciało roilo się od robactwa...

W czterech skokach Beautrelet wy dostał się po drabinie na górę i wybiegł na świeże powietrze. Filleul znalazł go, leżącego na wznak, z twarzą ukrytą w dłoniach.

—Winszuję ci, Beautrelet — rzekł sędzia — oprócz wykrycia pieczary były jeszcze dwa punkty przekonywające mnie o ścisłości twoich obserwacji.

Przede wszystkim człowiek, do którego strzelała panna de Saint-Veran, był Arsenem Lupinem, jak pan od początku twierdził. Prawdą jest, że mieszkał pod nazwiskiem Stefana de Vaudreix w Paryżu.

Bielizna znaczone jest literami S. V. Zdaje mi się, że jest to dowód wystarczający... Izydor leżał bez

ruchu.

Hrabia kazał zaprząć do powozu. Pojechali po doktora, ażeby skonstatował śmierć. Moim zdaniem nastąpiła ona co najmniej przed tygodniem. Stan rozkładu, w jakim ciało się znajduje... ale pan, zdaje się, nie słucha?

Owszem, owszem.

Wszystko, co mówię, oparte jest na ścisłym rozumowaniu. Tak, na przykład...

I Filleul opowiadał dalej, nie doczekawszy się żywszych oznak zainteresowania. Dopiero powrót hrabiego położył tamę jego wymowie.

Hrabia niósł dwa listy. W jednym z nich znajdowała się wiadomość o przyjeździe Herlocka Sholmesa.

Doskonale! — zawołał wesoło Filleul. — Inspektor Ganimard również jutro przyjeżdża. To będzie wspaniale.

Drugi list jest do pana, panie sędzio — rzekł hrabia.

Jeszcze lepiej — powiedział Filleul, przeczytawszy

list. — Jasne jest, że ci panowie nie będą tu mieli nic do roboty. Panie Beautrelet, donoszą mi z Dieppe,

że rybacy znaleźli dzisiaj na skałach ciało młodej

kobiety.

Beautrelet zerwał się z ziemi.

Co

że jest to ciało pańskiej biednej siostrzenicy, którą

pan

morze aż tam wyrzuciło. Cóż pan na] to, Beautrelet?

mówis

Nic... nic... albo raczej... wszystko składa się, jak

z?

przepowiedziałem; przypuszczenia moje sprawdzają

Ciało...

się w zupełności. Wszystkie fakty, jeden za drugim,

Młodej

nawet pozornie najsprzeczniejsze, w rezultacie

kobiet

stwierdzają hipotezę, wypowiedzianą przeze mnie

y...

zaraz na początku.

ciało w

Nie rozumiem.

stanie

Wkrótce pan zrozumiesz. Pamiętaj pan, że przy-

okropn

rzekłem opowiedzieć całą prawdę.

ego

Zdaje mi się jednak...

roz-4

Trochę cierpliwości, panie sędzio. Dotychczas nie
kładu,
mógł się pan na mnie uskarżać. Proszę się przejść,
które
zjeść śniadanie w zamku, wypalić cygaro. Ja wrócę
trudno
o czwartej albo o piątej. A do liceum, niestety,
byłoby
pojadę dopiero nocnym pociągiem.
pozna
Znajdowali się w pobliżu zabudowań gospodarskich.
ć,
Beautrelet wskoczył na rower i zniknął.
gdyby
W Dieppe stanął przed kantorem dziennika „La
nie to,
Vigie” i kupił wszystkie numery z ostatnich dwóch
że na
tygodni. Potem pojechał do Eiwermeu, położonego
prawej
w odległości dziesięciu kilometrów. W Envermeu
ręce
widział się z merem, z proboszczem i żandarmem.
został

Na wieży ratuszowej wybiła trzecia. Śledztwo było
cienki,
skończone. Wracął, wesoło pośpiewując. Głęboko, z
złoty
prawdziwą przyjemnością wdychał świeże, morskie
łańcus
powietrze. Myślał o celu, który miał przed sobą i
zek.
pomyślnym rezultacie poszukiwań.

Panna

Już było widać d'Ambrumesy. Izydor pędem

de]

zjeżdżał z ostatniego wzgórza. Zdawało się, że

Saint-

drzewa, okalające wjazd do zamku, wybiegają na

Veran

jego spotkanie: to zbliżają się, to znowu nikną z

nosiła

widnokręgu.

zawsz

Nagle krzyknął. Dostrzegł linę, przeciągniętą w po-

e na

przek drogi pomiędzy drzewami.

prawej

W jednej chwili rower stanął. Izidor wyleciał z

ręce

niesłychaną siłą na trzy metry w górę i poczuł, że

złotą

tylko cudownym trafem zdołał uniknąć kamieni, o

branso

które rozbiłyby się niechybnie na śmierć.

letkę

Kilka sekund leżał nieprzytomny. Potem, straszliwie

tego

potłuczony, z cicha jęcząc, jął oglądać otoczenie. Na

fasonu

prawo ciągnął się zagajnik, w którym siedział

.

zapewne ukryty złoczyńca. Beautrelet odwiązał

Jasne,

sznur. Do drzewa po lewej stronie, okręconego liną,

przytwi

piętro, gdzie Filleul zajmował się swymi sprawami.

erdzon

Filleul pisał, sekretarz siedział naprzeciw niego. Na

y był

dany znak sekretarz wyszedł, sędzia zaś zawołał:

szpilką

Co się z panem dzieje, kochany panie? Ręce masz

kawa-

całe we krwi.

łek

Drobnostka, drobnostka — rzekł chłopiec — upa-

papier

dek, spowodowany przez sznur przeciągnięty na

u.

drodze. Poproszę tylko, aby pan raczył zauważyć,

Rozwi

że ta linka wzięta jest z zamku. Dwadzieścia minut

nał go

temu suszyła się na niej bielizna koło pralni.

i

To być nie może!

czytał,

Panie sędzio, ktoś mnie tutaj szpieguje, ktoś, co

co

wszystko widzi, słyszy, jest obecny przy moich

następ

poszukiwaniach i zna moje zamiary.

uje:

Tak pan sądzi?

„Trzeci

Jestem tego pewien. Musi pan to wykryć, a zadanie

e i

to jest dla pana łatwe. Ja zaś ze swej strony pragnę

ostatni

raz skończyć z tą sprawą, składając panu

e

przrzeczone wyjaśnienia. Posuwałem się naprzód

ostrze

szybciej, aniżeli przypuszczali nasi przeciwnicy i

żenie."

jestem przekonany, że skutkiem tego zaczynają oni

X.

teraz działać bardziej stanowczo. Otaczający mnie

Przerw

krąg coraz bardziej się zacieśnia. Mam przeczucie,

ane

że niebezpieczeństwo jest bliskie.

wyzna

To się dopiero pokaże, Beautrelet...

nia

Wszystko już widać. Musimy się teraz śpieszyć. Ale

mam pytanie co do pewnego punktu, który muszę

natychmiast wyświetlić. Nic pan nikomu nie mówił o

Wróci

tym świstku, który podniósł brygadier Quevilion i

wszy

który oddał panu w mojej obecności?

do

Pod słowem honoru — nikomu. Pan przywiązuje do

zamku

niego jakąś wagę?...

, Beautr

elet

zadał

parę

pytań

słu-

żącym

u i

zszedł

na

pierws

ze

Olbrzymią. Przyszła mi go głowy pewna myśl,

myśl* przyznaję, na niczym nie oparta... ponieważ

dotychczas nie zdołałem dokumentu tego

odcyfrować. Mówię to panu... żeby nie wracać już

do tego przedmiotu.

Beautrelet położył dłoń na rękę Filleula i rzekł półgłosem:

—Cicho... podsłuchują nas... z zewnątrz...

Zaskrzytał piasek. Beautrelet podbiegł do okna i wyjrzał.

—Nie ma już nikogo... ale bluszcz jest oberwany... widać ślady obcasów.

Zamknął okno i usiadł na dawnym miejscu.

—Widzi pan, panie sędzio, że nieprzyjaciel nie zachowuje już nawet ostrożności... nie ma na to czasu... czuje on również, że nadchodzi chwila decydująca. Pośpieszmy i my, rozmówmy się szczerze, ponieważ nie życzą sobie, abym mówił.

Położył papier na stole, nie rozwijając go.

—Przede wszystkim, panie sędzio, jedna uwaga. Na papierze tym oprócz kropek są same tylko cyfry. I tylko w pierwszych trzech wierszach oraz w piątym kropki te mogą nas zajmować, czwarty bowiem, o ile sędzę, ma zgoła inny charakter — nie zawiera ani jednej cyfry wyższej nad 5. I tak dobrze byłoby, gdyby każda z tych cyfr oznaczała jedną z samogłosek w porządku alfabetycznym. Wypiszmy i otrzymamy rezultat.

Na oddzielnej kartce napisał:

e.a.a..e..e.a.

.a..a...e.e.

.e.oi.c.e.

.ou..e.o...e..e.o..e

ai.uL.e ..eu.e

Po czym mówił dalej:

Jak pan widzi, niewielki z tego pożytek. Klucz jest!
równocześnie bardzo łatwy — dość bowiem cyfry
zastąpić! samogłoskami, a kropki spółgłoskami — i
bardzo trudny, niemożliwy prawie do zastosowania,
ponieważ zagadki rozwiązać niepodobna.

Istotnie, jest ona nieco mglista.

Spróbujmy ją rozświetlić. Drugi wiersz podzielony
jest na dwie części; część druga zaś wygląda tak,
jakby miała stanowić jedno słowo. Jeśli teraz
spróbujemy na] miejsce kropek postawić spółgłoski,
zobaczymy po zastosowaniu przeróżnych
kombinacji, że jedyne samogłoski, które mogą się
łączyć z tymi spółgłoskami, dadzą jeden-tylko wyraz,
a ten wyraz jest: „demoiselles" (panny).

Zatem chodziłoby tu o pannę de Saint-Veran i
pannę de Gesvres.

Najprawdopodobniej.

I nic więcej pan nie widzi?

Owszem. Pośrodku ostatniego wiersza zauważyłem pustą przestrzeń, a zastosowawszy tę samą metodę na początku wiersza, dostrzegłem natychmiast, że kropkę pomiędzy dwiema samogłoskami ai i ui można zastąpić jedynie spółgłoską g, a otrzymawszy w ten sposób początek wyrazu aigui, dołączam dwie następne kropki i końcowe e, tworząc słowo aigui Ile (igła).

Rzeczywiście... słowo to wzbudza szacunek.

Do ostatniego wyrazu wreszcie mam trzy samogłoski i trzy spółgłoski. Próbuję znowu, podstawiam wszystkie litery po kolei, a wychodząc z założenia, iż dwie pierwsze bezwarunkowo muszą być spółgłoskami, dochożę do wniosku, że mogą tu być użyte cztery wyrazy:

fleuve (rzeka), preuve (dowód), pleure (płacz)

i creuse (pusta, wydrążona). Wyrazy rzeka, dowód

i płacz odrzucam, jako nie mające żadnego związku

z

igłą, i zostawiam wyraz wydrążona.

Co stanowi razem wydrążona igła(aiguille creuse).

Cudownie. Przyznaję, że wniosek pański jest

ślusny, przyznaję to zaś dlatego, że nie może nie

być słuszny, ale do czego to nas doprowadzi?

Do niczego — odparł Beautrelet w zamyśleniu. —

Do niczego w danej chwili... później, zobaczymy...

Mam pewną myśl i sędzę, że w tym tajemniczym połączeniu dwóch wyrazów: aiguille creuse, może

się kryć niejedno. W obecnej chwili najwięcej

zajmuje mnie sam materiał dokumentu, papier, na

którym go wypisano... Czy ten gatunek pergaminu

jeszcze wyrabiają? A potem ta barwa słoniowej

kości... a te załomy... papier jest zniszczony,

przetarty na zgięciach... a wreszcie, patrz pan, oto

śląd czerwonego wosku na odwrotnej stronie...

W tej chwili Beautrelet zmuszony był przerwać. Se-

kretarz Bredoux otworzył drzwi i oznajmił

niespodziewane przybycie naczelnego prokuratora.

Filleul zerwał się.

—Znowu? Pan prokurator jest na dole?

Nie, panie sędzio. Pan prokurator nie wysiadał z

karety. Jest tylko przejazdem w d'Ambrumesy i

prosi,, aby pan raczył wyjść do niego przed bramę.

Ma panu do powiedzenia jedno tylko słowo.

To ciekawe — mruknął Filleul. — No, idę zobaczyć...

Przepraszam cię, Beautrelet, natychmiast wracam.

Odszedł. Słysząc było oddalające się kroki. Wówczas

sekretarz Bredoux zamknął drzwi, przekręcił klucz i schował go do kieszeni.

Cóż to znowu? — wykrzyknął zdumiony Beautrelet.

— Co pan robi? Po co pan zamknął drzwi?

Lepiej się nam będzie rozmawiało! — roześmiał się Bredoux.

Beautrelet przypadł do drugich drzwi, prowadzących do przyległego pokoju. Zrozumiał. Szpiegiem był Bredoux, .gam sekretarz sędziego śledczego.

Bredoux śmiał się coraz głośniej.

Nie złam sobie przypadkiem paznokci, przyjacielu. I od tych drzwi mam klucz w kieszeni.

Pozostaje okno — zawołał Beautrelet.

Za późno — rzekł tamten, stając przy oknie z rewolwerem w ręku.

Ucieczka była odcięta ze wszystkich stron. Nie pozostawało nic innego, jak tylko bronić się przed nieprzyjacielem, który zrzucił z siebie maskę tak niespodzianie i zuchwale. Izydor, zdjęty jakimś niewytłumaczonym smutkiem, skrzyżował, ręce.

—
Dobrze — warknął sekretarz. — Teraz pomówimy.

Wydostał zegarek.

Pocziwiec Filleul dojdzie do bramy. Przy bramie oczywiście nie zastanie nikogo. Wówczas tu powróci. Mamy zatem mniej więcej cztery minuty czasu. Jedna wystarczy, ażeby uciec przez okno, dobiec do furtki w ruinach i wskoczyć na oczekujący mnie rower. Zostają mi więc trzy minuty. To dosyć.

Był to mężczyzna bardzo brzydki, na niezmiernie długich i niezmiernie cienkich nogach, o wypukłych, okrągłych plecach i długich, małpich rękach.

Koścista twarz, niskie, silnie sklepione czoło, dowodziły niesłychanego uporu.

Beautrelet chwiał się, nogi pod nim drżały. Usiadł.

Mów. Czego chcesz?

Papieru. Szukam go już od trzech dni.

Nie mam go.

Kłamiesz. Wchodząc widziałem, jak wkładałeś go do portfelu.

Dalej?

Dalej? Zobowiąziesz się być rozsądny. Doprowadzasz nas do wściekłości. Zostaw nas w spokoju i pilnuj tego, co do ciebie należy. Zaczynamy już tracić cierpliwość.

Podszedł parę kroków, mierząc wciąż do chłopca z rewolweru, mówił cicho, kładąc nacisk na

samogłoskach, tonem niezwykle energicznym.

Spojrzenie miał stanowcze, uśmiech okrutny.

Beautrelet wzdrygnął się. Po raz pierwszy w życiu

poznał, co to jest niebezpieczeństwo. I jakie

niebezpieczeństwo! Czuł, że stoi przed nim wróg

nieubłagany, ślepa potężna siła.

A potem? — zapytał, ciężko dysząc.

Potem? Nic... Będziesz wolny... Wszystko puśćmy w

niepamięć.

Cisza. Bredoux mówił dalej:

—Jeszcze jedna minuta. Musisz się zdecydować.

No, mój kochany, dość tych głupstw... My zawsze i

wszędzie jesteśmy silniejsi... Prędeż, papier..

Izydor nie poruszył się, zsiniały, wystraszony, jednak

panujący nad sobą. Umysł jego w przeciwieństwie

do nerwów był spokojny, jak nigdy. W odległości

dwudziestu centymetrów przed jego oczyma

widniała czarna lufa rewolweru. Kurek był

odwiedziony. Jeden ruch, a...

Papier — powtórzył Bredoux. — Inaczej...

Oto jest! — rzekł Beautrelet.

Wyjął z kieszeni portfel i podał sekretarzowi, który

pochwycił z małpią zręcznością.

—Doskonale. Mieliśmy słusność. Z tobą widocznie

trzeba postępować trochę ostro, ale spokojnie.

Powiem to towarzyszom. A teraz biegnę. Żegnaj.

Schował rewolwer i uchylił okno. W korytarzu słychać było kroki.

—Żegnaj — powtórzył tamten... — mam jeszcze czas.

Nagle jakaś myśl powstrzymała go. Przerzucił portfel.

—Do diabła — krzyknął — tu nie ma papieru. Przechytrzyłeś mnie.

Skoczył z powrotem do pokoju.

Padły dwa strzały. Izidor wy dostał rewolwer i strzelił również.

— Pudło, mój miły — roześmiał się Bredoux — ręka ci drży... boisz się...

Schwycili się za bary i potoczyli się na podłogę.

W drzwi walono z całej siły.

Izidor słabł, ale wciąż jeszcze brał górę nad przeciwnikiem. Po chwili jednak role się zmieniły.

Ręka uzbrojona w sztylet podniosła się i opuściła.

Poczuł okropny, piekący ból w ramieniu. Puścił nieprzyjaciela.

Czuł, jak przeszukiwano mu kieszenie i jak pochwycono dokument...

Też same dzienniki, które nazajutrz doniosły o ostatnich wypadkach w d'Ambrumesy, o wyłomie w kaplicy, o odnalezieniu trupa Arsena Lupina i ciała Rajmundy, a wreszcie o zamordowaniu Izydora Beautreleta przez sekretarza sędziego śledczego, zamieściły jeszcze dwie nowe wiadomości:

„Zniknięcie Ganimarda i porwanie pośród białego dnia, w samym środku Londynu, udającego się na pociąg do Dover Herlocka Sholmesa.

A zatem szajka Arsena Łupina, rozbita chwilowo, dzięki genialnym zdolnościom siedemnastoletniego chłopca, przeszła znowu do taktyki zaczepnej i od razu, wszędzie, na wszystkich punktach zatriumfowała. Dwaj główni przeciwnicy, Sholmes i Ganimard, zniknęli. Izydor Beau-trelet został usunięty z pola bitwy. Sprawiedliwość była bezsilna. Nie został nikt, kto byłby zdolny do walki z takimi wrogami.

XI. Dawid i Goliat

W sześć tygodni później siedziałem pewnego wieczoru! sam w swoim mieszkaniu, pozwoliwszy wyjść służącemu.! Było to w wigilię 14 lipca.

Powietrze było parne, jak] przed burzą, nie miałem ochoty wychodzić z domu. Okna na balkon stały

otworem, na stole paliła się lampa, ulokowałem się

więc w fotelu, a że nie czytałem jeszcze]

dzienników, jałem je przerzucać.

Rozumie się, że była w nich mowa o Arsenie

Lupinie,! Po zamachu, którego ofiarą padł biedny

Izydor Beautrelet, ani jeden dzień nie przeszedł,

żeby nie wspomniano! o sprawie d'Ambrumesy.

Miała ona swą specjalną rubrykę. Nigdy jeszcze

uwaga publiczności do takiego stopnia nie była

pobudzona jak obecnie, skutkiem tych wypadków,

tak szybko po sobie następujących, tych

niespodziewanych efektów teatralnych. Filleul,

przyznający się skromnie do nader podrzędnej roli

w tym dramacie, opowiedział reporterom o

odkryciach młodego mistrza, poczynionych w ciągu

trzech pamiętnych dni, tak że gazety mogły snuć

najfantastyczniejsze przypuszczenia.

Zaś od tego powstrzymać się nie zdołano.

Specjaliści, i technicy, powieściopisarze i

dramaturgowie, sędziowie i dymisjonowani

naczelnicy policji, niedoszli Lecoqowie i Herlockowie

Sholmesowie — wszyscy mieli własny sąd o

sprawie, a każdy z nich publikował go w

niezliczonych artykułach. Wszyscy zabrali się do

śledztwa.

A wszystko to z powodu paru słów,
wypowiedzianych przez dziecko, przez Izydora
Beautreleta, słuchacza liceum Janson de Sailly.
Co prawda, trzeba przyznać, że cała historia ta
wygląda bardzo naturalnie. Tajemnica? Na czym
ona polega? Schronienie, w którym ukrywał się i
mieszkał Arsen Łupin, było znane. Doktor Delattre,
zasłaniający się dotychczas tajemnicą zawodową i
uporczywie odmawiający wszelkich wyjaśnień,
wygadał się jednak przed swymi znajomymi — ci
zaś postarali się już, aby to roznieść — że
zawieziono go istotnie do pieczary, do rannego. A
ponieważ w tej samej pieczarze znaleziono ciało
Stefana de Vaudreix, który to Stefan de Vaudreix był
właśnie Arsenem Łupina, jak to wykazało śledztwo,
przeto identyczność Arsena Łupina z rannym
zdobyła sobie jeszcze jeden jaskrawy dowód.
A zatem Arsen Łupin umarł, ciało panny de
SaintVeran poznano po bransoletce, którą nosiła na
ręku; dramat był skończony.

W rzeczywistości jednak skończony nie był. Nie był
skończony dla nikogo, ponieważ Beautrelet twierdził
przeciwnie. Nie wiadomo było, pod jakim względem

nie jest skończony, ale, zgodnie ze zdaniem

chłopca, nie był on nawet rozpoczęty.

Rzeczywistość nie zaprzeczała twierdzeniom

Izydora Beautreleta. Coś tu się kryło; co, nikt nie

wiedział, nikt jednak nie wątpił, że student z

łatwością zdoła to coś wyjaśnić.

Jakże niecierpliwie wyczekiwano z początku biulety-

nów o jego zdrowiu, wydawanych przez dwóch

lekarzy z Dieppe, którym hrabia de Gesvres oddał w

opiekę rannej go. Jakaż rozpacz była w pierwszych

dniach, kiedy sądzono, że życiu jego grozi

niebezpieczeństwo! A co za entuzjazm tego rana,

kiedy dzienniki oznajmiły, że nie ma już! żadnej

obawy!

Najdrobniejsze szczegóły zachwyciły tłum.

Wzruszenie było powszechne, gdy dowiedziano się,

że pielęgnuje go stary ojciec, wezwany

telegraficznie, że pomaga mu w[^] tym Zuzanna de

Gesvres, spędzająca noce całe u wezglowia

chorego.

Rekonwalescencja następowała szybko.

Zapanowała ogólna radość. Wreszcie dowiedzą się

o wszystkim. Dowiedzą się o tym, co Beautrelet

przrzekł opowiedzieć Filleulowi, tych ostatnich

słów, których nie pozwoliła mu wypowiedzieć

zbrodnicza ręka mordercy.

Dowiedzą się również i o tym, co, poza samym dra-

matem, pozostawało nieprzeniknione albo

niedostępne dla usiłowań sprawiedliwości.

Zdrowy Beautrelet najbardziej liczył na sir

Harlingtona, zagadkowego współnika Arsena

Łupina, którego wciąż jeszcze trzymano w areszcie.

Dowiedzą się, co się działo po zamachu sekretarza

Bredoux, drugiego współnika, którego zuchwałość

była zaiste przerażająca.

Zdrowy Beautrelet zabierze się do sprawy zniknięcia

Ganimarda i porwania Sholmesa. W jaki sposób

dokonano tych dwóch zamachów? Zarówno

detektywi angielscy, jak i paryscy koledzy nie wykryli

dotychczas żadnych poszlak. W pierwszym dniu

Zielonych Świąt Ganimard nie wrócił do domu, nie

zjawił się ani w poniedziałek, ani i w ciągu sześciu

tygodni!

W Londynie, w poniedziałek, drugiego dnia Zielo-

nych Świąt, o godzinie czwartej po południu,

Herlock Sholmes wsiadł w kabriolet, ażeby udać się

na dworzec kolejowy; ledwo zajmąwszy miejsce,

chciał natychmiast wsiąść, przeczuł bowiem

niebezpieczeństwo. Ale tymczasem do pojazdu wskoczyło dwóch ludzi, jeden z prawej, drugi z lewej strony, porwali go i trzymali pomiędzy sobą, a raczej pod sobą, jeśli weźmie się pod uwagę rozmiary karety. Działo się to wobec dziesięciu świadków, którzy wszakże nie zdążyli przeszkodzić porwaniu. Kabriolet potoczył się z niesłychaną szybkością. A dalej? Dalej nic. Nikt nic nie wiedział.

Może Beautrelet potrafi to wyjaśnić, jak i wytłumaczyć prawdziwe znaczenie dokumentu, tego tajemniczego papieru, któremu sekretarz Bredoux przypisywał widocznie dość znaczną wagę, skoro z nożem w ręku rzucił się na człowieka, dokument ów posiadającego. Zagadka Aiguille Creuse. Tak ją nazywali ci, co usiłowali poprzez ślęczenie nad cyframi i kropkami odnaleźć jej sens. Wydrążona igła! Dziwna kombinacja wyrazów! Byłże to frazes bez znaczenia, uczniowski rebus, wyrysowany na świstku papieru? Czy też jakieś magiczne słowa, ukazujące działalność awanturnika Łupina we właściwym oświetleniu? Gubiono się w domysłach. Prawda jednak zostanie wykryta. Od kilku już dni dzienniki donosiły o bliskim przyjeździe Beautreleta. Miała się rozpocząć znowu walka, tym razem na

śmierć i życie. Izydor zaprzysiągł zemstę.

Nazwisko jego, wydrukowane grubym drukiem, zwróciło właśnie moją uwagę. „Le Grand Journal” przed artykułem wstępnym zamieścił wzmiankę następującej treści „Otrzymaliśmy zgodę Izydora Beautreleta co do podzielenia się z nami swymi odkryciami. Jutro, we środę] zanim jeszcze sąd się o tym dowie, »Le Grand Journal opublikuje całą prawdę o dramacie w d'Ambrumesy”.

—Nie lada obietnica, prawda? Co myślisz o tym, mój drogi?

Podskoczyłem na krześle. Koło mnie, w fotelu, siedział ktoś, kogo widziałem pierwszy raz w życiu.

Wstałem, szukając wzrokiem jakiejś broni.

Ponieważ jednak zachowanie się nieznanego nie wzbudzało podejrzeń, uspokoiłem się i podszedłem ku niemu.

Był to młody człowiek, o energicznej twarzy, okolonej długimi, jasnymi włosami; niewielka, nieco rudawa broda była rozdzielona na dwa krótkie bakenbardy. Ubranie przypominało skromny strój pastora angielskiego, jak również cała jego postać, poważna, wzbudzająca szacunek.

—Kim pan jest? — spytałem go.

A ponieważ nie odpowiadał, powtórzyłem:

—Kim pan jest? Jakim sposobem pan tu wszedł?

Czego pan chce?

Spojrzał na mnie i rzekł:

Nie poznaje mnie pan?

Nie... nie!

A! to bardzo ciekawe!... Proszę sobie przypomnieć...

jeden z pańskich przyjaciół... którego pan zna doskonale...

Pochwyciłem go gwałtownie za rękę.

Kłamie pan!... kłamie... nie jest pan tym, za którego chce uchodzić... to nieprawda...

Czemuż więc on właśnie przyszedł panu na myśl,

Nie kto inny? — odrzekł ze śmiechem.

Ach! Ten śmiech! Ten młody, dźwięczny śmiech, subtelna ironia którego tylokrotnie mnie

zachwycała!... Wzdrygnąłem się. Czy to możliwe?

Nie, nie — protestowałem w niepojętym przerażeniu... — To niemożliwe...

Niepodobna, ażebym to ja był, ponieważ ja umarłem, nieprawdaż? — ciągnął dalej. — A pan nie wierzy w zmartwychwstanie?

I znowu się roześmiał.

Alboż jestem z tych, co umierają? Umrzeć tak głu-

pio, od kuli, trafiony przez młode dziewczę! Niezbyt pochlebne ma pan o mnie pojęcie! Jak gdybym ja mógł skończyć w ten sposób.

A więc to pan! — bełkotałem niepewny jeszcze i drżący — a więc to pan!... Nie mogę przyjść do siebie!...

—Za to ja — powiedział wesoło — ja jestem spokojny. Jeżeli jedyny człowiek, któremu ukazywałem się w prawdziwej postaci, nie poznał mnie dzisiaj, to nikt inny,

widząc mnie takim, jakim dziś jestem, nie pozna mnie tym bardziej, zobaczywszy w prawdziwej postaci... o ile jeszcze mam jaką prawdziwą postać...

Teraz, kiedy zmienił dźwięk głosu, poznałem go wreszcie, poznałem jego oczy, wyraz twarzy, całą twarz, całą istotę jego pod tą maską, którą podobało mu się osłonić.

—Arsen Lupin — rzekłem półgłosem.

—Tak, Arsen Łupin — zawołał wstając — jedyny! prawdziwy Arsen Łupin, powracający z królestwa ciem bo wszakże umarłem, zdaje się, w jakiejś czarnej pieczarze. Arsen Lupin, żyjący pełnią życia, władający całą swą wolę, szczęśliwy i

swobodniejszy aniżeli kiedykolwiek zdecydowany
korzystać ze swej drogocennej niezależności w
świecie, w którym dotychczas spotykał się z samą
tylko sympatią.

Teraz przysłała na mnie kolej, roześmiałem się.

—A więc to pan jest, tym razem o wiele weselszy
aniżeli wówczas, kiedy miałem przyjemność widzieć
pana po raz ostatni, zeszłego roku... Winszuję panu.

Zrobiłem aluzję do ostatniej jego wizyty, po słynnej
przygodzie z brylantowym naszyjnikiem, po
zerwaniu małżeństwa, po ucieczce jego z Sonią
Krichnow, nał pomknąłem o okropnej śmierci młodej
Rosjanki. Tego dnia widziałem Arsena Lupina
takiego, jakim nie bywał nigdy, słabego,
zgnębionego, z oczyma zapadłymi od łez
zebrzącego o odrobinę współczucia...

Milcz pan — zawołał — przeszłość jest daleko, j

To było przed rokiem — zauważyłem.

To było przed dziesięciu laty — oświadczył — lata

Arsena Lupina winny być dziesięciokrotnie liczone.

Nie nalegałem i zmieniłem rozmowę. . — Jak pan
wszedł?

Jak wszyscy, przez drzwi. Nie widząc nikogo

wszedłem do salonu, dostałem się na balkon i oto

jestem.

Dobrze, ale klucz od drzwi?

Wie pan przecież, że dla mnie drzwi nie istnieją.]

Potrzebne mi było pańskie mieszkanie, więc wszedłem.

Do usług pańskich. Czy mam pana opuścić?

O! Nie będzie pan wcale zbyt cennym. Mogę panu nawet powiedzieć, że wieczór spędzi pan bardzo wesoło.

Czeka pan na kogo?

. Tak, wyznaczyłem tutaj spotkanie o godzinie dziesiątej.

Wyjął zegarek.

Dziesiąta. Jeżeli telegram doszedł do miejsca przeznaczenia, on się nie spóźni...

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek, i,

— Czy nie mówiłem? Proszę się nie trudzić... sam otworzę.

Komu, u diabła, mógł naznaczyć spotkanie i przy jakiej dramatycznej czy też komicznej scenie mam być świadkiem? Sytuacja zapowiada się obiecująco, skoro Arsen Łupin uważa ją za ciekawą.

Po chwili wrócił, przepuszczając przed sobą w drzwiach młodzieńca szczupłego, wysokiego, z

twarzą śmiertelnie bladą.

Nie mówiąc ani słowa, z jakąś uroczystą powagą w ruchach, która budziła we mnie niepokój, Łupin zapalił światło. W pokoju zrobiło się widno jak w dzień. Wówczas spojrzeli na siebie głęboko, jakby usiłując całą mocą swego wzroku przeniknąć się nawzajem.

Poważni i milczący, budzili grozę. Kim jednak mógł być ów nowo przybyły?

W chwili, kiedy już, już go poznawałem, dzięki podobieństwu jego do fotografii tego dnia właśnie zamieszczonej przez dzienniki, Łupin zwrócił się w moją stronę:

—Mój drogi, pozwól sobie przedstawić pana Izydora Beautreleta.

I natychmiast odezwał się do młodzieńca:

—Winienem podziękować panu, panie Beautrelet, przede wszystkim za to, że zgodził się pan na moją prośbę, aby odłożyć wyjaśnienie do chwili tego spotkania, następnie zaś za to, że tak chętnie pośpieszył pan na moje wezwanie.

Beautrelet uśmiechnął się.

Proszę zauważyć, że chęci moje są jedynie wyini-

kiem posłuszeństwa pańskim rozkazom. Groźba

zawarta we wspomnianym liście jest tym

pewniejsza, że wymierzona została nie przeciwko

mnie, lecz przeciw memu ojcu.

To prawda — odparł śmiejąc się Lupin — robi się, co

może, a zawsze należy korzystać ze wszystkich

środków, jakie są w naszej mocy. Wiem z

doświadczenia, że sposobu, w jaki opierał się pan

argumentom pana Bredoux, że pańskie osobiste

bezpieczeństwo jest mu] obojętne. Pozostawał

pański ojciec... pański ojciec, którego pan kocha i

szanuje... Jąłem więc wygrywać na tej strunie.

I przyszedłem — stwierdził Beautrelet.

Zaprosiłem ich ruchem ręki, aby usiedli. Zajęli miej-

sca, po czym Lupin ciągnął dalej z ledwie

dostrzegalną, właściwą sobie ironią:

W każdym razie, panie Beautrelet, jeśli nie przyjmuje

pan mojej wdzięczności, proszę nie odmawiać przy-

najmniej mego przeproszenia.

Przeproszenia! A to za co, łaskawy panie?

Za brutalność, z jaką zachował się pan Bredoux

względem pana.

Przyznaję, że sposób jego wprowadził mnie w zdumie-

nie. Nie był to zwykły system postępowania Arsena

Łupina. Uderzenie nożem...

Ja temu nie jestem winien... Pan Bredoux wstąpił do nas od niedawna. Przyjaciele moi, zawiadując mymi sprawami, sądzili, że może być dla nas rzeczą korzystną przeciągnięcie na swoją stronę sekretarza sędziego, któremu powierzone zostało śledztwo.

Przyjaciele pańscy nie mylili się.

Rzeczywiście, Bredoux położył znaczne zasługi. Ale pragnąc się wyróżnić, jak każdy neofita, w gorliwości swej zaszedł nieco za daleko; zburzył moje plany i pozwolił sobie uderzyć pana nożem.

O! Niewielkie nieszczęście...

Nie, nie, surowo go za to zgromiłem. Muszę jednak dodać na jego usprawiedliwienie, że zdjęła go rozpacz, gdy widział, z jak niezmierną szybkością prowadził pan śledztwo. Gdyby pan pozostawił nam jeszcze parę godzin czasu, uniknąłby tej brutalnej napaści...

W każdym razie byłby mnie spotkał los Herlocka Sholmesa?

Oczywiście — odrzekł dobrodusznie Lupin. — Ale ja nie doznałbym okropnych wyrzutów sumienia.

Przysięgam panu, że przechodziłem ciężkie chwile, a i teraz nawet pańska bladość niepokoi mnie. Nie

gniewa się pan na mnie?

Ten dowód zaufania — powiedział Beautrelet —
jaki pan mi dał zawierając bez zastrzeżeń — a
przecież mogłem tu naprowadzić przyjaciół
Ganimarda — ten dowód ufności, powtarzam,
zmazuje wszelkie rachunki.

Czy mówił to poważnie? Przyznaję, że byłem
całkiem' zbity z tropu. Walka pomiędzy tymi dwoma
ludźmi zaczynała się tak, że nic z tego nie
zrozumiałem. Łupin był ten sam, co zawsze. Ta
sama ironiczna uprzejmość, ta sama taktyka. Ale
cóż za szczególnego wybrał sobie przeciwnika. Czyż
w ogóle był to przeciwnik? Ani z wyglądu, ani z tonu
nie mógł nim być w samej rzeczy. Bardzo spokojny,
ale spokojny naprawdę, nie maskujący
zapalczywości, bardzo grzeczny, ale bez przesady,
uśmiechnięty, ale niej drwiący, stanowił uderzający
kontrast z Arsenem Lupinem, tak uderzający, że on
sam był zbity z tropu.

Nie, można z wszelką pewnością było twierdzić, że
Lupin wobec tego słabego, przychodzącego do
zdrowia chłopca o różowych jak u dziewczyny
policzkach i czystym, ślicznym spojrzeniu, nie miał
swojej zwykłej pewności siebie. Wahał się, nie

atakował otwarcie, tracił czas na ugrzecznione frazesy.

Miał minę, jakby czegoś szukał, na coś wyczekiwał.;

Na co? Na jaką pomoc?

Znowu zadźwięczał dzwonek. Łupin zerwał się, aby otworzyć.

Powrócił, trzymając list w ręku.

— Panowie pozwolą? — zapytał nas.

Rozdarł kopertę. Zawierała telegram. Przeczytał go.

I nagle nastąpiła w nim przemiana. Twarz rozjaśniła się, ramiona wyprostowały. Wzniósł hardo głowę.

Dostrzegłem w nim mocarza, panującego nad wypadkami, nad ludźmi.

Położył depeszę na stole, uderzył po niej palcami i zawołał:

—Teraz... Beautrelet, zaczynamy!

Beautrelet przygotował się do słuchania, Łupin jął mówić miarowo, sucho:

Zrzućmy maski. Jesteśmy wrogami, występującymi przeciwko sobie, i winniśmy uważać się nawzajem za takich.

Uważać się? — zapytał Beautrelet, zdziwiony.

Tak, uważać się za wrogów. Słowa te wypowiedziałem nie przypadkowo, powtarzam je, jakkolwiek

drogo mnie kosztują. Po raz pierwszy używam ich wobec swego przeciwnika. Ale i ostatni. Proszę korzystać z tego. Wyjdę stąd mając pańskie przyrzeczenie. Inaczej — wojna.

Beautrelet wydawał się coraz bardziej zdziwiony. Ale odezwał się wesoło:

—Nie doczeka się pan tego ode mnie... dziwnie pan do mnie przemawia... Na co ten gniew, groźby. Czyż mamy być wrogami dlatego, że los postawił nas przeciw sobie? Wrogowie... dlaczego?

Łupin zmieszał się nieco, ale w tejże chwili roześmiał się i rzekł, pochylając się ku chłopcu:

—Posłuchaj, mój chłopcze, po cóż mamy dobierać wyrażenia? Chodzi tu o fakt znany, niezaprzeczalny. Od dziesięciu już lat nie spotkałem tak silnego, jak ty, przeciwnika; z Ganimardem, z Herlockiem Sholmesem igrałem jak z dziećmi. Wobec ciebie muszę się bronić, więcej: cofać się. Tak, w obecnej chwili, uważam się za zwyciężonego. Izydor Beautrelet odniósł triumf nad Arsenem Lupinem. Plany moje zburzone. Wszystko, co pragnąłem zostawić w cieniu, wyciągnął pan na światło dzienne. Krępuje mnie pan, przeszkadza mi. Mam tego

dosyć. Na próżno mówił ci to Bredoux. Powtarzam raz jeszcze i proszę, aby pan rozważył moje słowa.

Beautrelet potrząsnął głową:

Czego pan chce właściwie ode mnie?

Spokoju. Każdy u siebie.

To jest, że panu wolno wrócić do swych kradzieży, a mnie do moich nauk?

Do swoich nauk... do czego tylko pan chce... to mnie nic nie obchodzi... Ale zostawi pan mnie w spokoju...

Chcę spokoju.

—I czymże teraz mogę go naruszyć?

Łupin brutalnie pochwycił go za rękę.

Wie pan o tym aż nadto dobrze! Proszę nie udawać, że pan nie wie. Jest pan w posiadaniu tajemnicy, do której przywiązuję największą wagę. Miał pan prawo poznać ją, ale nie ma pan prawa oddawać jej na pastwę ciekawości tłumów.

Czy jesteś pan pewien, że znam tę tajemnicę?

Jestem tego pewien: dzień za dniem podążałem za tokiem pańskich myśli. W chwili, kiedy Bredoux uderzył pana, zamierzał pan odkryć wszystko.

Potem, ze względu na swego ojca, odłożył pan godzinę zwierzeń. Ale dzisiaj przyrzekł pan je jednemu z pism. Artykuł jest przygotowany. Za

godzinę będzie złożony. Jutro się ukaże.

To prawda.

Łupin podniósł się i wznosząc rękę do góry,

krzyknął:

—Nie ukaże się!

Ukaże się — powiedział Beautrelet, powstając z

krzesła.

Myślałem, że łąda chwila rzucą się na siebie.

Beautrelet nagle się ożywił. Zbudziły się w nim jakby

nowe uczucia: odwaga, duma, pragnienie walki,

upojenie niebezpieczeństwem.

W oczach Łupina błyszczała radość, że skrzyżował

wreszcie broń z nienawistnym przeciwnikiem.

Artykuł oddany?

Jeszcze nie.

Ma go pan przy sobie?

Taki naiwny nie jestem. Nie mam go przy sobie.

Gdzież więc jest?

Zapieczętowany w dwóch kopertach, leży w biurku

redaktora. Jeżeli o północy nie będę w redakcji,

odda go do druku.

Ach! Zbrodniarz — mruknął Łupin — wszystko

przewidział.

Gniew jego wzrastał szybko.

Beautrelet uśmiechnął się, upojony triumfem.

—Milcz, złoczyńco — krzyknął Łupin. — Daję słowo, on ośmiela się śmiać.

Zapanowało przykre milczenie. Łupin podszedł o parę kroków i patrząc uporczywie w oczy chłopcu, rzekł głucho:

Biegnij do „Le Grand Journal”.

Nie.

Musisz zniszczyć swój artykuł.

Nie.

Zobaczysz się z naczelnym redaktorem.

—Nie.

Łupin porwał żelazną linijkę, leżącą na biurku, i zламаł ją bez wysiłku. Blady był śmiertelnie. Wytarł czoło, po którym spływały krople potu. Upór tego młodzieniaszka wytrącał go z równowagi, jego, który nigdy nie napotkał przeszkód w swych działaniach.

Oparł obie ręce na ramionach Beautreleta i rzekł, wymawiając każdy wyraz z osobna:

Uczynisz to wszystko, Beautrelet, powiesz, że ostatnie wypadki przekonały cię o mojej śmierci, że nie ulega ona żadnej wątpliwości. Powiesz to, ponieważ ja tak chcę, ponieważ trzeba, aby wszyscy myśleli, że nie żyję. Powiesz to, bo jeżeli nie

powiesz...

Bo jeżeli nie powiem?

Dziś jeszcze w nocy zostanie porwany twój ojciec,
jak zostali porwani Ganimard i Herlock Sholmes.

Beautrelet uśmiechnął się.

Nie śmiej się... odpowiadaj...

Odpowiem, że bardzo mi jest nieprzyjemnie sprze-
ciwiać się panu, ale ponieważ przyrzekłem
powiedzieć, to powiem.

Powiesz tak, jak ja tego chcę.

Powiem tak, jak jest naprawdę — gorąco zakrzyknął

Beautrelet. — Pan nie może tego zrozumieć:

zadowolenia, konieczności prawie powiedzenia
tego, co jest, powiedzenia głośno. Prawda znajduje
się tutaj, w tej głowie, która ją odgadła i wykryła,
wyjdzie z niej naga, żywa. A zatem artykuł ukaże się
taki, jak go napisałem. Będzie w nim powiedziane,
że Łupin żyje, będzie wskazany powód, dla którego
chciał, by uważano go za zmarłego. Będzie
powiedziane wszystko. I dodał spokojnie:

—A mój ojciec nie zostanie porwany.

Zamilkli znowu, patrząc sobie prosto w oczy.

Sztylety były w pogotowiu. A zawsze przygniatająca
cisza poprzedza śmiertelny cios. Kto go zada?

Łupin wycodził przez zęby:

—Dziś w nocy, o godzinie trzeciej, dwóch moich przyjaciół wejdzie do pokoju twego ojca, porwie go dobrowolnie albo siłą i zawiezie do miejsca, w którym znajdują się Ganimard oraz Herlock Sholmes.

Odpowiedziano mu wybuchem śmiechu.

—A więc nie pojmujesz, złoczyńco — zawołał Beautrelet — że ja także ze swej strony przedsięwziąłem środki ostrożności? A więc wyobrażasz sobie, iż jestem tak naiwny i odesłałem, jak głupiec, mojego ojca do cichego, samotnego domku na wsi?

Ironiczny uśmiech rozświetlił twarz chłopca.

Uśmiech nieznanym dotychczas na jego ustach, w którym czuło się wpływ Łupina. I to wyzywające zachowanie się, stawiające go na jednym poziomie z przeciwnikiem!...

Ciągnął dalej:

—Największy błąd twój, kochany przyjacielu, polega na tym, że uważasz swoje kombinacje za doskonałe. Oświadczyłeś raz na zawsze, iż jesteś niezwycięzony! Kpiny! Jesteś przekonany, że zawsze, koniec końców, ty będziesz górą... ale

zapominasz, że i inni mogą mieć swoje kombinacje.

Moja jest nader prosta, mój drogi.

Przerwał na chwilę, potem kończył:

—Posłuchaj, ojca mego nie ma w Savoie. Jest na drugim końcu Francji, w centrum wielkiego miasta, strzeżony przez dwudziestu naszych przyjaciół, którzy otrzymali rozkaz nie spuszczenia go z oka aż do ukończenia naszego pojedynku. Chcesz poznać szczegóły? Jest w Cherbourgu w domu pewnego urzędnika arsenału, nie zapominaj o tym, zamkniętym na noc, a do którego w dzień można się dostać jedynie na mocy pozwolenia i w towarzystwie żołnierza.

Staął przed Lupinem i spojrzał nań pogardliwie, jak dzieciak pokazujący figę swemu koledze.

—Co powiesz na to, mistrzu?

Łupin kilka minut stał nieruchomo, ani jeden mięsień nie zadrgał mu na twarzy. Co myślał? Do jakiego czynu się przygotował? Dla tego, kto znał siłę jego gniewu, możliwe było jedno tylko rozwiązanie: zupełne, natychmiastowe, ostateczne unicestwienie wroga. Palce jego zaciskały się. Pewnej chwili czułem, że rzuci się nań i zadusi.

—Co powiesz na to, mistrzu? — zapytał powtórnie

Beautrelet.

Łupin pochwycił depeszę, leżącą na stole, podał mu ją i rzekł, panując już całkowicie nad sobą:

— Masz, przeczytaj to, moje dziecię.

Beautrelet spoważniał w jednej sekundzie. Rozwinął papier i natychmiast podniósłszy oczy szeptem zapytał:

Co to ma znaczyć?... Nic nie rozumiem...

Zrozumiesz wszystko od pierwszego słowa —

rzekł Lupin — od

pierwszego słowa depeszy... z nazwy miejsca, z

którego została wysłana... Patrz... „Cherbourg...”

Tak... tak... — szepnął Beautrelet — tak, rozumiem... Cherbourg... a dalej?

Dalej?... Zdaje mi się, że i reszta niemniej jest

wyraźna: „Pakowanie towaru skończone...

towarzysze odjechali z nim i będą czekać instrukcji

do godziny ósmej rano. Wszystko idzie dobrze". Co

wydaje ci się tutaj niejasne? Wyraz towar? Ba! Nie

można było przecież napisać pan Beautrelet ojciec. I

co więcej? W jaki sposób dokonano tej operacji?

Cud, dzięki któremu ojciec twój został porwany z

Cherbourga, mimo dwudziestu strażników? Ależ to

głupstwo! Co powiesz na to, chłopcze?

Z niepojętym wysiłkiem Izidor starał się zrobić uprzejmą minę. Ale widać było, że usta drżą mu konwul-syjnie, że zęby szczękają, że oczy na próżno usiłują spoglądać w jeden punkt. Wyszeptał parę niezrozumiałych wyrazów, zamilkł, zasłonił twarz rękami i wybuchnął rozpaczliwym łkaniem:

—O! Tatusiu... tatusiu...

Nieoczekiwane to rozwiązanie, oznaczające kompletne zwycięstwo, schlebiające próżności Łupina, stało się wszakże czymś innym, czymś nieskończenie wzruszającym i nieskończenie naiwnym.

Lupin uczynił ruch rozdrażnienia i wziął do ręki kape-lusz, jakby zmęczony tym wybuchem dziecięcego żalu. Ale na progu zatrzymał się, pomyślał chwilę, potem z wolna powrócił.

W pokoju słychać było tylko stłumione łkanie, jak ża-łosną skargę dziecka zwyciężonego przez rozpacz.

Pomiędzy zaciśniętymi palcami spływały łzy. Lupin pochylił się i rzekł bez śladu ironii lub obowiązkowego współczucia zwycięzcy:

—Nie płacz, dziecko. Trzeba było spodziewać się takiego ciosu, rzucając się na przeciwnika ze spuszczoną głową, jak to ty uczyniłeś. Czeka ją cię

gorsze przegrane... Taki jest los walczących. Trzeba być mężnym.

Potem mówił dalej, łagodnie, serdecznie:

—Czy wiesz, miałeś słuszność: nie jesteśmy wrogami. Dawno już to wiedziałem... Od pierwszej chwili poczułem dla ciebie, mądrego stworzenia, mimowolną sympatię... zachwyty... I oto dlaczego chciałem ci to powiedzieć... Niech cię to nic nie gniewa... nie miałem zamiaru cię obrażać... ale muszę ci to powiedzieć... A więc, wyrzeknij się walki ze mną... Mówię ci to nie przez próżność... tym bardziej nie dlatego, żebym tobą pogardzał... ale widzisz... walka zbyt jest nierówna... Ty nie wiesz... nikt nie wie, jakimi rozporządzam środkami, które są we mnie. Pomyśl, że całe moje życie — od dnia urodzenia nieledwie — zdążyło do jednego, jedyne go celu, że pracowałem, jak galernik, zanim stałem się tym, kim jestem, i zanim w całej pełni udoskonaliłem typ, który zapragnąłem stworzyć. I cóż chcesz .uczynić? W tej samej chwili, kiedy uważałeś zwycięstwo za rzecz pewną, wymknęło ci się z rąk... Usuń się... błagam cię... będę zmuszony zadać ci ból, a to mnie smuci...

I położywszy rękę na jego głowie, powtórzył:

—Po raz drugi, chłopcze, usuń się, proszę, sprawię ci cierpienie. Kto wie, czy nie otwarła się już pod twymi nogami przepaść, w którą wpaść musisz.

Beautrelet podniósł głowę. Już nie płakał. Czy sły-
szał, co mówił do niego Lupin? Wątpię.

W ciągu paru minut milczał, ważył w sobie widocznie jakieś postanowienie, rozpatrywał szanse przeciwne i sprzyjające.

Wreszcie przemówił:

Jeżeli zmienię artykuł, jeżeli potwierdzę wersję o pańskiej śmierci i jeżeli zobowiązę się nie czynić, żadnych wyjaśnień, czy przysięgniesz mi, że ojciec mój będzie wolny?

Przysięgam. Przyjaciele moi udali się z twoim ojcem w samochodzie do pewnego miasta na prowincji. Jutro rano o godzinie siódmej, jeżeli artykuł w „Le Grand Journal” będzie taki, jak cię proszę, zatelefonuję do nich, oni zaś zwrócą wolność twemu ojcu.

Dobrze — rzekł Beautrelet — przyjmuję pańskie warunki.

Zerwał się, jakby, zdecydowawszy usunąć od tej sprawy, uważał dalszą rozmowę za zbyteczną, wziął kapelusz, ukłonił się mi, ukłonił Łupinowi i wyszedł.

Łupin popatrzył za nim, czekał, aż drzwi się zatrza-
sną, potem szepnął:

—
Biedne dziecko...

Nazajutrz rano posłałem służącego po „Le Grand
Journal”. Przyniósł mi go w dwadzieścia minut: w
żadnym prawie kiosku już go nie było.

Gorączkowo rozwinąłem dziennik. Naczelne miejsce
zajmował artykuł Beautreleta. Przytaczam go tak,
jak go wydrukowały wszystkie pisma:

Dramat w d'Ambrumesy.

„Zadaniem tego artykułu nie jest bynajmniej chęć
szczegółowego wyjaśnienia rozumowań i
poszukiwań, dzięki którym udało mi się odtworzyć
dramat, ale raczej podwójny dramat w
d'Ambrumesy. Moim zdaniem, praca ta i wynikające
z niej komentarze, dedukcje, indukcje, analizy itd. —
mają jedynie względne znaczenie, a przy tym nader
banalne. Pragnę więc tylko ukazać dwie myśli
przewodnie, kierujące moimi poszukiwaniami, a
ukazawszy je, opowiem wszystko po prostu, jak się
działo w rzeczywistości.

Być może czytelnicy zauważą, iż niektóre punkty w
sprawie tej nie są dowiedzione i że pozostawiłem

wiele miejsca przypuszczeniom. Uważam jednak, że hipoteza moja jest oparta na dostatecznej liczbie dowodów, ażeby pewne fakty, nawet nieudowodnione, zaprzeczyć mogły jej prawdziwości. Źródło ginie nieraz wśród kamienistego łożyska, niemniej jednak jest tym samym źródłem, w którym odbija się błękit niebios.

A zatem przystępuję do rozwiązania pierwszej zagadki: jakim sposobem Lupin, śmiertelnie raniony, jak mówiono, mógł żyć w ciągu czterdziestu co najmniej dni bez dozoru, bez lekarstw, bez jedzenia, w głębi ciemnej pieczary?

Na to odpowiemy po kolei. W czwartek, 16 kwietnia, o godzinie czwartej nad ranem Arsen Łupin, pochwycony niespodzianie na miejscu jednej z najzuchwalszych swych kradzieży, uciekł drogą przez ruiny i padł, trafiony kulą.

Z największym trudem podnosi się, pada i znowu wstaje, w rozpaczliwym pragnieniu dostania się do kaplicy. Jest tam bowiem pieczara, którą odkrył przypadkowo. Gdyby zdołał skryć się w niej, byłby ocalony. Wyteżywszy całą swą energię zbliża się, jest już o kilka metrów, gdy nagle słychać jakiś

szmer. Jest to panna Rajmunda de Saint--Veran.

Oto prolog, a raczej pierwszy akt dramatu.

Co zachodzi pomiędzy nimi? Tym łatwiej odgadnąć,

że dalszy ciąg daje ku temu wszelkie wskazówki. U

stóp dziewczęcia spoczywa człowiek śmiertelnie

ranny, męczy się, za parę minut umrze. I tego

człowieka ona zabiła. Czy go wyda?

Jeśli jest mordercą Jana Davala — tak; pozwoli

dopełnić się losowi. Ale on w szybkich słowach

wyznaje jej prawdę. Zabójstwo w obronie własnej

popęłił wuj jej, hrabia de Gesvres.

Wierzy mu. Jak postąpi?

Nikt ich nie widzi. Służący Wiktor strzeże furtki. Dru-

giego, Alberta, zostawiła w salonie; obaj stracili ich z oczu. Czy wyda człowieka, którego zraniła?

Ogromna litość, którą zrozumiały kobiety, opanowuje

serce dziewczęcia. Przewiązuje ranę chustką, aby

zatomować upływ krwi. Potem kluczem, danym jej

przez Lupina, otwiera drzwi kaplicy. Wprowadza go.

Zamyka drzwi. Nadbiega Albert.

Gdyby zajrzano do kaplicy w tejże chwili albo może

nawet w kilka minut potem, Lupin, który nie zdążył

jeszcze zebrać sił, podnieść kamienia i zejść po

schodach do pieczary, byłby schwytyany. Ale kaplicę

przeszukiwano dopiero w sześć godzin potem i

najpowierzchniej jak tylko można sobie
wyobrazić. Lupin był uratowany. Uratowany przez tę,
która chciała go zabić.

Od tej chwili panna de Saint-Veran jest jego współni-
czką. Nie tylko, że nie może go wydać, musi
prowadzić dalej dzieło miłosierdzia, bo inaczej ranny
umarłby w swej kryjówce.

Więc prowadzi swe dzieło. Umie przewidzieć
wszystko. Sędziemu śledczemu daje fałszywy opis
Arsena Lupina (przypomnijcie sobie różnicę w
zdaniach obu kuzynek). Poznaje, w nieznanym mi
sposób, w przebranym dorożkarzu współnika
Lupina. Ona -go ostrzega. Ona powiadamia go, że
operacja jest nieuchronna. Ona zamienia czapki.
Ona każe napisać ową sławną groźbę, przeciw
sobie skierowaną, dla uniknięcia wszelkich
podejrzeń.

Ona też w chwili, gdy opowiadałem przed sędzią
śledczym pierwsze moje wrażenia, oświadczyła, iż
widziała mnie w przeddzień w zagajniku, napuściła
na mnie pana Filleula i zmusiła do milczenia. Był to
manewr nader niebezpieczny, ponieważ obudził
moją uwagę i skierował ją na nią, lecz manewr
bardzo zręczny, przede wszystkim bowiem trzeba

było zyskać na czasie i zamknąć mi usta.

Ona w ciągu czterdziestu dni karmi Łupina, znosi mu lekarstwa (zapytajcie aptekarza w Ouiville, a pokaże wam recepty, otrzymane od panny de Saint-Veran) ona wreszcie pielęgnuje chorego, opatruje mu ranę i doprowadza do zdrowia.

I oto mamy rozwiązanie jednej zagadki, wyjaśniającej pierwszy dramat w d'Ambrumesy.

Arsen Lupin znalazł tuż obok, w tymże samym zamku, pomoc konieczną dla niego z początku, aby nie zostać odkryty, potem, aby żyć.

I żyje. Wówczas powstaje druga tajemnica, wyjaśnienie której jest dla mnie nicią przewodnią, a która odnosi się do drugiego dramatu w d'Ambrumesy. Dlaczego Lupin, żywy, wolny, znalazłszy się znowu na czele swej szajki, potężny jak nigdy, dlaczego Lupin czyni rozpaczliwe wysiłki, o które wciąż się obijam, aby wmówić sądowi i publiczności wiarę w śmierć swoją?

Należy przypomnieć, że panna de Saint-Veran jest bardzo piękna. Fotografie, zamieszczone w dziennikach, są jedynie niezdarnym odbiciem tej cudnej twarzy. Stało się to, co się stać musiało.

Lupin, w ciągu czterdziestu dni widujący koło siebie śliczną dziewczę, upajający się jej obecnością, rozpaczający, gdy się spóźni, jest zakochany w swej dozorczyni. Wdzięczność przeszła w miłość, zachwy — w namiętność. Jest ona jego zdrowiem, radością jego oczu, marzeniem jego bezsennych nocy, jego światłem, nadzieją, jego życiem.

Szanuje ją tak głęboko, że nie chce korzystać z jej pomocy dla swych współpracowników. W działaniach szajki znać pewne niezdecydowanie. Ale kiedy panna de Saint-Veran, nie poddając się urokowi tej gwałtownej miłości, odwiedza go coraz rzadziej, w miarę, jak staje się to mniej niezbędnym; przerywa całkiem swe. odwiedziny w dniu, kiedy zupełnie przychodzi do zdrowia. Wówczas, zrozpaczony, zgnębiony decyduje się na krok stanowczy. Opuszcza swoją kryjówkę, przygotowuje napad i w sobotę, 6 czerwca, przy pomocy towarzyszy porywa pannę de Saint-Veran.

Ale to nie wszystko. O porwaniu tym nikt nie powinien wiedzieć. Trzeba uniemożliwić wszelkie poszukiwanie, wszelkie domysły, samą nadzieję nawet. Więc symulują morderstwo, podsuwają sądowi dowody. Panna de

Saint-Veran nie żyje. Jest to zresztą zbrodnia przewidziana, oznajmiona z dawna przez jego współników, zbrodnia, popełniona przez zemstę za śmierć ich naczelnika.

Nie dość wzbudzić zaufanie, należy dać pewność.

Lupin wie, że mam przybyć. Odgadnę tajemnicę pieczary. Znajdę pieczarę. Pieczara będzie pusta, cały gmach oszustw runie.

A więc pieczara nie będzie pusta.

Zaś śmierć panny de Saint-Veran wówczas jedynie będzie niewątpliwa, gdy morze wyrzuci jej ciało.

A więc morze wyrzuci ciało panny de Saint-Veran.

Trudności kolosalne! Podwójna nieprzewyciężona przeszkoda.

Tak, dla każdego innego, ale nie dla Łupina...

Odgaduję tajemnicę kaplicy, znajduję pieczarę. Spuszczam się do legowiska Arsena Lupina. Znajduję już tylko jego trupa!

Każdy, kto śmierć Łupina uważał za możliwą, mylił się. Co do mnie, ani na sekundę nie dopuszczałem tej ewentualności (z początku instynktownie, potem na mocy rozumowania). Wszystkie kombinacje byłyby w takim razie bezpodstawne. A tak być nie mogło. Przekonałem się na miejscu, że kamień,

zrzucony uderzeniem lewara, dziwnym zbiegiem okoliczności tak był ustawiony, iż za najbliższym poruszeniem musiał spaść, padając zaś — nieuchronnie zmiażdżyć głowę fałszywemu Arsenowi Lupinowi; wówczas poznać go było niepodobieństwem.

Drugie odkrycie. W pół godziny potem dowiedziałem się, że na skałach w Dieppe odnaleziono ciało panny de Saint-Veran... a raczej ciało kogoś, kogo wzięto za nią, dzięki bransolecie, jaką nosiła zawsze na ręce. Był to jedyny dowód, ponieważ trupa nie można było poznać.

Wtedy przypomniałem sobie wszystko; wszystko zrozumiałem. Na parę dni przedtem czytałem w „La Vigie de Dieppe”, że pewne młode małżeństwo otruło się i że tej samej nocy ciała znikły. Udałem się do Envermeu, gdzie mieszkali za życia. Powiedziano mi tam, że wszystko to jest prawda, za wyjątkiem wersji o zniknięciu ciał, ponieważ przyjechali po nie bracia obu ofiar i, dopełniwszy zwykłych formalności, trupy zabrali.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że braćmi tymi byli Arsen Lupin oraz jego wspólnicy.

A zatem dowód istnieje. Znamy przyczynę, dla której Arsen Lupin symulował śmierć panny de Saint-

Veran oraz swoją własną. Ażeby ceł swój osiągnąć, nie zatrzymuje się przed niczym, decyduje się nawet na tę nieprawdopodobną kradzież dwóch trupów, potrzebnych mu do zastąpienia ciał jego i panny de Saint-Veran. Wtedy dopiero będzie spokojny. Nikt nie dojdzie prawdy, tak zręcznie zatartej.

Nikt? Nie... W razie czego trzech przeciwników mogłoby powziąć podejrzenie. Ganimard, który lada chwila miał przybyć, Herlock Sholmes, gotujący się do opuszczenia Londynu, i ja, który znajdowałem się na miejscu. Groziło mu zatem potrójne niebezpieczeństwo.

Odwrócił je od siebie. Porwał Ganimarda. Porwał Herlocka Sholmesa. Kazał Bredoux uderzyć mnie nożem.

Pozostawał jeden tylko ciemny punkt. Dlaczego Bredoux, posłuszny rozkazom Łupina, tak usilnie starał się wyrwać z rąk moich dokument o Aiguille Creuse. Wiedział wszakże, że odebrawszy mi go, nie zdoła zatrzeć w mojej pamięci nakreślonych tam znaków? Dlaczego zatem obawiał się, żeby sam gatunek papieru albo inna jaka wskazówka nie naprowadziły mnie na właściwą drogę?

Ale zostawmy to na razie. Prawda o sprawie

d'Ambrumesy jest wyświetlona. Powtarzam, iż w wyjaśnieniach moich dość znaczną rolę odgrywa przypuszczenie, w poszukiwaniach zaś i moich osobistych wnioskach odgrywały one rolę dominującą. Ale gdyby dla pokonania Arsena Lupina chciało się wyczekiwać faktów i dowodów, trzeba by ryzykować niejedno.

Jestem pewien, że kiedy fakty staną się znane, przypuszczenia moje znajdą potwierdzenie we wszystkich punktach."

Tak więc Izydor Beautrelet, zwyciężony na chwilę przez Arsena Lupina, przerażony porwaniem swego ojca, koniec końców nie zdołał się zdecydować na milczenie. Prawda była zbyt pociągająca, zbyt niezwykła; dowody, które mógł przytoczyć — zbyt logiczne i zbyt przekonywające, ażeby, zdołał się zgodzić na przeinaczenie prawdy.

Cały świat oczekiwał jego wyjaśnień. Beautrelet przemówił.

Tajemnica królowej

I. Porwanie

Tego dnia wieczorem, gdy artykuł Beautreleta ukazał się w „Le Grand Journal”, dzienniki podały wiadomość o porwaniu Beautreleta-ojca. Izydor

został zawiadomiony o wypadku depeszą

otrzymaną o godzinie trzeciej.

Cios ten ogłuszył go. Drukując swoje rewelacje, ule-

gał jednemu z tych odruchów, które każą nam

zapomnieć o wszystkim innym, i w głębi duszy nie

wierzył w spełnienie groźby Łupina. Przedsięwziął

wszelkie środki ostrożności. Przyjaciele jego w

Cherbourgu nie tylko obowiązani byli strzec jego

ojca: mieli ani na chwilę nie spuszczać go z oka,

towarzyszyć mu, gdy wychodził z domu. a nawet nie

oddawać mu listów, uprzednio nie przejrzanych.

Nie, to są próżne obawy. Łupin, chcąc zyskać na

czasie, usiłował po prostu nastraszyć swego

przeciwnika.

Cios zatem był całkiem niespodziewany; Izydor zaś,

przez kilka godzin nie mogąc nic przedsięwziąć,

szalał z rozpacz. Jedna tylko myśl go

podtrzymywała: jechać czym prędzej na miejsce

wypadku i szukać ojca.

Do Cherbourga wysłał depeszę. O ósmej był na

dworcu Saint-Lazare. W kilka minut potem zdążył z

szaloną szybkością pociągiem expresowym do celu.

W wagonie machinalnie przeglądając wieczorną

gazetę, kupioną na kolei, natrafił na słynny list, w

którym Lupin odpowiadał na jego poranny artykuł.

Szanowny Panie Redaktorze!

Rozumiem dobrze, iż skromna moja osoba, która w bardziej bohaterskich czasach przeszłoby całkiem niespostrzeżenie, w obecnej chwili zwraca na siebie powszechną uwagę. Powinny wszakże istnieć granice brutalnej ciekawości tłumów. Jakież schronienie pozostaje wolnemu obywatelowi, jeśli ciekawość ta wkracza nawet w jego życie prywatne?

Obecnie, gdy prawda została odkryta, nie kosztuje mnie nic oficjalne przyznanie się do niej. Panna de Saint--Veran żyje. Kocham ją. Boleję, że bez wzajemności. Wnioski młodego Beautreleta zadziwiają ścisłością i zręcznością. W najdrobniejszym szczególe zgadzają się z prawdą.

Tajemnica przestała być tajemnicą. Ale cóż dalej?...

Sięgnięto w samą głębię mej duszy, nieuleczonej jeszcze z najkrwawszych ran moralnych. Ale teraz

proszę przestać już rzucać na pastwę ciekawości

publicznej naj-

serdeczniejsze moje uczucia, najtajniejsze nadzieje.

Żądam, aby zostawiono mnie w spokoju, który jest

mi konieczny dla pozyskania sympatii panny de

Saint-Veran i usunięcia z jej pamięci tysięcznych

nieprzyjemności, jakie znieść musiała od wuja swego i kuzynki w charakterze ubogiej krewnej. Panna de Saint-Veran zapomni o tej bolesnej przeszłości.

Wszystko, o czym zamarzyć tylko zechce, choćby to były najdroższe skarby na ziemi, wszystko złożę u jej stóp. Będzie szczęśliwa. Pokocha mnie.

Ale, by to osiągnąć, powtarzam raz jeszcze, potrzebny mi jest spokój. Dlatego też składam broń, dlatego podaję mym wrogom palmę pokoju — wspaniałomyślnie wszakże ich uprzedzając, iż nieprzyjęcie jej może sprowadzić bardzo poważne następstwa.

Jedno jeszcze słowo co do pana Harlingtona. Pod nazwiskiem tym ukrywa się sekretarz miliardera amerykańskiego, mr Cooleya, któremu ten polecił zakupywać wszystkie zabytkowe dzieła sztuki, jakie tylko nabyć można. Na szczęście natrafił na przyjaciela mego Stefana de Vaudreix, alias Arsen Lupin. Przez niego dowiedział się, iż niejaki de Gesvres pragnie sprzedać cztery obrazy. Rubensa pod warunkiem, że będą one zastąpione kopiami i że sprzedaż pozostanie tajemnicą. Przyjaciel mój, de Vaudreix, potrafił namówić de Gesvresa, aby sprzedał też i kaplicę. Pertraktacje prowadzone były

w najlepszej wierze ze strony przyjaciela mego de Vaudreix, z ogromną uprzejmością zaś ze strony pana Harlingtona aż do dnia, w którym obrazy Rubensa i statuetki z kaplicy dostały się w bezpieczne miejsce, a pan Harlington — do więzienia. Pozostaje zatem jedynie uwolnić nieszczęśliwego Amerykanina, który odegrał w całej tej sprawie nader nieznaczną rolę; wyrazić pogardę miliardero- wi Cooleyowi, który, obawiając się nieprzyjemności, nie zaprotestował przeciw uwięzieniu swego sekretarza, i podziękować przyjacielowi memu, Stefanowi de Vaudreix, który nie dopuścił do po- zbytecznego zbawienia kraju rzadkich arcydzieł, zyskując dlań przy tym setki tysięcy franków, otrzymanych w formie zadatku od wielce niesympatycznego mr Cooleya.

Proszę wybaczyć, szanowny panie redaktorze, długość tego listu i raczyć przyjąć wyrazy głębokiego szacunku.

Arsen Lupin

Izydor rozpatrywał wszystkie zwroty owego listu równie sumiennie, jak dokument Wydrążonej Igły, wychodząc z założenia, iż Lupin wówczas tylko trudził się pisaniem listów do redakcji, gdy go

zmuszała do tego jakaś konieczność, jakaś
niezmiernie ważna przyczyna, która wyświeślała
zazwyczaj dalsze wypadki. Co go skłoniło do
napisania tego listu? Dlaczego tak jawnie wyznawał
swą miłość i niepowodzenie w niej?

Zamknięty w swym przedziale młodzieniec długie
godziny spędził na rozmyślaniu i w niepokoju. List
ten wzbudzał w nim nieufność; czuł, jakby pisany był
umyślnie dla niego, jakby jego właśnie miał w błąd
wprowadzić. Po raz pierwszy też doznał prawdziwej
obawy. Przeczuwał, że jest to nie tylko nowy atak,
ale podstępna sieć na niego zastawiona. Myśląc o
swym biednym, starym ojcu, porwanym z jego winy,
zastanawiał się, czy nie jest prostym szaleństwem
prowadzenie tego nierównego po-
jedyńku. Czyż wynik nie był prawie pewny? Czyż
Łupin nie był z góry już zwycięzcą? Przygnębienie
jednak nie trwało długo. Gdy o godzinie szóstej rano
wychodził z przedziału, pokrzepiony parogodzinnym
snem, był pełen wiary w swe siły.

Na dworcu oczekiwał go Froberval, urzędnik portu
wojskowego, który dał schronienie jego ojcu;
towarzyszyła mu córka, Karolina, dziewczynka lat
około trzynastu.

—I cóż? — zawołał Beautrelet.

Gdy Ffoberval jął w odpowiedzi wzdychać i jęczeć,

Izydor przerwał mu natychmiast, zaprowadził do

cukierni, kazał podać kawy, po czym rzekł,

przystępując wprost do rzeczy:

Mój ojciec nie został porwany, przecież to było

niemożliwe?

Niemożliwe LA jednak znikł.

Kiedy?

Nie wiadomo.

Jak to?

Nie wiadomo. Gdy wczoraj rano, o szóstej godzinie,
nie wyszedł od siebie, jak to czynił zazwyczaj, zajrza-
łem do jego pokoju. Nie było go tam.

Poprzedniego dnia jednak był jeszcze w domu?

Był! Nie opuszczał swego pokoju. Czuł się zmę-
czony. Karolina w południe zaniósła mu śniadanie, a
o siódmej obiad.

A więc znikł pomiędzy godziną siódmą wieczorem
przedwczoraj a szóstą rano wczoraj?

— Tak, poprzedniej nocy. Tylko...

Co tylko?

Tylko w nocy nie można wyjść z arsenału.

A więc w takim razie nie wyszedł?

Niestety! Przeszukaliśmy cały port.

Musiał więc wyjść.

To niemożliwe. Wszystkie wyjścia są strzeżone, i

Beautrelet pomyślał chwilę, potem zapytał:

Co dalej?

Pobiegłem na policję i zawiadomiłem komisarza.

Przyszedł?

Tak, razem z jakimś sadownikiem. Szukano przez :

cały ranek; zauważywszy, że nic z tego nie będzie i

że nie ma już nadziei, zatelegrafowałem do pana.

Czy łóżko było rozebrane?

Nie.

I pokój był w porządku?

Tak. Na zwykłym miejscu znalazłem fajkę, tytoń i

książkę, którą czytał. Książka była nawet założona

pana fotografią.

Niech pan pokaże.

Froberval podał mu fotografię. Beautrelet zdumiał

się. Był na niej przedstawiony w postawie stojącej, z

rękami w kieszeniach, na trawniku, otoczonym

drzewami i starymi ruinami.

Urzędnik dodał:

—Zapewne pan przysłał ojcu ostatnią swą fotografię.

O, nawet z tyłu jest data... 3 kwietnia, nazwisko foto-

graфа R. de Val i nazwa miasta, Lion... Lion-sur-Mer

—

zdaje się.

Izydor odwrócił fotografię i przeczytał własną ręką

pisane słowa:

R. de Val — 3,4 — Lion...

Przez kilka chwil milczał, po czym odezwał się:

Czy ojciec nie pokazywał panu tej fotografii?

Nie... i to mnie zdziwiło, gdym ją wczoraj zobaczył

gdyż ojciec pański często nam opowiadał o panu.

Znowu nastąpiło milczenie, tym razem bardzo

długie. Wreszcie przerwał je Froberval:

—Mam zajęcie w pracowni... Może byśmy mogli już

wrócić...

Izydor nie spuszczał oczu z fotografii, oglądając ją

na wszystkie strony. Naraz zapytał:

Czy nie ma gdzie w pobliżu oberży pod nazwą Lion

d'Or?

Owszem, jest o milę stąd.

Na drodze do Valognes, prawda?

Istotnie, na drodze do Valognes.

Mam wobec tego wszelkie dane przypuszczać, że w

tej oberży było główne siedlisko wspólników Łupina.

Stamtąd weszli w kontakt z moim ojcem.

Cóż za myśl! Ojciec pana z nikim nie rozmawiał.

Mógł nikogo nie widzieć, ponieważ działał tu pośrednik.

Jaki pan ma na to dowód?

Tę fotografię.

Ależ to pana.

Tak, moja, ale ja jej nie posyłałem. Nie znał jej

nawet. Zapewne obfotografował mnie

niepostrzeżenie w

d'Ambrumesy pisarz sędziego śledczego, który, jak

pani wie, był współnikiem Arsena Lupina.

A więc?

A więc użyto tej fotografii dla pozyskania zaufania

ojca.

Lecz kto? Kto mógł się do niego dostać?

Nie wiem. Ojciec mój jednak wpadł w pułapkę. I

powiedziano mu, a on uwierzył, iż znajduję się w

okolicy, że chcę się z nim widzieć i że nazaczyłem

mu spotkanie] w oberży Lion d'Or.

— Ależ to nieprawdopodobne! Skąd takie przypuszczenie?

Bardzo proste. Na odwrotnej stronie fotografii

naśladowano moje pismo i wskazano miejsce

widzenia się... Route (droga) de Valognes, 3 km 400

oberża Lion. Tam przybył ojciec i stamtąd go porwano.

Dobrze — szepnął Froberval osłupiały. — Dobrze... zgoda na to, wszystko odbyło się w ten sposób... nic jednak nie tłumaczy, jakim cudem wydostał się w nocy...

Nie w nocy, lecz w dzień wyszedł z arsenału.

Ależ do stu tysięcy, poprzedniego dnia nie opuszczał ani na chwilę swego pokoju!

To jeszcze nie stwierdzone; należy zapytać żołnierza, trzymającego straż po południu. Proszę sprawdzić, ale szybko, jeśli chce mnie pan tu zastać.

Pan odjeżdża?

Tak.

A śledztwo?

Moje śledztwo jest już skończone. Wiem wszystko, co wiedzieć chciałem. Za godzinę opuszczam Cherbourg.

Froberval wstał, spojrzął na Beautreleta oszołomionym wzrokiem, zawahał się chwilę, potem schwycił za czapkę.

Chodź, Karolko — rzekł do córki.

Nie — powiedział Beautrelet — potrzebuję jeszcze kilka informacji. Niech ją pan zostawi ze mną.

Froberval odszedł. Oczy młodzieńca i dziecka spotkały się; Izydor z ogromną łagodnością położył rękę na ramieniu dziewczynki, która nagle, zakrywając twarz rękami, wybuchnęła głośnym łkaniem.

Izydor dał się jej wypłakać i po chwili dopiero odezwał się:

—To ty wszystko zrobiłaś, nieprawdaż? Ty im służyłaś za pośredniczkę? Ty przyniosłaś fotografię?

Mówiąc, że ojciec mój był przedwczoraj w swoim pokoju, nie mówiłaś prawdy, ponieważ sama ułatwiłaś mu wyjście. Czy tak?

Dziewczynka milczała. Izydor ciągnął więc dalej:

—Czemu to uczyniłaś? Dali ci zapewne pieniędzy... byś mogła kupić sobie wstążek, cukierków?

Podniósł ku sobie twarzyczkę dziecka, zapłakaną, ładną twarzyczkę dziewczynki, nie umiejącej oprzeć się pokusom.

Nie mówmy już o tym — rzekł. — Nie pytam nawet, jak się wszystko stało... Powiesz mi tylko to, co może mi pomóc. Czy nie zauważyłaś czego... nie zapamiętałaś jakiegoś słowa? W jaki sposób odbyło

się porwanie?

Samochodem... słyszałam, jak o tym rozmawiali.

Którędy odjechali?

Nie wiem.

Czy mówili coś przy tobie?

Nic... Jeden z nich tylko powiedział: „Nie ma cza-! su do stracenia... jutro rano o ósmej szef będzie tam telefonował...”

Gdzie „tam”?

Tego nie pamiętam.

Przypomnij sobie... zapewne była to nazwa miasta?

Tak... nazwa... coś jakby zamek (chateau).

Chateaubriant?... Chateau-Thierry?...

Nie... nie...

Chateauroux?

— Tak, tak... Chateauroux...

Beautrelet zerwał się z miejsca i, zapominając o dziecku, pobiegł na dworzec.

Chateauroux... proszę o bilet do Chateauroux... Czy będę tam na dwunastą? — zapytał kasjera.

Jadąc na Paryż, może pan jeszcze zdążyć — odrzekł zapytany.

Po przybyciu do Paryża Beautrelet przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, by nikt go nie śledził.

Zdawał sobie sprawę, iż nadchodzi ważna chwila. Jest na drodze do odnalezienia ojca, ale jedna nieostrożność wszystko może zepsuć. Udał się do jednego ze swych kolegów licealnych, skąd po godzinie wyszedł zmieniony nie do poznania. Był to Anglik, mający lat około trzydziestu, ubrany w kraciasty garnitur cyklisty, wełniane pończochy, w podróżnej czapce na głowie, rumiany, z małą, rudawą brodą. Wieczorem znalazł się w Issoudun, gdzie przemocował. Następnego dnia o świcie wyruszył na rowerze. Po południu wiedział już od pewnych świadków, że jakiś samochód, jadąc drogą do Tours, minął miasteczko Chateauroux i zatrzymał się na skraju lasu. Około godziny dziesiątej podjechał do samochodu jakiś kabriolet, po czym oddalił się na południe. Wówczas znajdowała się w kabriolecie koło" woźnicy jakaś nowa osoba. Samochód pojechał w przeciwną stronę, w kierunku Issoudun. Z wszystkiego tego wnosić należało, iż ojciec Beau-treleta znajduje się w okolicy. Ten niezwykle kurs samochodowy musiał mieć wyraźny cel, a mianowicie przewiezienie ojca Beautreleta w naznaczone miejsce.

— I to miejsce znajduje się tu, w pobliżu — mówił do

siebie Izydor drząc z radości. — O dziesięć, piętnaście kilometrów stąd mój ojciec czeka, abym przybył mu z pomocą. Jest tu, oddycha tym samym powietrzem, co i ja.

Od razu też przystąpił do działania. Kupił mapę sztabu generalnego, podzielił ją na małe kwadraty, które zwiedzał po kolei, wstępując do ferm, rozmawiając z wieśniakami, informując się u nauczycieli wiejskich, merów i proboszczów. Co chwila zdawało mu się, iż jest u celu, a w marzeniach widział już uwolnionych nie tylko swego ojca, lecz i wszystkich więźniów Łupina: pannę de Saint--Veran, Ganimarda, Herlocka Sholmesa, a może i wielu innych. Dostanie się do samego wnętrza fortecy Łupina, do nieprzeniknionego schroniska, w którym gromadził on skarby, łupione po całym świecie.

II. Na tropie

Po dwóch tygodniach daremnych poszukiwań, entuzjazm ten począł się zmniejszać, wreszcie Izydor stracił wszelką nadzieję. Prowadził wprawdzie dalej śledztwo, nie spodziewając się wszakże żadnego rezultatu. Upłynęło jeszcze kilka jednostajnych, beznadziejnych dni. W tym czasie dowiedział się z dzienników, że hrabia de Gesvres

opuścił wraz z córką d'Ambrumesy i przeniósł się w okolice Nicei. W ten sposób również doszła go wiadomość o uwolnieniu sir Harlingtona, którego niewinność stwierdzono dzięki wyjaśnieniom Łupina. Izidor postanowił zrezygnować i zamyślał już o odwrocie, gdy pewnego ranka na liście nieopłaconym, nadesłanym z Paryża, dojrzał charakter pisma swego ojca. Wzruszenie jego było tak silne, iż z obawy zawodu lękał się go otworzyć. Ręka mu drżała. Po kilku minutach wahania wszakże rozpieczętował kopertę. Był to w istocie list od jego ojca. Przeczytał:

Czy słowa te dojdą do ciebie, drogi synu? Nie śmiem się tego spodziewać.

Przez całą noc po porwaniu jechaliśmy samochodem, potem, rano, końmi. Nic nie widziałem. Oczy miałem zawiązane. Zamek, w którym mnie trzymają, znajduje się w parku Pokój mój położony jest na drugim piętrze i ma dwa okna, z którego jedno zawieszane jest całkiem portiern. Przechadzam się Codziennie po parku, ale pod nieustanną opieką dozorczy. Piszę ten list na wszelki wypadek i przywiązuję go do kamienia. Może którego dnia uda mi się wyrzucić go przez mur i ktoś

go podniesie. Bądź spokojny o mnie. Obchodzą się ze mną z wielkimi względami- Pisze te słowa twój stary ojciec, który kocha cię bardzo i martwi się, że przyczynia ci tyle trosk.

Beautrelet

Izydor spojrział na pieczęć pocztową. Była z Cuzion, Indre. Ten sam departament, który od tylu dni przeszukuję! Zajrzał do kalendarza geograficznego.

Cuzion, kanton Eguzon... Był tam również!

Przez ostrożność pozbył się wyglądu Anglika, zbyt już znanego w tych stronach, przebrał za robotnika i podążył do Cuzion. Tutaj poszczęściło mu się od samego początku.

— List oddano na pocztę we środę — rzekł mer, do którego zwrócił się z prośbą o informacje. —

Przesłał go ojciec Charel, stary szlifierz, mieszkający w lepiance koło cmentarza. Jeśli pan sobie życzy

mogę pana tam zaprowadzić.

Gdy dotarli do celu, trzy sroki wyleciały z psiej budy, pies jednak ani nie szczeknął, ani nie poruszył się

przy ich nadejściu.

Beautrelet, twardo zdziwiony, zajrzał do budy. Zwierzę leżało na boku, martwe, z wyciągniętymi łapami.

Pobiegli do domu. Drzwi były otwarte.

W głębi izby, na wiązce słomy, leżał jakiś człowiek.

— Ojciec Charel! — zawołał mer. — Czyżby i on był martwy?

Staruszek ręce miał zupełnie zimne, twarz straszliwie bladą, serce jednak jeszcze biło. Na ciele nie dostrzegli; żadnego uszkodzenia. Beautrelet pobiegł po lekarza, który skonstatował, iż chory jest uśpiony jakimś narkotykiem.

Dopiero następnej nocy Izydor, wciąż przy nim czuwający, zauważył, iż oddech jego stał się

silniejszy, a całe ciało jakby uwalniało się od jakichś niewidzialnych więzów. Nad ranem obudził się, jadł,

pił, powrócił do normalnego trybu życia, ale umysł jego wciąż był jakby odrętwiały. Stracił pamięć o wszystkim, co się działo od ostatniego piątku.

Dla Beautreleta był to cios okropny. Prawdę miał tu, przed sobą, w tych oczach, które widziały mury zamku, ukrywającego jego ojca, w tych rękach, które podniosły 1 list, w tym umyśle przyćmionym, w którym odbił się zakątek świata, gdzie odbywa się bezustanny dramat, i z tych rąk, z tych oczu i z tego umysłu nie może wydobyć najmniejszego nawet echa tak bliskiej prawdy.

Ręka Łupina widoczna była w całej tej sprawie. On jeden tylko, dowiedziawszy się, iż ojciec Beautreleta próbował dać znak życia o sobie, mógł razić

połowiczną śmiercią tego, czyje świadectwo było dla niego niedogodne. Ileż przezorności i inteligencji trzeba było, by unicestwić tak wszelkie dowody! Nikt już nie wie teraz, że w murach tego tajemniczego zamku znajduje się więzień wyczekujący ratunku.

Nikt? Nie — Beautrelet! Ojciec Charel nie jest w stanie mówić? To prawda, ale można dowiedzieć się, gdzie był ostatnim razem i wywnioskować, którądy wracał, tą drogą można będzie wreszcie natrafić...

Izydor postanowił zaprzestać odwiedzin u szlifierza, powiedział się, że piątek jest dniem jarmarku we Fresselines, miście oddalonym o kilka mil, dokąd można iść główną drogą oraz kilkoma bocznymi ścieżkami. W piątek więc wyruszył do miasta główną drogą, nic jednak nie spostrzegł, co by mogło wydać się podejrzane. Zjadł śniadanie w oberży i chciał już wracać, gdy wtem ujrzał na drodze ojca Charela ze swym wózkiem. Począł z daleka iść za nim.

Szlifierz co chwila przystawał, ostrząc noże.

Wreszcie skręcił w bok, na drogę, prowadzącą ku Crozant i Egu-zon. Beautrelet szedł za nim; nie upłynęło pięć minut, gdy ujrzał, że śledzi go nie sam. Pomiędzy nimi znajdował się jeszcze jakiś człowiek i ten przystawał jednocześnie ze szlifierzem i szedł za

nim, bynajmniej się nie kryjąc.

— Śledzą go — pomyślał Beautrelet — widocznie chcą się przekonać, czy pozna miejsce...

Serce biło mu silnie. Zbliżało się rozwiązanie sprawy.

Wszyscy trzej doszli w ten sposób do Crozant.

Ojciec Charel skręcił ku szosie i przeszedł przez most. Tu jednak zaszedł fakt, który zdumiał Beautreleta. Szpieg popatrzył za staruszką, a gdy go już stracił z oczu, udał się boczną ścieżką pomiędzy polami.

Co zrobić? Beautrelet wahał się przez chwilę, potem jednak ruszył w ślad za nieznanym.

—Przekonał się — rozumował — że ojciec Chanel minął to miejsce obojętnie. Jest już spokojny i wraca. Dokąd? Do zamku.

Zbliżał się do celu. Mówiło mu to tajemne drżenia serca. Człowiek zaszedł do lasu nad rzeką, potem ukazał się znowu na ścieżce. Gdy Beautrelet wyszedł z lasu^ nigdzie go już nie było. Oglądając się za nim na wszystkie strony, nagle skoczył w tył, tłumiąc okrzyk radości i schował się w gęstwinę. Na prawo dojrzał wysokie, potężne mury zamku.

To tutaj! Tutaj! Te mury więżą jego ojca! Znalazł

wreszcie tajemne schronienie, w którym Łupin przechowuje swe ofiary. Czołgając się prawie, Izydor dotarł do wzgórza, skąd poprzez wysoki mur widać było dach zamku, najeżony małymi, spiczastymi jak igły wieżyczkami, i

Teraz trzeba było namyśleć się i przygotować plan działania. Postanowił więc wrócić. Koło mostu spotkał dwóch wieśniaków, niosących mleko.

Zapytał ich:

—Jak się nazywa ten zamek, tam, za lasem?

—To, proszę pana, Zamek Iglasty.

Zadrżał.

Iglasty zamek... Gdzie jesteśmy? Wszak to departament Indre?

Nie, panie. Indre jest po tamtej stronie rzeki. Tutaj mamy departament Creuse.

Izydor stanął jak olśniony. Zamek Iglasty! Igła! Departament Creuze! Aiguille Creuse — igła wydrążona! Klucz do zrozumienia dokumentu Zupełne, kompletne zwycięstwo!

Nie podziękowawszy nawet za objaśnienie, Izydor ruszył naprzód, chwiejąc się jak pijany.

III. Wyprawa

Beautrelet postanowił bezzwłocznie działać, nie za-

wiadamijac policji. Obawiał się zwłoki, podczas której Lupin mógłby zbiec, zacierając za-sobą ślady. Nazajutrz o ósmej rano opuścił oberżę, a doszedłszy do pierwszego zagajnika, zrzucił strój roboczy i przebrał się znów za młodego malarza angielskiego.

Po czym poszedł do notariusza w Eguzon, największym mieście w tej okolicy. Opowiedział mu, że miejscowość bardzo mu się podoba i że, gdyby znalazł odpowiednie mieszkanie, chętnie by tu na pewien czas zamieszkał. Przy sposobności wspomniał o Zamku Iglastym nad rzeczką Creuse.

Rzeczywiście — odparł notariusz — ten zamek jest prześliczny; należy od pięciu lat do jednego z mych klientów; nie jest wszakże do sprzedania.

Czy pański klient mieszka w nim?

Mieszkał tam z matką. Ale w zeszłym roku wypro-wadził się.

Więc obecnie zamek stoi pustką?

Owszem, wynajął go na lato pewien Włoch, baron Anfredi.

Ach! Baron Anfredi, młody jeszcze człowiek, o poważnym wyrazie twarzy...

Nie znam go. Mój klient sam się z nim umawiał.

Lecz pan widział barona?

Nie, nigdy nie wychodzi z zamku... Niekiedy tylko] wyjeżdża samochodem, a i to zawsze nocą. Zapasy kupuje kucharka, która z nikim nie rozmawia. Dziwni ludzie..i

Jak pan sądzi, czy pański klient zgodziłby się na sprzedanie zamku?

Wątpię. Jest to historyczny zamek w najczystszyim stylu Ludwika XIII. Mój klient bardzo go ceni; chyba, że zmienił zdanie...

Może mi pan dać jego adres?

Ludwik Valmeras, ulica Mont-Thabor 34.

Beautrelet na najbliższej stacji wsiadł do pociągu.

Nazajutrz, po trzech

daremnych wizytach, zastał wreszcie Ludwika

Valmeras. Był to mężczyzna mniej więcej

trzydziestoletni, o szczerzej, sympatycznej twarzy.

Izydor, uważając wszelkie wykręty za bezcelowe,

powiedział, kim jest, po czym przedstawił swe

położenie oraz cel, do] którego zdąża.

Mam wszelkie dane — zakończył — przypuszczać,

iż ojciec mój jest więziony w Zamku Iglastym, a z

nim] razem inne ofiary. Od pana pragnę dowiedzieć

się, co: pan wie o swym lokatorze, baronie Anfredi.

Niewiele. Poznałem go zeszłej zimy w Monte Carlo.

Przypadkowo dowiedział się, że jestem
właścicielem] Zamku Iglastego, a ponieważ
zamierzał lato spędzić we Francji, prosił mnie, abym
wynajął mu to mieszkanie.

To jeszcze młody człowiek?...

Owszem, blondyn, o energicznym spojrzeniu.

Z brodą?

Tak, rozczesaną na pół i spadającą na kołnierzyk,
zapinany z tyłu, jaki noszą duchowni. W ogóle ma w
sobie coś z pastora.

—To on — szepnął Beautrelet. — On, z pewnością,
jestem pewny, że pański lokator jest Arsenem
Lupinem.

Valmeras skoczył na krzesło. Znał wszystkie
przygody Łupina oraz szczegóły walki jego z
Beautreletem. Zatarł też ręce.

Zamek Iglasty stanie się więc sławny... Tym lepiej,
bo, odkąd matka moja wyjechała, noszę się z myślą
sprzedania go. Teraz będę mógł łatwiej znaleźć
kupca. Tylko...

Tylko?

Proszę pana, aby pan działał z największą ostroż-
nością, policję zaś zawiadomił dopiero wtedy, gdy
będzie pan zupełnie pewien, iż lokator mój jest

Arsenem Lupinem. A gdyby się pan mylił?

. Beautrelet wyłożył swój plan. Pójdzie sam, nocą, przedostanie się przez mur i ukryje w parku.

Ludwik Valmeras przerwał mu jednak zaraz:

. — Niełatwo przedostanie się pan przez mur tej wysokości. A jeżeli się to panu uda, zostanie pan tam przyjęty przez dwa potężne buldogi mojej matki, które zostawiliśmy w zamku.

Ech! Gałka z trutką...

Ślicznie panu dziękuję. Przypuśćmy jednak, że pan uniknie ich kłów. Co potem? Jak pan dostanie się do zamku? Drzwi są okute, okna zakratowane. Jest tam osiemdziesiąt pokojów, troje schodów i cały labirynt korytarzy; czy trafi pan do swego ojca?

Niech pan idzie ze mną — zaproponował z uśmiechem Beautrelet.

To niemożliwe. Przyrzekłem matce, że przyjadą do niej, do Włoch.

Beautrelet wrócił do siebie i zajął się przygotowaniem do podróży. Pod wieczór, gdy miał już wyjeżdżać, przyszedł niespodzianie Valmeras.

Chce mnie pan za towarzysza?

Czy chcę?!..

A więc dobrze. Jedziemy razem. Ta wyprawa bawi

mnie. Przy tym obecność moja zapewne się panu przyda.

Pokazał duży, ciężki, zardzewiały klucz.

Klucz ten otwiera...? — zapytał Izydor.

Galerię w poprzecznym murze, opuszczoną już od kilku wieków, a wychodzącą na skraj lasu. Na szczęście nie pokazałem jej swemu lokatorowi...

Jednak on zna to wejście — przerwał Beautrelet! —

Człowiek, którego śledziłem, tedy musiał dostać się do parku. Ale mniejsza z tym, tym razem sprawę wygramy!

W dwa dni potem do Crozant zajechał cygański wózek, zaprzężony w wychudłego konia, którego właścicieli otrzymał pozwolenie ulokowania się na końcu miasteczka, w opuszczonej szopie. Oprócz właściciela, którym! był Valmeras, na wózku przyjechało trzech chłopców,! którzy zajmowali się wyplataniem krzesel; byli to Beautrelet oraz dwaj jego koledzy z liceum. W ciągu trzech] dni kręcili się koło parku, wyczekując stosownej chwili.!

Czwartej nocy wreszcie niebo pokryło się czarnymi chmurami, i Valmeras postanowił skorzystać z ciemności. Wszyscy czterej przeszli przez lasek, po czym Beautrelet]

doczołgał się do tajemnego przejścia i włożył klucz w zamek. Czy drzwi otworzą się bez wysiłku? Czy od wewnątrz nie zamyka ich zasuwa? Pchnął, furtka otworzyła się bez szelestu. Był w parku.

. — Jest pan tam? — zapytał Valmeras. — Proszę poczekać. A panowie strzeżcie drzwi, by nie przecięto nam odwrotu. Przy najmniejszym szmerze dajcie znak gwizdnięciem.

Ujął za rękę Beautreleta i zapuścił się w gęstwinę drzew. Tak weszli na plac, zasiany trawą. W tej chwili zza chmur wyrzął księżyc, oświetlając zamek i ostre wieżyczki. W oknach nie było światła. Dokoła panowała martwa cisza. Valmeras ścisnął rękę swego towarzysza.

Cicho.

Co takiego?

Pss... patrz pan...

Rozległ się pomruk dzikich psów. Valmeras gwizdnął. Dwa czarne cienie w podskokach przybiegły mu do nóg.

Dobrze, pieski... leżcie tu... nie ruszać się...

A teraz naprzód! — rzekł do Beautreleta.

Zna pan dobrze drogę?

Znam. Jesteśmy przed tarasem.

A co dalej?

Przypominam sobie, że na lewo, przy jednym z okien parterowych jest źle domykająca się okiennica, którą można otworzyć z zewnątrz.

Rzeczywiście, okiennica ustąpiła pod silną dłoń Ludwika Valmerasa. Wycięcie diamentem szyby było dziełem jednej chwili. Weszli do środka.

—Pokój, w którym jesteśmy — szeptem mówił Valmeras — znajduje się na końcu korytarza. Dalej [leży] przedsionek, kończący się schodami; schody te wychodzą) na drugi korytarz w pobliżu pokoju, zajmowanego, zgodnie z pańskim opisem, przez pana Beautreleta. Idziemy,

Tak, tak.

Ależ nie, pan nie idzie. Co się panu stało? Schwycił go za rękę. Była zimna, jak lód; Valmeras spostrzegł, że Izydor wspiera się o ścianę.

Co się panu stało? — powtórzył.

Nic... to przejdzie... boję się...

Boi się pan!

—Tak — wyszeptał naiwnie Beautrelet — nerwy moje słabną... nieraz je opanowuję... ale dzisiaj... milczenie... wzruszenie... a przy tym od czasu mojej choro

by... To zaraz przejdzie... O, już przechodzi...

Opanował się wreszcie i poszedł za panem

Valmeras Słabe światło oświecało przedsionek, do którego zmierzali. Była to nocna lampka przy schodach, na stoliku, widocznym poprzez liście palmy.

—Stać! — szepnął Valmeras.

Koło stolika stał jakiś człowiek ze strzelbą w ręku. 1

Musiało go coś zatrwożyć, oglądał się bowiem na wszystkie strony. Ale milczenie, panujące dokoła, widać go uspokoiło, wciąż jednak patrzył w stronę krzewu. Upłynęło dziesięć, potem piętnaście strasznych minut. Przez okno na schodach zaczęło przenikać światło księżyca. Nagle Beautrelet, ukryty za palmą, zauważył, że światło to z wolna się posuwa i zanim minie jeszcze kwadrans, będzie mu padało wprost na twarz. Chciał już uciekać]

Przypomniawszy sobie jednak, że jest tu i Yalmeras, poszukał go oczyma i stanął jak wryty; ujrzał bowiem, jak Yalmeras, pod osłoną krzewów i posągów zdąża ku schodom. Co zamierza uczynić?

Przejsć tamtędy. Czy zdoła się prześlizgnąć?

Beautrelet nie widział go już, miał tylko wrażenie, że coś się stanie.

Nagle mignął jakiś cień, rzucił się na człowieka na
czatach, lampka zgasła... Beautrelet podbiegł. Dwa
ciała tarzały się po płytach westybulu. Usłyszał jęk,
potem westchnienie, i jeden z walczących podniósł
się i wziął go
za rękę.

—Prędko... Chodźmy.

Był to Valmeras.

Po schodach weszli na korytarz drugiego piętra, wy-
ślany dywanem.

—Na prawo — szepnął Valmeras — czwarte drzwi
na lewo.

Drzwi te były, jak się spodziewali, zamknięte na
klucz. Minęło pół godziny, zanim je otworzyli.

Wreszcie dostali się do środka.

Po omacku Beautrelet odszukał łóżko. Ojciec jego
spał.

Obudził go z największymi ostrożnościami.

To ja, Izidor... nie bój się... wstań... ani słowa...

Staruszek ubrał się, przy drzwiach jednak szepnął:

Nie jestem sam w tym zamku...

Ach! Któż? Ganimard? Sholmes?

Nie.... przynajmniej ja ich nie widziałem.

A więc?

Jakaś panienka.

Zapewne panna de Saint-Veran?

Nie wiem... Widywałem ją z daleka w parku. Dawała mi znaki ze swego okna.

Gdzie jest jej pokój?

W tym samym korytarzu, trzeci na prawo.

Pokój niewielki — szepnął Valmeras. — Drzwi są podwójne, mniej będziemy mieli kłopotu.

Istotnie jedna połowa drzwi ustąpiła wkrótce pod naporem. Ojciec Beautreleta podjął się zawiadomić uwięzioną.

W dziesięć minut potem schodzili we czworo po schodach. Na dole Valmeras przystanął i pochylił się nad leżącym tam człowiekiem, po czym pociągnął swych towarzyszy ku wyjściu i oznajmił im:

Jest ciężko raniony, ale będzie żył.

Ach! — westchnął Beautrelet z ulgą.

Ostrze mego noża zwinęło się, dzięki czemu cios nie był śmiertelny. A zresztą, taki opryszek niewart jest litości.

Dwa psy, czuwające przed zamkiem, powitały ich radosnym skomleniem i odprowadziły aż do przejścia. Tutaj Beautrelet zastał na straży obu kolegów. Cała groma — J da ostrożnie wysunęła się z

parku. Na zegarze zamkowym była trzecia. To pierwsze zwycięstwo nie mogło jednak zaspokoić Izydora. Zaczął natychmiast wypytywać ojca i oraz Rajmundę o mieszkańców zamku, a zwłaszcza o zachowanie się i przyzwyczajenia Arsena Łupina.

Okazało się, iż co parę dni przyjeżdżał samochodem, a nazajutrz] rano odjeżdżał z powrotem. Za każdą bytnością swą odwiedzał oboje więźniów, nie mogących się dość nachwalić jego niezwyklej uprzejmości. Dzisiejszej nocy nie było go w zaniku

Oprócz niego widywali jedynie starą gospodynię oraz dwóch mężczyzn, którzy ich pilnowali. Byli to jacyś podrzędni wspólnicy.

.— W każdym razie jest to zdobycz nie do pogardzenia — rzekł Izydor. — Nie traćmy więc czasu.

Ulokowawszy ojca i pannę de Saint-Veran, wskoczył na rower i pojechał do Eguzon, gdzie obudził żandarmerię i poruszył wszystkie władze, tak, iż o godzinie ósmej już był w Crozant wraz z brygadierem i dziesięcioma żołnierzami.

Jednak spóźnili się. Wielkie drzwi stały otworem, a

jakiś wieśniak

poinformował ich, że przed godziną wyjechał z zamku samochód. Najstaranniejsze poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Ptaszki musiały już zniknąć. Znaleziono tylko trochę rupieci, starego ubrania i bielizny. Największe jednak zdumienie wzbudziło zniknięcie rannego. Niepodobna było doszukać się najmniejszego śladu walki, ani jedna kropla krwi nie plamiła kamiennych płyt westybulu. Nie byłoby więc najmniejszego dowodu materialnego o pobycie Łupina w Zamku Iglastym i można by odrzucić twierdzenie Beautreleta, jego ojca, Valmerasa i panny de Saint-Veran, gdyby wreszcie w pokoju, przyległym do sypialni młodej panny, nie znaleziono kilku wspaniałych bukietów z biletami wizytowymi Arsena Łupina. Bukiety, wzgardzone przez nią, były już powiędłe, zeschnięte... Przy jednym z nich oprócz biletu był list, którego Rajmunda nie zauważyła. Gdy po południu rozpieczętował go sędzia śledczy, znaleziono w nim dziesięć stron błagań, obietnic, rozpacz i miłości, która spotkała się tylko ze wzgardą i obrzydzeniem. List ten kończył się tak: „Przyjadę we środę wieczorem. Namyśl się do tego

czasu, Rajmundo. Dłużej już czekać nie chcę.

Jestem zdecydowany na wszystko”.

Wieczór środowy był tym, w czasie którego

Beautrelet ocalił pannę de Saint-Veran.

Publiczność, powiadomiona o wszystkim przez
dzienniki, z entuzjazmem przyjęła tę wiadomość.

Panna de Saint-Veran jest wolna! Ofiara, na którą
Łupin nakładał swe makiaweliczne sieci, została
wyrwana z jego szponów! Wolny jest również ojciec

Beautreleta, którego Łupin wybrał sobie za
zakładnika, by mieć spokój od jego syna. Tajemnica

„Igły” zbadana, poznana przez świat cały! Tłumy
cieszyły się, wyśmiewając upokorzonego
awanturnika.

„Miłość Lupina!” „Łzy Arsena!” „Zakochany

włamywacz!” — wykrzykiwali po ulicach roznosiciele dzienników. Rajmunda, nagabywana przez
reporterów, odpowiadała z wielką ostrożnością. Nie

zdało się to jednak na nic, gdyż list, bukiety, cała
historia nieszczęśliwej miłości, była powszechnie

znana! Łupin za jednym zamachem zół stał
wyśmiany, wyszydzony, strącony ze swego

piedestału! Beautrelet natomiast stał się
bożyszczem. Wszystko wiedział, wszystko pojął,

wszystko wyjaśnił. Zeznania, złożone przez pannę

de Saint-Veran a dotyczące jej porwania, w najdrobniejszych szczegółach potwierdziły hipotezę, postawioną przez Izydora. Łupin znalazł godnego siebie rywala a nawet mistrza.

Beautrelet wymógł na ojcu, aby, przed udaniem się w Góry Sabaudzkie, wypoczął parę miesięcy na słońcu i odwiózł go wraz z panną de Saint-Veran w okolice Nicei, gdzie wraz z córką Zuzanną zamieszkał hrabia de Gesvres spędzając tam zimę.

Na drugi dzień przyjechał tam do swych nowych przyjaciół Valmeras z matką, utworzyli więc małą kolonię, zgrupowaną dokoła willi hrabiego, której strzegło kilku agentów, umyślnie wynajętych przez pana de Gesvres.

W początkach października Beautrelet powrócił do Paryża, by zabrać się do przerwanej nauki i przygotować do egzaminów. Rok szkolny rozpoczął się spokojnie i bez żadnych wypadków. Cóż zresztą mogło się zdarzyć? Czy wojna nie została zakończona? Tego zdania był zapewne i Lupin, gdyż pewnego dnia zjawiły się i dwie następne jego ofiary, Ganimard i Herlock Sholmes. Na Quai des Orfevres, wprost prefektury policji, znalazł ich uśpionych i związanych jakiś robotnik.

Po tygodniu najzupełniejszego odurzenia odzyskali pamięć i opowiedzieli — a raczej tylko Ganimard opowiadał, gdyż Sholmes zaciął się w milczeniu — iż na pokładzie jachtu „Jaskółka” odbyli podróż dokoła Afryki, podczas której mogli się uważać za wolnych, z wyjątkiem tylko godzin? kiedy jacht zatrzymywał się w portach, a oni pilnowani byli w kajutach. O swym wylądowaniu na Quai des Orfevres nie pamiętali nic, gdyż zapewne od kilku dni już byli uśpieni. To wypuszczenie ich na wolność było przyznaniem się Łupina do porażki i złożeniem broni. Jeden jeszcze fakt potwierdził to najwymowniej: zaręczyny Ludwika Valmerasa z panną de Saint-Yeran. Przebywając razem, młodzi ludzie pokochali się. Valmera został podbity melancholijnym czarem Rajmundy, on zaś po tych strasznych przejściach, pragnąc opieki, poddała się wpływowi tego, który w tak znacznej mierze przyczynił się do jej uwolnienia.

Dzień ślubu był chwilą decydującą. Czy Lupin wypowie wojnę? Czy pogodzi się ze stratą ukochanej kobiety? Koło willi kręciły się jakieś podejrzanego osobistości, a pewnego wieczoru nawet na Valmerasa napadł jakiś pijak i strzelił doń z

rewolweru. Na szczęście przebił tylko cylinder.

Ceremonia ślubu odbyła się wreszcie w spokoju-i

Rajmunda de Saint-Veran została panią Valmeras.

Związek ten uważano za dzieło Beautreleta; wśród

wielbicieli też jego powstała myśl uczczenia go

uroczystą! ucztą. W przeciągu dwóch tygodni

zapisało się na nią przeszło trzysta osób. Z każdego

liceum wydelegowano! po dwóch uczniów z klasy

retoryki. Nikt nie przeczuwał,! jaki wpływ uczt ta

mieć będzie na życie jej amfitriona.

IV. Historyczna tajemnica

Przybycie Beautreleta do sali bankietowej zostało

powitane nie milknącymi brawami. Te oznaki

powszechnej radości, zwłaszcza toasty, w których

wychwalano jego przenikliwość i wyższość nad

wszystkimi najślawniejszymi-agentami całego

świata, zakłopotaly go, lecz zarazem wzruszyły.

Przyznał się do tego otwarcie w prostych słowach

wyrażając radość swą i dumę, uśmiechał się do

swych kolegów z liceum, do przyjaciół swego ojca,

Valmer asa oraz do hrabiego de Gesvres, którzy

umyślnie przybyli, pragnąc być świadkami jego

triumfów. Kończył właśnie mówić i trzymał kieliszek

w ręku, gdy nagle z końca sali dobiegł jakiś szmer;

jeden z biesiadników energicznie gestykulował,

trzymając jakiś dziennik w ręku. Na razie

uspokojono się, dziennik wszakże podawano sobie z

rąk do rąk i ze wszystkich stron zaczęto wołać:

—Czytać! Czytać głośno!

Od głównego stołu wstał ojciec Beautreleta, poszedł

po dziennik i podał go synowi.

Czytać! Czytać! — wołano coraz głośniej. Inni

uspokajali wołających:

Słuchajcie! Zaraz będzie czytał!... Słuchajcie!

Izydor stojąc, zwrócony twarzą do publiczności, szu-

kał oczyma w wieczornym dzienniku artykułu, który

wzbudzał tak żywe zainteresowanie, a ujrzawszy

tytuł, podkreślony niebieskim ołówkiem, wyciągnął

rękę, by prosić o spokój i wzruszonym głosem

przeczytał:

List otwarty pana Massibana, członka Akademii.

Szanowny Panie Redaktorze!

W moich przechadzkach po bulwarach udało mi się

przypadkowo odnaleźć broszurkę, wydaną w r.

1815, i zatytułowaną: Problematy historyczne. M.

X... byłego oficera dworu Ludwika XIV.

Broszurka ta niezbyt była zajmująca. Owe

historyczne problematy bywają to zazwyczaj —

legandy, przytaczane przez autora w najlepszej
wierze jako fakty. Wszakże pomiędzy rozdziałami o
szumnych tytułach jeden zwrócił na

siebie moją uwagę, dzięki związanym z nim
wypadkom q mianowicie: Wydrążona Igła. 'w

Tutaj głos Beautreleta zadrżał: Wydrążona Igła!

Sprawa Wydrążonej Igły znana już w roku 18151 A
więc nie Lupin...

Ciągnął dalej:

Rozdział ten miał osiemdziesiąt stron, które
przepisałem, nieco skróciwszy, opuszczając
powtórzenia i wnioski. Wydrążona Igła

W epoce, nazywanej wiekami średnimi a nawet
wcześniej, w okresie galloromańskim, w niektórych
legendach, w niektórych pismach, w niektórych
miejscach naszych starych kronik spotykamy
wyraźne wzmianki o Wydrążonej Igle. Nikt nie
wiedział, co oznaczają te słowa, przechodziły jednak
z pokolenia na pokolenie. Kryła się w nich jakaś
tajemnica — to jedno nie ulegało) wątpliwości.

W księdze III Komentarzy Cezara do wojny z Gallami
jest mowa, że po zwyciężeniu Wercyngetoryxa przez
Tituliusa Sabinusa, wódz został postawiony przed
Cezarem i zamiast okupu, odkrył tajemnicę

Wydrążonej! Igły...

Grzegorz de Tours w swojej Historii Franko[^] mówi, iż

biskupowi Pretekstusowi wytoczono proces o to, iż

posyłał Merowingowi, synowi Szelperyki i

nieszczęsnego męża Brunhildy, pomoc pieniężną

oraz Igłę, która jak się zdaje, mogła go ocalić, dodaje Grzegorz de Tours; bez dalszych komentarzy...

W traktacie w Saint-Clair-Sur-Epte, zawartym

między Karolem Prostakiem a Roilem, dowódcą

północnych

barbarzyńców, znajduje się między tytułami Rolla i

tytuł: Władca tajemnicy Igły...

Kronika saska (wydanie Gibsona, str. 134), w

ustępie o Wilhelmie Zdobywcy wspomina, że

drzewce jego sztandaru zakończone było ostrzem w

kształcie igły z przewierconym otworem...

Na dekretach Henryka Plantageneta widnieje

podpis: Władca tajemnicy ...

Według dokumentów kościoła Saint-Van, Jan bez

Ziemi dlatego jedynie kazał zabić siostrzeńca swego,

Artura z Bretanii, iż nieszczęsny młodzian był w

posiadaniu najważniejszych tajemnic..

W pewnym niejasnym ustępie swych zeznań Joanna

d'Arc mówi, że ma jeszcze jeden sekret do

wyjawienia królowi francuskiemu, na co sędziowie

odpowiedzieli: Wiemy, o co chodzi i dlatego właśnie,

Joanno, zginiesz!

Na Iglę przysięgał się często król Henryk IV.

Poprzednio, w 1520 roku, Franciszek I zwracając się do szlachty w Havre wymówił słowa, które zapisał w swym pamiętniku pewien mieszczanin z Honfleur:

Królowie Francji posiadają tajemnice, które kierują rzeczami i losami miast.

Doszliśmy wreszcie do najciekawszego faktu w tym labiryncie zagadek. Dnia 17 marca 1679 roku ukazała się niewielka książka pod następującym tytułem: Tajemnica Wydrążonej Iglę

Cała prawda po raz pierwszy wyjawiona. Sto egzemplarzy wytłoczonych przeze mnie dla nauki dworu.

Tegoż, dnia o-godzinie dziewiątej rano autor, młody człowiek dostatnio ubrany,

lecz którego nazwisko pozostało nieznane, zaczął odwiedzać wybitniejsze osobistości dworu i składał im swą pracę. O godzinie dziesiątej, gdy zdążył zaledwie być w czterech miejscach, zaaresztował go kapitan straży i zaprowadził do gabinetu króla, sam zaś natychmiast udał się na poszukiwanie rozdanych egzemplarzy. Gdy sto egzemplarzy zostało zebrane,

policzone i starannie sprawdzone, król rzucił je sam do ognia, płonącego na kominku, zachowując jeden dla siebie. Potem kazał kapitanowi straży odprowadzić autora do pana de Saint-Mars, który zamknął swego więźnia naprzód w Pignerol, a potem w fortecy na Wyspie Świętej) Małgorzaty. Człowiek ten musiał być zapewne owym sławnym człowiekiem w Żelaznej Masce.

Cała prawda nigdy nie byłaby znana, gdyby obecny w gabinecie kapitan straży nie skorzystał z chwili, gdy król się obrócił i nie wyciągnął z kominka jednej książki, zanim objęły ją płomienie.

W pół roku potem kapitan został znaleziony martwy! na drodze z Gaillon do Mantes. Zabójcy ogołocili go ze: wszystkiego, nie zauważyli wszakże w prawej kieszeni! ubrania brylantu najczystszej wody i wielkiej wartości. W papierach jego znaleziono małą notatkę. Nie wspominał w niej o książce, wyrwanej z płomieni, lecz podawał wprost treść pierwszych rozdziałów. Chodziło o tajemnicę, znaną królom Anglii, utraconą potem przez nich, gdy korona Henryka VI przeszła na głowę księcia Yorku, od-l krytą królowi francuskiemu Karolowi VII przez Joannę d'Arc. Tajemnica ta przechodziła od

monarchy do monarchy w liście, umyślnie za
każdym razem pieczętowanym, który znajdowano
zawsze przy łożu umierającego króla z napisem: Dla
Króla Francji. Tajemnica ta odnosiła się do miejsca
przechowywania olbrzymich skarbów królewskich, z
każdym wiekiem coraz bardziej się pomnażających.
W sto czternaście lat później Ludwik XVI, będący
więźniem w Tempie, wziął na bok jednego z
oficerów, którzy pilnowali rodzinę królewską, i rzekł
doń:

Jeden z przodków pańskich był, zdaje mi się, za
panowania mego pradziada kapitanem straży
królewskiej?

Tak, sire!

A czy pan byłby człowiekiem... człowiekiem, który...

Zawahał się. Oficer dokończył zdania:

Który by nie zdradził? Och! Sire...

Proszę mnie w takim razie słuchać.

Wyjął z kieszeni książeczkę, z której wyrwał jedną

kartkę. W tej samej chwili jednak zmienił zamiar:

—Nie, lepiej będzie przepisać...

Wziął wielki arkusz, oderwał zeń skrawek i przepisał
na nim pięć wierszy punktami, liniami i cyframi, tak,
jak były na kartce drukowane. Kartkę tę natychmiast

spalił, skrawek zaś papieru z przepisanyymi znakami
złożył we czworo, zapieczętował czerwonym
woskiem i wręczył oficerowi.

—Po mojej śmierci proszę to oddać królowej i po-
wiedzieć te tylko słowa: Od Króla dla Waszej Królew-
skiej Mości i dla Królewicza ... Gdyby się nie domy-
ślała...

Gdyby się nie domyślała...

W takim razie doda pan: Chodzi o tajemnicę... 0

tajemnicę „Igły”. Królowa będzie już wiedziała, co to znaczy...

Mówiąc to, rzucił książkę do ognia na kominku.

21 stycznia już nie żył.

Z powodu przeniesienia królowej do Conciergerie
dopiero po dwóch miesiącach oficer zdołał wypełnić
powierzone sobie zlecenie. Pewnego razu wreszcie
udało mu się dotrzeć do Marii Antoniny. Wówczas
rzekł znacząco, by zaraz mogła pojąć doniosłość jego
słów:

—Od ś.p. naszego Króla dla Waszej Królewskiej
Mości i dla Królewicza.

I wręczył jej zapieczętowany list.

Królowa, upewniwszy się, czy dozorca nie patrzy,
złamała pieczęcie; z początku zdziwiła się, widząc
tylko tajemnicze znaki, potem nagle domyśliła się

wszystkiego. Uśmiechnęła się z goryczą i oficer

dosłyszał te słowa:

—Dlaczego tak późno?

Przez chwilę wahała się, gdzie schować ten niebezpieczny dokument. Wreszcie otworzyła książkę do nabożeństwa i wsunęła go pomiędzy oprawę i owijające ją okładki.

—Dlaczego tak późno?... — powtórzyła.

Obecnie stwierdzone jest, że istotnie dokument ów który miał przynieść ocalenie, przybył za późno. W październiku Maria Antonina została zgilotynowana.

Wszystkie te cytaty, Panie Redaktorze, wszystkie te i opowiadania znalazłem w broszurce napisanej przez kapitana straży królewskiej i wydrukowanej w czerwcu

1815 roku przed lub po bitwie pod Waterloo, czyli w okresie ogólnego wzburzenia umysłów, kiedy wszelkie drobniejsze fakty musiały przejść niepostrzeżenie.

Jaka jest wartość tej broszurki? Żadna, odpowie mi pan, nie należy do niej przykładać wagi. Takim było i moje pierwsze wrażenie; jakież jednak było moje zdumienie, gdy otworzywszy komentarze Cezara na wskazanej stronie znalazłem tam zdanie

wymienione w broszurce! Toż samo powtórzyło się z traktatem w Saint--Clair-sur-Epte, z kroniką saską, z procesem Joanny d'Arc, jednym słowem ze wszystkim, co mogłem do tej pory sprawdzić.

Pozostaje jeszcze jeden niezmiernie doniosły fakt, który podaje nam autor broszurki z roku 1815. Jako oficer napoleoński zajechał on pewnego wieczoru przed zamek, gdzie przyjął go staruszek, kawaler orderu św. Ludwika. W rozmowie z nim dowiedział się, iż zamek ten, położony nad brzegiem rzeczki Creuse, nazywa się Zamkiem Iglastym, że został wybudowany i nazwany tak przez Ludwika XIV, że na wyraźny rozkaz króla na wieży umieszczono strzałę w kształcie igły. Zamek ów wzniesiony był w roku 1680.

W roku 1680! Czyli w rok po wydrukowaniu książki i uwięzieniu Żelaznej Maski. Wyjaśnia się zaś to wszystko w sposób następujący: Ludwik XIV przewidując, iż tajemnica może się rozgłosić, wybudował i tak nazwał ów zamek dla odwrócenia podejrzeń. Wydrążona Igła? Jest to zamek z igłą na szczycie, położony nad brzegiem rzeki Creuse i należący do króla! Ciekawość została tym sposobem zaspokojona, a poszukiwania i domysły

usta-

ły. Podstęp był dobry, ponieważ w dwa wieki później

pan Beautrelet dał się na niego złapać. I to jest,

Panie Redaktorze, główny powód mego listu. Jeżeli

Łupin pod nazwiskiem barona Anfredi wynajął od

pana Valmerasa Zamek Iglasty i umieścił w nim

swych więźniów, uczynił to dlatego, iż przypuszczał,

że poszukiwania pana Beautreleta zostaną

uwieńczone powodzeniem. W tym celu, jak również,

by otrzymać pożądaną spokój, wprowadził pana

Beautreleta na właściwą drogę, zastawiając nań

równocześnie historyczną pułapkę Ludwika XIV.

W ten sposób dochodzimy do wniosku, iż Łupin,

znając te jedynie fakty, które i my znamy, zdołał

odcyfrować niezrozumiały dla nas dokument, dzięki

czemu stał się ostatnim spadkobiercą monarchów

francuskich oraz posiadaczem królewskiej tajemnicy

Wydrążonej Igły".

Na tym kończył się artykuł. Od kilku jednak chwil już,

mianowicie od ustępu, odnoszącego się do

Iglastego Zamku, ktoś inny zastępował w czytaniu

Beautreleta. Widząc swą porażkę, przygnieciony

doznany poniżeniem, wypuścił dziennik z ręki i

usunął się na krzesło, ukrywając twarz w dłoniach.

Zebrani, zainteresowani tą niezwykłą historią, powstawali z miejsc, skupiając się dokoła niego. Z niecierpliwością wyczekiwano, co na to powie. Ale on nie poruszył się. Wówczas Valmeras odjął mu łagodnie ręce od twarzy i podniósł głowę. Izydor Beautrelet płakał.

V. Modlitewnik Marii Antoniny

Czwarta godzina nad ranem. Izydor nie wrócił do liceum. Poprzysiął sobie nie wracać tam, aż ukończy wojnę na śmierć i życie wydaną Łupinowi. Przyjął znów gościnę u jednego ze swych kolegów i oto teraz stoi przy kominku, przypatrując się sobie w lustrze. Nie płacze już, rozmyśla i rozumuje.

Aż do szóstej rano pozostał w tej pozycji. Po odrzuceniu wszystkich szczegółów, komplikujących i zaciemniających sprawę, przedstawia się ona w jego umyśle jasno i wyraźnie.

Tak, mylił się. Jego dotychczasowe tłumaczenie

dokumentu jest fałszywe. Wyraz „igła” nie odnosi się do zamku Valmerasa. Również pod słowem „panny”

nie można rozumieć Rajmundy de Saint-Veran i jej kuzynki, gdyż dokument ów pochodzi sprzed dwóch wieków.

Wszystko więc trzeba z gruntu zmienić. Jak?

Najlepszą podstawą nowych poszukiwań byłaby

książka wydana za Ludwika XIV. Ze stu
egzemplarzy wówczas wydrukowanych, dwa tylko
ocalały z płomieni. Jeden — porwany przez kapitana
straży i następnie zagubiony, oraz drugi —
zachowany przez Ludwika XIV, przekazany
Ludwikowi XV i spalony przez Ludwika XVI.

Pozostała jednak kopia najważniejszej kartki,
zawierająca rozwiązanie zagadki, wręczona Marii
Antoni, nie i schowana przez nią w okładce książki
do nabożeństwa. Co się stało z tym papierem? Czy
był to ten sam który Beautrelet miał w swych rękach
i który odebrał mu Łupin za pośrednictwem
sekretarza Bredoux? A może spoczywa jeszcze w
książce do nabożeństwa Marii Antoniny? Co się
więc stało z modlitewnikiem królowej?

Po namyśle Beautrelet zwrócił się z tym pytaniem
do ojca swego przyjaciela, zamiłowanego i znanego
zbieracza, wzywanego niejednokrotnie na eksperta
do oceniania zabytkowych przedmiotów.

Modlitewnik Marii Antoniny? — rzekł. — Królowa
wręczyła go swej pokojowej z rozkazem oddania go
hrabiemu Fersenowi. Do niedawna troskliwie
przechowywała go rodzina hrabiego, od lat pięciu
zaś spoczywa w muzeum Carnavalet.

A kiedy muzeum jest otwarte?

—Codziennie od godziny dziewiątej.

Punktualnie o godzinie dziewiątej Izydor wysiadł z dorożki przed drzwiami

dawnego pałacu pani de Sevigne, gdzie oczekiwało już kilkanaście osób.

Oho, pan Beautrelet — witano go ze wszystkich]

stron. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu, Izydor ujrzał tam reporterów, opisujących sprawę „Wydrażonej Igły”. Jeden z nich zawołał:

Jak się to złożyło, że wszyscy mieliśmy jedną i tą samą myśl! Trzeba uważać, czy Arsen Lupin nie znajduje się pomiędzy nami.

Weszli razem. Dyrektor uprzedzony, o co chodzi, zaprowadził ich przed gablotkę i pokazał niewielką książeczkę bez żadnych ozdób. Izydora ogarnęło wzruszenie na widok tej książeczki, której królowa dotykała się w najtragiczniejszych chwilach swego życia, na którą spływały łzy z jej zaczerwienionych od płaczu oczu...

Nie śmieli brać jej do ręki i oglądać, mając wrażenie, iż popełniliby przez to świętokradztwo...

—Proszę, panie Beautrelet, niech pan obejrzy.

Izydor wziął książkę z niepokojem w duszy.

Oprawna

była w poczerwieniałą, powycieraną skórę.

Beautrelet, drząc cały, przyglądał się okładce. Czy

to wszystko bajka? Czy też znajdzie jeszcze

dokument, pisany przez Ludwika XVI?

Pod wierzchnią okładką nic nie było.

Nic — szepnął.

Nic — powtórzyli wszyscy jednogłośnie.

Pod spodem jednak, odciągnąwszy trochę skóry, uj-

rzał wolne miejsce. Wsunął rękę... Jest coś... tak,

czuje coś... jakiś papier...

Och! — zawołał z triumfem. — Wreszcie — czyż to

możliwe?

Prędzej! prędzej! — krzyczano. — Na co pan cze-

ka?

Wyjął arkusik papieru, złożony we dwoje.

—Niech pan czyta, są jakieś słowa, pisane

czerwonym atramentem... krwią jakby... jasną

krwią... niechże pan czyta!..

Przeczytał:

Hrabiemu Fersenowi. Dla mego syna. 16

października 1793... Maria Antonina.

I nagle wydał okrzyk zdumienia i przerażenia. Pod

podpisem królowej

znajdowały się dwa słowa, skreślone czarnym

atramentem: „Arsen Lupin”.

Reporterzy wyrywali sobie z rąk kawałek papieru,

każdy zaś powtarzał:

—Maria Antonina... Arsen Łupin...

Zapanowało milczenie. Ten podwójny podpis, te

dwa

imiona połączone, ta relikwia, w której od wieku

przeszło spoczywało rozpaczliwe pożegnanie

nieszczęśliwej królowej, ta straszna data 16

października 1793, kiedy jej piękna główka spadła

pod nożem, wszystko to było nad wyraz tragiczne.

Arsen Łupin — wyszeptał z trwogą jeden z obe-

cnych, osłupiały na widok tego szatańskiego

nazwiska obok imienia królowej.

Tak, Arsen Lupin — powtórzył Beautrelet. —

Przyjaciel królowej nie zrozumiał ostatniej prośby

umierającego; przechowywał jak świętość, pamiątkę

po tej, którą kochał, a nie zdołał domyślić się jej

przeznaczenia. Za to Łupin wszystko odkrył i zabrał.

Co zabrał?

Dokument! Dokument, pisany ręką Ludwika XVI,

który miałem w ręku. Tak samo złożony, z takimi

samymi pieczęciami z czerwonego wosku. Ach,

rozumiem teraz, dlaczego tak mu o niego chodziło;

bał się, bym z wyglądu nie domyślił się jego

znaczenia...

I co z tego?

Dokument, którego treść znam, jest autentyczny,

widziałem na własne oczy ślad czerwonych

pieczęci; broszurka, wymieniona przez pana

Massibana, istniała naprawdę, jak istnieje tajemnica

Wydrążonej Igły. A ponieważ tajemnica ta istnieje —

ja ją wyjaśnię!

Jak? Dokument ten nie przyda się panu na nic,

gdyż Ludwik XVI zniszczył książkę, która zawierała

rozwiązanie tajemnicy.

Tak, ale drugi egzemplarz, ocalały przez kapitana

straży, nie został zniszczony.

Jakie pan ma na to dowody?

A jakie pan ma dowody na to, że został zniszczony?

Sprawę tę należy rozgłosić; napisać w dziennikach,

iż poszukujemy książki pod tytułem „Tajemnica Igły”.

Może znajdzie się w jakiej prywatnej bibliotece na

provincji.

Zredagowano natychmiast odpowiednią notatkę,

Beautrelet zaś, nie zwlekając, zabrał się zaraz do

działa. Pierwszy ślad stanowiło zabójstwo kapitana

straży królewskiej, popełnione w Gaillon. Izydor tegoż dnia udał się tam. Fakty takie przechowują się nieraz w tradycji miejscowej; zapisują ją kroniki lokalne. Jakiś prowincjonalny erudyta, amator starych powieści, mógł zebrać szczegóły, odnoszące się do danego faktu, mógł je nawet zapisać. Widział się z kilkoma takimi szperaczami; z jednym z nich, starym notariuszem, przejrzał wszystkie papiery więzienne, klasztorne, parafialne, nie wpadł jednak na najdrobniejszy ślad, odnoszący się do zabicia kapitana w XVII wieku. Nie zniechęcił się wszakże i w dalszym ciągu czynił poszukiwania w Paryżu, gdzie mogły znajdować się protokoły całej sprawy. Poszukiwania jego pozostały i tu bez rezultatu.

Wówczas postanowił skierować je na inną drogę. Czyżby nie można było dowiedzieć się nazwiska kapitana, którego wnuk emigrował, a prawnuk służył w armii republikańskiej i był przydzielony do Tempie, gdy więziono tam rodzinę królewską? Po wielu trudach Izydor zebrał listę nazwisk, z których dwa były do siebie bardzo zbliżone: de Larbeyrie za Ludwika XVI i obywatel Lar brie podczas terroru. Miało to już pewne znaczenie. Dla pozyskania

pewności, zamieścił w dziennikach list otwarty, prosząc o dostarczenie bliższych informacji o de Larbeyrie i jego potomkach. Odpowiedział mu pan Massiban, członek Akademii:

Szanowny Panie I

Pragnę zwrócić uwagę pańską na pewien ustęp z Wol-tera, który znalazłem w jego rękopisie »Wiek Ludwika XVI« (rozdział XXV). Ustęp ten bywał w rozmaitych wydaniach.

Słyszałem od Caumartina, intendenta finansów i przyjaciela ministra Chamillarda, że król, na wiadomość o zamordowaniu pana de Larbeyrie, wyjechał pośpiesznie w karecie. Wydawał się przy tym bardzo wzruszony i powtarzał: Wszystko stracone... wszystko stracone... Następnego roku syn tego de Larbeyrie i jego córka, poślubiona markizowi de Velines, zostali wysłani do swych majątków w Bretanii. Nie można wątpić, że ma to pewne znaczenie.

Tym mniej można wątpić, dodam od siebie, iż pan de Chamillard, według Woltem, był ostatnim ministrem, który znał tajemniczą postać w Żelaznej Masce. Widzi więc pan, iż ustęp ten nie jest pozbawiony znaczenia i że mię-

dzy tymi dwoma faktami istnieje ścisła łączność.

Powstrzymuje się od stawiania hipotez co do postępowania, podejrzeń i domysłów Ludwika XIV, z drugiej jednak strony, ponieważ pan de Larbeyrie zostawił syna, który prawdopodobnie był dziadkiem obywatela oficera Larbrie, i córkę, można przypuszczać, iż część jego papierów dostała się córce i że między tymi papierami znajduje się i egzemplarz wyrwany przez kapitana z płomieni.

Przejrzałem spis zamków. W okolicach Rennes mieszka jakiś baron de Velines. Może to jest potomek markiza. Na wszelki wypadek napisałem do barona z zapytaniem, czy nie ma jakiej starej książki, któraby w tytule miała słowo »Igła«. Oczekuję jego odpowiedzi. Chciałbym porozmawiać o tych rzeczach z panem. Jeżeli pan może, proszę mnie odwiedzić.

PS Odkrycia tego nie komunikuję, oczywiście, dziennikom. Teraz, gdy zbliża się pan do celu, należy zachować pełną dyskrecję.

Takie było i zdanie Beautreleta. Posunął się nawet dalej, udzielając dwóm reporterom najfantastyczniejszych informacji.

Po południu pobiegł do pana Massibana, gdzie ku

wielkiemu swemu zdziwieniu dowiedział się, iż pan Massiban niespodzianie wyjechał, pozostawiając dla niego bilecik, w razie, gdyby przyszedł.

Izydor wyczytał w nim, co następuje:

Otrzymałem depezę, która dodała mi nadziei. Jadę więc i nocować będę w Rennes. Pan może pojechać wprost

do Velines. Spotkamy się w zamku, położonym o cztery kilometry od stacji tej samej nazwy.

Myśl ta spodobała się chłopcu, zwłaszcza zaś to, iż przyjedzie do zamku równocześnie prawie z panem Massibanem, gdyż obawiał się, iżby uczony, wskutek niedoświadczenia, nie popełnił jakiego fałszywego kroku. Wrócił więc do przyjaciela i resztę dnia spędził razem z nim, gwarząc, jak zawsze, o swych nadziejach i planach. Wieczorem wyjechał ekspresem do Bretanii. O szóstej stanął w Velines.

Drogę do zamku przebył pieszo. Serce gwałtownie mu biło. Czy rzeczywiście cel jest już tak bliski?

Wydawało mu się to zbyt piękne i ogarniał go lęk, czy i tym razem jeszcze nie jest tylko powolnym narzędziem w rękach Lupina.

Roześmiał się:

—Staję się komiczny — rzekł do siebie. —

Wszędzie widzę Lupina. Ale i on przecież musi się mylić i on popełnia błędy i właśnie dzięki omyłce, jaką popełnił gubiąc dokument, mogą mu stanąć na drodze.

I szczęśliwy, pełen ufności zadzwonił do zamku.

—Pan sobie życzy? — zapytał służący, ukazując się na progu.

—Czy baron de Velines przyjmuje?

Podał swą kartę.

Pan baron jeszcze nie wstał, lecz może pan zechce poczekać.

Czy jest tu już pewien pan z siwą brodą, zgarbiony?

— zapytał Beautrelet, który znał pana Massibana tylko z fotografii.

—Tak, ten pan przybył przed dziesięcioma minutami.

Obecnie jest w

westybulu.

Spotkanie Beautreleta z Massibanem było bardzo serdeczne. Izydor

dziękował mu za nadesłanie tak doniosłych informacji, na co staruszek zgłosił gotowość służenia mu zawsze z

pomocą. Potem zamienił kilka spostrzeżeń co do

dokumentu, a następnie Massiban powtórzył mu to,

czego dowiedział się w Rennes o panu de Velines. Baron

miał lat sześćdziesiąt, był wdowcem i mieszkał samotnie z córką swą, Gabriellą Villemon,

osieroconą .przez męża i starszego syna, zabitych w wypadku samochodowym.

—Pan baron prosi panów do siebie.

Służący zaprowadził ich na pierwsze piętro do dużego

pokoju, w którym

stało tylko biurko, szafa i parę stolików, zarzuconych

papierami i księgami rachunkowymi. Baron przyjął ich

bardzo uprzejmie, a gdy wyjaśnili cel swej wizyty, rzekł: Ach, tak. Pan Massiban pisał mi już o tym z Paryża.

Chodzi o książkę, w której jest mowa o „Igle”, a którą otrzymałem po przodkach, czy tak?

Istotnie.

Muszę się panom przyznać, że zerwałem z przeszłością,

jestem człowiekiem współczesnym i...

Czy znalazł pan tę książkę? — zapytał Izydor nie-

cierpliwie,

Owszem, przecież telegrafowałem o tym — powiedział

baron — córka moja widziała tę książkę w bibliotece,

między tysiącem innych; od wczoraj zajęła się odszu-

kaniem jej i...

I co?

Znalazła ją przed godziną. Gdy panowie przybyli...

Gdzie ona jest?

Gdzie jest? Położyła ją na tym stole...

Izydor zerwał się z miejsca. Na brzegu stołu leżała |

mała książeczka, oprawna w czerwony safian.

—Proszę obejrzeć tytuł tej książki — zawołał

Massiban, drżący ze wzruszenia.

Izydor pokazał mu tytuł, wyciśnięty złotymi literami:

„Tajemnica Wydrążonej Igły”.

—Tak, to ta sama — szepnął Massiban zmienionym głosem.

Zaczęli przeglądać książkę. Pierwsza część zawierała wyjaśnienia, zawarte w pamiętniku kapitana Larbeyriego.

Idźmy dalej, idźmy dalej — zawołał Beautrelet, pragnąc jak najprędzej dojść do rozwiązania tajemnicy.

Jak to, idźmy dalej. Wiemy już, że człowiek w Żelaznej Masce został uwięziony, ponieważ znał tajemnicę i chciał ją rozgłosić. Lecz, jak ją poznał i kim był ten człowiek? Brat Ludwika XIV, jak utrzymywał Wolter, czy też minister włoski Mattioli, jak dowodzi współczesna krytyka? —zapytywał Massiban, żądny szczegółów historycznych.

Ale Izydor go nie słuchał. Przerzucał gwałtownie kartki i nagle ujrzał oryginał dokumentu, nad którym od tak

dawna łamał sobie głowę. Tak, nie mylił się — to te same tajemnicze wiersze.

Dalej następowało objaśnienie tego rebusu.

Beautrelet czytał je wzruszonym głosem:

„Jak widać wiersze te, choćby nawet liczby zastąpić

samogłoskami, nie mają znaczenia. Kto chce je
odcyfrować, musi przede wszystkim znać tajemnicę.
Czwarty wiersz zawiera miary i wskazówki. Stosując
się do nich, dochodzi się do celu, w tym jednak tylko
wypadku, gdy się, wie, gdzie jest ów cel i dokąd się
idzie, to jest, jeżeli się zna istotne znaczenie

Wydrążonej Igły . Poznać je zaś można z trzech
pierwszych wierszy. Pierwszy jest tak ułożony, bym
mógł zemścić się na królu, o czym go zresztą
przestrzegałem..."

Beautrelet zatrzymał się zdumiony.

To nie ma sensu — zawołał.

Tak, to nie ma sensu — potwierdził Massiban. —

„Pierwszy jest ułożony tak, bym mógł zemścić się na
królu, o czym go zresztą przestrzegałem..." Co to
może znaczyć?

Ach! Do stu milionów diabłów! — krzyknął Izydor. —

Wyrwane! Dwie kartki wyrwane!

Trząśł się cały z gniewu. Massiban nachylił się nad
książką.

—: To prawda. Ślady są świeże. Wyrwano je siłą. O,
kartki na dole są pogniecione.

—Ale kto? Kto? — jęczał Beautrelet, zaciskając pię-
ści... — Służący? Wspólnik? Ktoś musiał brać stąd

tę książkę... Czy pan nikogo nie podejrzewa? —

zapytał, zwracając się do barona.

—Nie, ale może córka moja będzie coś wiedziała.

Baron zadzwonił na służącego i kazał prosić panią

de Wlemon. Była to młoda

kobieta, z wyrazem głębokiego smutku na twarzy.

Beautrelet zapytał natychmiast:

Pani znalazła tę książkę w bibliotece?

Tak, w paczce, która nie była rozpakowana.

I pani ją czytała?

Wczoraj wieczorem.

Czy wtedy brakowało już kartek? Przypomina pani

sobie dwie kartki, następujące po czterech

wierszach liczb i samogłosek?

Naturalnie, nie brakowało ani jednej kartki.

A jednak wyrwano je...

Książka przez całą noc leżała w moim pokoju.

Przyniosłam ją tutaj, gdy oznajmiono przybycie pana

Massibana. Chyba że...

Co takiego?

—Jerzy... mój syn... bawił się rano tą książką...

Zaczęto szukać chłopca. Bawił się w ogrodzie.

Widok

jednak obcych ludzi i ich poważne pytania

przestraszyły go. Dziecko się rozplakało.

Wezwano służbę. W domu powstało zamieszanie nie do opisania. Beautrelet był zrozpaczony. Czuł, że tajemnica wymyka mu się z rąk, jak woda przecieka przez palce. Zapanował wszakże nad sobą i zapytał pani de Villemón:

Więc pani przeczytała te dwie wyrwane kartki? Pani wie, co one zawierały? Czy może pani powtórzyć ich treść?

Owszem. Całą książkę czytałam z wielkim zajęciem, te dwie kartki jednak szczególnie zwróciły moją uwagę, a to ze względu na wyjaśnienia i na ich doniosłe znaczenie.

Proszę więc, błagam, niech pani mówi. Są to wyjaśnienia niezwyklej wagi. Wydrążona Igła...

O, to jest bardzo proste. Wydrążona Igła znaczy...

W tej chwili wszedł służący.

List do pani...

Jak to... listonosz wszakże już był.

Jakiś chłopiec go przyniósł.

Pani de Willemon przeczytała i nagle usunęła się na fotel śmiertelnie blada, na wpół omdlała. List spadł na podłogę. Beautrelet podniósł go i przeczytał:

„Proszę milczeć, w przeciwnym razie syn pani nie

obudzi się".

—Mój syn... mój syn... — szeptała biedna kobieta,
nie mając sił podnieść się z miejsca.

Beautrelet uspakajał ją:

To niesmaczny żart... komu by na tym zależało?

Nikomu — rzekł Massiban. — O ile nie działa tu
Arsen Łupin.

Izydor dał mu znak, by zamilkł. Wiedział już w tej
chwili, że nieprzyjaciół jest tu znowu, zdecydowany
na wszystko. Chciał więc jak najprędzej wydostać
zeznania od pani de Villemort.

—Błagam panią, niech pani mówi... Chłopcu nie
grozi żadne niebezpieczeństwo...

Drzwi otworzyły się znowu. Wbiegła bona.

—
Pan Jerzy... proszę pani... Pan Jerzy...

Pani de Villemon zerwała się z fotelu i wyprzedzając
wszystkich, pobiegła na taras. Dziecko leżało
nieruchome, zimne...

—Zimny! — jęknęła matka... — Boże, Boże, byle się
tylko obudził!

Beautrelet wsunął rękę do kieszeni, wyjął rewolwer,
odwiódł kurek i wycelował w Massibana.

Lecz on, jakby się tego spodziewając, rzucił się na

niego, Izydor zdążył tylko zawołać:

—Do mnie... to Lupin...

Zanim minęło parę sekund, Beautrelet leżał obezwładniony na fotelu. Jego przeciwnik stał przed nim z rewolwerem w ręku i mówił:

—Dobrze... doskonale... nie ruszaj się... Dużo czasu zużyłeś, zanim mnie poznałeś... Muszę wyglądać jak prawdziwy Massiban?

Śmiał się.

—Izidorze, znowu spaliłeś na panewce. Gdybyś im powiedział, że jestem Łupin, skoczyliby mi do gardła. I byłoby skończone. Czterech na jednego, temu i ja nawet nie dałbym rady.

Zdjął kapelusz, i kłaniając się nisko pani de Villemon, rzekł:

—Pani raczy mi wybaczyć. Okoliczności życia, a zwłaszcza mojego, zmuszają nieraz do okrucieństwa, za które sam się rumienię. Niech pani nie lęka się jednak o swego syna. Jest to tylko ukłucie, maleńkie ukłucie; zadałem mu je, gdy go państwo rozpytywaliście. Za godzinę będzie zdrów jak rybka... Jeszcze raz proszę o przebaczenie, musiałem jednak zmusić panią do milczenia.

Podziękował panu de Velines za gościnność, wziął
laskę, zapalił papierosa, poczęstował barona, skinął
obecnym głową i zawołał protekcyjnie do

Beautreleta:

—Bądź zdrow, mały!

I odszedł spokojnie, puszczając dym w nos
zdumionej służbie...

Beautrelet został. Podeszedł do pani de Villemon,
która czuwała nad synem. Spojrzenia ich
skrzyżowały się. Nie rzekł już nic. Zrozumiał, że ta
kobieta nie powie teraz ani jednego słowa. W
umyśle matki tajemnica Wydrażonej Igły ukryta była
równie dobrze, jak w mroku przeszłości.

Dał za wygraną i odjechał.

Było pół do jedenastej. Pociąg odchodził o
jedenastej pięćdziesiąt. Wolnym krokiem przeszedł
przez park i znalazł się na drodze, wiodącej do
dworca.

—No, i cóż o tym powiesz?

Przed nim stał Massiban, a raczej Łupin.

—Dobrze było wszystko ułożone, co? Jestem
pewny, że już tu nie wrócisz, prawda? Teraz
zapytujesz się w duchu, czy tak zwany Massiban,
członek Akademii istnieje rzeczywiście? Owszem,

istnieje. Pokażę ci go nawet, jeżeli będziesz grzeczny. A tymczasem zapraszam cię do mego samochodu.

Włożył dwa palce w usta i zagwizdał. — Wiesz, w jaki sposób cię śledziłem? W jaki sposób wiedziałem o każdym twoim kroku? Dzięki przyjacielowi, u którego mieszkasz. Dowierzasz mu, on zaś ze wszystkimi twoimi tajemnicami leci zaraz do swej kochanki... a ona nie ma tajemnic przed Lupinem. Cóż to? Już masz oczy pełne łez? Zdradzona przyjaźń!... To cię boli, prawda? Jesteś cudowny, mój mały... Masz zawsze takie zdziwione spojrzenie... Pamiętam, jak się mnie radziłeś w Eguzon... Ależ tak, to ja byłem starym notariuszem i No, śmiej ze się, dzieciaku...

Słysząc było nadjeżdżający samochód.

Lupin chwycił nagle Beautreleta za rękę, wpił się w niego oczami i rzekł zimno:

Będziesz teraz spokojny, co? Widzisz, że nic nie poradzisz. Po co marnować siły i tracić czas na próżno, j Dostyc jest bandytów na świecie... Zabierz się do nich, a mnie zostaw w spokoju... bo... No, zgoda już, prawda?

Wstrząsnął nim gniewnie, a potem zawołał:

—Jakiż ze mnie głupiec! Przeszkadzasz mi... Nie wiem, co mnie powstrzymuje. Raz, dwa i byłbyś związany, a za dwie godziny w jakim ustronnym miejscu na kilka miesięcy... Mógłbym zatrzeć za sobą ślady, ukryć się w spokojnym zaciszu, które przygotowali mi przodkowie moi, królowie Francji, i korzystać ze skarbów, które tak uprzejmie dla mnie gromadzili... Ale widocznie pisane jest, że do końca muszę robić głupstwa. A zresztą, czemu miałbym się ciebie obawiać. Dużo jeszcze wody upłynie w Sekwanie, zanim dostaniesz się do „Igły”... Cóż, u diabła! Ja, Lupin, potrzebowiałem na to dziesięciu dni, tobie i dziesięciu lat nie wystarczy. Jest przecież jakaś różnica pomiędzy nami.

W tej chwili zajechał wielki, zamknięty samochód.

Lupin otworzył drzwiczki. Beautrelet krzyknął ze zdumienia. Na siedzeniu leżał jakiś człowiek, a człowiekiem tym był Massiban.

—Przyrzekłem ci, że go zobaczysz — rzekł Lupin.

Rozumiesz teraz? Około północy wiedziałem o waszym rendez-vous w zamku. O siódmej rano byłem już tam.

Gdy Massiban przyszedł, załatwiłem się z nim w jednej chwili. Małe ukłucie — był gotów. Śpij,

pocziwcze, śpij. Położymy cię na murawie. Na

słońcu, żeby ci było ciepłej. Kapelusz w rękę i parę

franków do kapelusza... na bilet... Tak, tak, po co się wtrącasz do spraw Arsena Łupina... Masz, na coś

zasłużył... Masz jeszcze mój bilet wizytowy. A teraz,

Izydorze, siadajmy. Jest dzisiaj pełne posiedzenie

Instytutu, na którym Massiban ma wygłosić odczyt...

O pół do trzeciej... I wygłosi go... Raz przynajmniej

będę członkiem Akademii... Prędeż, prędeż, je-

dziemy zaledwie 115 na godzinę. Ach! Izydorze, i

ludzie mówią, że życie jest blade! Życie jest

wspaniałe, tylko trzeba umieć żyć... Dusilem się ze

śmiechu w zamku, kiedy ty słuchałeś nudzenia

starego barona, a ja przy oknie wydzierałem kartki z

książki! A ta chwila, kiedy wypytywałeś panią de

Villemon! Czy będzie mówić? Tak, mówiłaby! A

wtedy całe życie musiałbym zaczynać na nowo...

Czy służący przyjdzie na czas? Beautrelet może

mnie zdemaskować! — myślałem. Nie! Nie pozna!

Tak... nie... już poznał... sięga po rewolwer!... Ach!

Co to była za rozkosz! Jakie wstrząsające chwile!...

Za wiele jednak mówimy o tym... Zdrzemnij się...

Chce mi się spać..

Beautrelet spojrział na niego. Zdawało się, że już śpi.

Samochód mknął z zawrotną szybkością. Beautrelet

długo się przypatrywał swemu towarzyszowi
podróży, jakby chcąc przeniknąć go na wskroś,
wyrwać mu jego tajemnicę. Zmęczenie jednak
wzięło górę, powieki przymknęły mu się, zasnęły
Gdy się zbudził, Łupin czytał jakąś książkę. Nachylił się, by zobaczyć tytuł. Były to „Listy do Lucillusa”
Seneki.

VI. Od Cezara do Łupina

„Cóż, u diabła! Ja, Lupin, potrzebowałem: na to
dziesięciu dni... tobie i dziesięciu lat nie wystarczy!”

Słowa te, wypowiedziane przez Lupina, gdy
wychodził z zamku de Velines, wywarły niesłychany
wpływ na postępowanie Beautreleta.

Spokojny, panujący nad sobą Łupin, miewał
czasami chwile egzaltacji, kiedy wyrwały mu się
nieostrożne słówka, z których taki chłopiec, jak
Beautrelet, mógł wyciągnąć korzyść niemałą.

Słusznie, czy też nie, Izydor osądził, że i to zdanie
mieści w sobie jedno z takich mimowolnych wyznań.

Jeżeli Lupin porównywał swoje i jego usiłowania
odkrycia tajemnicy Wydrążonej Igły, znaczyło, że
obaj mieli jednakowe szanse osiągnięcia tego celu.

A jednak, przy jednakowych szansach, Lupin
potrzebował na to zaledwie dziesięciu dni!

Jakież były te szanse? Ograniczały się one do
znajomości broszury, wydanej w roku 1815,

broszury, którą Lupin znalazł przypadkiem, a dzięki której wyjął z modlitewnika Marii Antoniny historyczny dokument.

A zatem broszura i dokument stanowiły jedyną podstawę poszukiwań Łupina. Bez wszelkiej postronnej pomocy wzniosł na nich cały gmach. Badał broszurę, badał dokument — oto wszystko.

Czyż Izydor nie może uczynić tego samego?

Beautrelet poczuł, iż jest na właściwej drodze. Więc przede wszystkim, nie robiąc bezcelowych wyrzutów, wyniósł się od swego kolegi z Janson de Sailly i zamieszkał w hoteliku, w samym centrum Paryża. Tam zamknął się na klucz, szczelnie zasłoniwszy okna, po całych dniach rozmyślał.

„Dziesięć dni” — powiedział Arsen Lupin. Beautrelet usiłował zapomnieć o wszystkim, co dotąd przedsięwziął, rozważać wyłącznie tylko dane, jakich dostarczała mu broszura i dokument. Pragnął z całej duszy ograniczyć się do tych dziesięciu dni. Jednak minął dziesiąty, jedenasty i dwunasty dzień i trzynastego zaledwie w umyśle ucznia zabłysło światło. Ale wtedy już prawda rozwijała się przed nim z cudowną szybkością. Wieczorem trzynastego dnia znał metodę, prowadzącą do rozwiązania zagadki, metodę, którą niewątpliwie posługiwał się

Lupin.

Metoda ta zaś polegała na znalezieniu odpowiedzi na jedno zasadnicze pytanie: czy istnieje jakiś związek pomiędzy wszystkimi tymi historycznymi wypadkami, które przytacza broszura o Wydrążonej Igle?

Odpowiedź była niełatwa. Wreszcie jednak Beautrelet znalazł nić przewodnią. Oto wszystkie owe wypadki działały się bez wyjątku w granicach współczesnej Normandii. Wszyscy bohaterowie tajemnicy byli Normanami lub też zamieszkiwali okolice Normandii.

Beautrelet zajrzał do historii:

Oto Rollon, pierwszy książę normandzki, wchodzący, dzięki traktatowi w Saint-Clair-sur-Epte, w posiadanie tajemnicy Wydrążonej Igły!

Oto Wilhelm Zdobywca, książę Normandii, który podpisuje się: Władca tajemnicy!

Oto Protekstatut, biskup Rouen, posyłający pomoc oraz Iglę swemu ukochanemu Merowingowi!

W Rouen Jan bez Ziemi, kazał zamordować Artura Bretańskiego, który odkrył tajemnicę.

W Rouen Anglicy spalili Joannę d'Arc, która posiadała tajemnicę.

A wszystko to dzieje się w sercu Normandii.

Teren poszukiwań zacieśnił się. Rouen, wybrzeża

Sekwany, okolice Caux... Henryk IV oblegał Rouen i

wygrał bitwę pod Arques u bram Dieppe.

Franciszek I założył Hawr i wypowiedział te doniosłe

słowa: „Królowie Francji posiadają tajemnicę, która

kieruje rzeczami i losem miast”!

Rouen, Dieppe, Hawr... trzy kąty trójkąta, trzy wiel-

kie miasta leżące na trzech skrajnych punktach, a

po środku prowincja Caux.

Rouen... Dieppe... Hawr... Tajemniczy trójkąt... Z

jednej strony morze. Z drugiej Sekwana. Z trzeciej

— dwie doliny, prowadzące z Rouen do Dieppe.

Nagły błysk rozjaśnił umysł Beautreleta. Miejsco-

wość ta, ten kraj wysokich płaskowzgórzy,

ciągnących się od brzegów Sekwany do wybrzeży

La Manche, był zawsze prawie polem operacji

Arsena Łupina.

Oto od lat dziesięciu grasuje po tej okolicy, jakby tu

miał swe legowisko, z okolicą tą zaś ściśle jest

związana legenda o Wydrążonej Igle.

Przed dziesięciu laty zatem Arsen Lupin, będąc

posiadaczem broszury i wiedząc, gdzie Maria

Antonina schowała dokument, potrafił pochwycić w

swe ręce słynny modlitewnik. Zdobywszy dokument,
rzucił się w wir walki, znalazł i zamieszkał w
podbitym kraju.

W walkę tę rzucił się i Beautrelet.

Wczesnym rankiem wyszedł z Rouen, pieszo.

Udał się wprost do Duclair, gdzie zjadł śniadanie.

Wyszędłszy za miasto, szedł wzdłuż Sekwany i już

jej nie opuszczał. Instynkt ciągnął go zawsze nad

wijące się brzegi cudnej rzeki. Tędy popłynęły

zabytkowe rzeźby okradzionej kaplicy de Gesvresa,

tędy Łupin spławiał wszystkie swe łupy.

Niepowodzenia pierwszych dni bynajmniej nie

odbierały mu odwagi. Wierzył głęboko w słusność

swej hipotezy. Hawr, okolice Hawru przyciągały go,

jak światło latarni morskiej.

„Królowie francuscy posiadają tajemnicę, która

rządzi losami narodów.”

Niezrozumiałe wyrazy rozjaśnił błysk prawdy!

Czyżby nie były one dokładnym wytłumaczeniem

powodów, dla których Franciszek I zbudował miasto

na tym właśnie miejscu i czyżby losy Hawru nie były

ściśle związane z tajemnicą Wydrążonej Igły?

— Tak... tak... — szeptał Beautrelet w upojeniu.

Olbrzymia część historii Francji i domu królewskiego

objaśnia się Iglą, zarówno jak cała historia Łupina.

Te same źródła siły i energii zasilają życie królów i życie awanturnika.

Od wsi do wsi, od rzeki do morza, Beautrelet zdązał wywiadując się, rozglądając i tropiąc.

Pewnego rana jadł śniadanie w oberży, w historycznym mieście Honfleur. Naprzeciw niego siedział czerwony, otyły handlarz koni z batem w ręku, w długiej bluzie. Przez chwilę Izydorowi zdawało się, że człowiek ten przypatruje mu się, jakby go poznał.

Ech! pomyślał, myślę się, nie widziałem go nigdy w życiu ani on mnie.

I istotnie kupiec nie zajmował się nim dłużej. Zapalił fajkę, kazał sobie podawać kawy i koniaku, pił i palił.

Skończywszy śniadanie, Beautrelet zapłacił i zabierał się do wyjścia. W tej chwili do oberży wchodziła gromada ludzi, tak, że Izydor musiał zatrzymać się koło stolika, przy którym siedział kupiec, gdy nagle usłyszał wymówione szeptem:

—Jak się pan miewa, panie Beautrelet?

Izydor nie wahał się. Usiadł obok nieznajomego i rzekł:

Tak, to ja... ale pan kto jesteś? Jakże mnie pan poznał?

Od pierwszego spojrzenia... Mimo, że widziałem, tylko portret pański w dziennikach. Ale pan jest bardzo źle ucharakteryzowany.

Nieznajomy mówił z silnym cudzoziemskim akcentem, a przyjrząwszy mu się uważnie, Beautrelet spostrzegł, że i on również jest przebrany i ucharakteryzowany. Kim pan jesteś? — powtórzył.

— Kim pan jesteś?

Cudzoziemiec uśmiechnął się.

— Pan mnie nie poznaje?

— Nie, nigdy pana nie widziałem. v

—Proszę sobie przypomnieć. Portrety moje zamieszczane są we wszystkich dziennikach... No?

— Nie...

— Herlock Sholmes.

Spotkanie było dziwne, lecz zarazem znaczące.

Izydor natychmiast to zrozumiał i rzekł:

Przypuszczam, że pan jest tu... dla niego.

Tak..

A więc... a więc.. pan sądzi, że dojdziemy do czegoś... w tej stronie...

Jestem tego pewien...

Ma pan dowody? Wskazówki?

Proszę się nie obawiać — zaśmiał się Anglik — nie

pójdę pańską drogą. Pan to broszura, dokument..

A pan?

Słyszałeś pan zapewne o Wiktorii, starej niańce
Lupina. Znalazłem jej ślady. Mieszka na fermie, w
pobliżu drogi narodowej nr 25. Szosa nr 25 — to
droga z Hawru do Lille. Przez nią dojdę do Łupina.

To długo potrwa.

Ha, cóż robić! Porzuciłem wszystkie inne sprawy. Ta
jedna tylko dla mnie istnieje. Pomiedzy mną i
Lupinem toczy się walka... walka na śmierć.

W słowach tych drżała dzika nienawiść za doznane
poniżenia, za wyprowadzenie w pole i wyszydzenie.

—Proszę odejść — szepnął — patrz na nas... to ni
niebezpiecznie... Proszę zapamiętać jednak moje
słowa: gdy spotkamy się z Lupinem twarzą w twarz,
stanie się... coś tragicznego.

Beautrelet opuścił Sholmesa uspokojony; obawiał
się tego jedynie, że Anglik może go wyprzedzić.

A jakież dowód dało mu to przypadkowe spotkanie!

Droga z Hawru do Lille przechodzi przez Dieppe! I w
jednej z ferm w pobliżu owej drogi znajduje się

Wiktorii, to jest Łupin, ponieważ nie rozstają się oni
nigdy, pan nie opuszcza ani na chwilę ślepo
przywiązanej do siebie służącej .

Z dzikim uniesieniem wziął się do dzieła. Jeżeli

Łupin znalazł, to nie ma powodu wątpić, ażebym ja znaleźć nie potrafił — powtarzał sobie bez ustanku.

Gdyby nawet miał poświęcić tym poszukiwaniom dziesięć lat życia, musi doprowadzić je do końca.

Od czasu do czasu rzucał się w przydrożne krzewy i zagłębiał w odcyfrowanie dokumentu, którego kopię miał zawsze przy sobie, w udoskonalonej nieco formie, tak, że cyfry zastąpione były samogłoskami.

e.a.a..e..e.a.

a..a...e.e.

.e.oi.e..e.

.ou.e.o...e..e.o..e

D d7D 19 + F 44 ^

ai.uL.e ..eu.e

Niejednokrotnie swoim zwyczajem wylegiwał się w wysokiej trawie, rozmyślając całymi godzinami. Miał czas. Przyszłość należała do niego.

Pewnego dnia przeszedł przez śliczną wioskę Saint-Jouin, położoną nad morzem, i opuścił się między urwiste skały, biegnące wzdłuż wybrzeża. Szedł wesoło i żwawo nieco zmęczony, ale taki rad z życia! Tak szczęśliwy, że zapomniał o Łupinie i tajemnicy Wydrążonej Igły, ° Wiktorii i Sholmesie, a

przejęty był jedynie podziwianiem błękitnego nieba i szmaragdowego morza, lśniącego w promieniach słońca. Po drodze zatrzymały go resztki kamiennego muru, które uznał za pozostałości obozu rzymskiego. Potem napotkał ruiny starożytnego zameczku, jakby fortecy, z popękkanymi wieżyczkami i wysokimi, gotyckimi oknami. Nad bramą wyczytał napis: Fort Frefosse. Minąwszy zameczek, ścieżką biegnącą pod lasem Izidor doszedł do grotty, na samym skraju wzgórza; ściany jej pokryte były mnóstwem napisów, z jednej zaś strony wykuty był kwadratowy otwór, przez który w odległości trzydziestu, czterdziestu metrów widać było fort Frefosse.

Beautrelet rzucił worek na ziemię i usiadł. Był zmęczony. Za chwilę już spał.

Zbudził go chłodny wiatr, wiejący w grocie.

Kilka minut leżał nieruchomo, rozglądając się z roztargnieniem dokoła. Przeciągnął się i chciał już wstać, gdy nagle doznał wrażenia, że oczy jego, utkwione w jeden punkt, patrzą na coś...

Przejął go dreszcz... Zacisnął dłonie, na czoło wystąpiły mu grube żyły.

— Nie, nie — szeptał — to sen, halucynacje... Było-

by to możliwe?

Ukląkł i nachylił się. Na podłodze z granitu wyryte były dwie olbrzymie wypukłe litery, wielkości stopy.

Te dwie litery, wyciosane nieumiejętną ręką, lecz wyraźnie, z kantami, zatartymi przez czas, te dwie litery były to D i F.

D i F! Dwie litery dokumentu! Izydor nie potrzebował nawet sprawdzać, tak silnie miał w pamięci ten wiersz liter i znaków. Były one na zawsze wyryte w głębi jego źrenic, odbite w mózgu!

Wstał, wyszedł na drogę, minął fortecę i podszedł do pastuszka, którego stado pasło się na spadzistej łące.

—Ta grota... tam... ta grota?

Usta mu się trzęsły, nie mógł mówić.

Pastuszek patrzył na niego ze strachem.

Wreszcie Izydor powtórzył:

— Ta grota... na prawo od fortu... Musi mieć jakąś nazwę?

Naturalnie, że ma... To Grota Panieńska (Demoiselles). Co?... Co?... Jak mówisz?

— No tak... to Grota Panieńska.

Demoiselles! Jeden z wyrazów, jeden z dwóch wyrazów, odcyfrowanych w dokumencie.

Zrozumiał już teraz wszystko. Demoiselles!...

Etretat...

Powiedział cicho do pastuszka.

—
Dobrze... idź... możesz iść... dziękuję...

Zdumiony wieśniak gwizdnał na psa i odszedł.

Beautrelet zawrócił do fortu. Nagle przypadł do ziemi

i załamując ręce, myślał:

Jestem szalony! A jeżeli on mnie widzi? Jeżeli

widzą mnie jego wspólnicy? Od godziny kręcę się

tutaj...

Nie ruszał się. Słońce zachodziło. Wtedy

przyczołgał się nad brzeg morza.

Na wprost niego, na otwartym morzu, 'wznosiła się

olbrzymia skała, przeszło osiemdziesiąt metrów

wysokości kolosalny obelisk, prostopadle

wyrastający z granitowego cokołu i stopniowo

zwężający się ku górze.

Beautrelet patrzył.

Błękit nieba pociemniał w górze. Wenus jaśniała cu-

downym blaskiem, gasząc swym światłem setki

wschodzących gwiazdek.

Nagle Beautrelet zamknął oczy, konwulsyjnie

przyciskając do czoła skrzyżowane dłonie. Tam —

zdawało mu się, że umiera z radości, tak strasznie

biło mu serce — tam, prawie na szczycie Igły

Etretat, ponad najwyższym punktem, dokoła którego

krążyły mewy, płynął w górę z jakiejś szczeliny

wąski pasek dymu.

VII. Sezamie, otwórz się!

Igła z Etretat była wydrążona! Cudowne odkrycie!

Po Lupinie obecnie Beautrelet znajduje klucz do

wielkiej tajemnicy, rządzącej światem przez

dwadzieścia z górą wieków! Klucz, dający niepojętą

władzę temu, kto go posiadał!

Zdobywszy klucz ów, Cezar mógł pokonać Gallów

Znając go, Normanowie zawładnęli krajem całym,

opanowali sąsiednią wyspę, zdobyli Sycylię, podbili

Wschód

Posiadając tę tajemnicę królowie Anglii biorą w

swoją' moc Francję, poniżają ją, rwą w kawały,

koronują się w Paryżu. Tracą ją i grunt spod stóp im

się usuwa.

Tam, w łonie wód, odległa o dziesięć sążni od ląduj

wznosi się nieznaną forteca, wyższa od wieży

Notce-Dame, wsparta na granitowym cokole,

szerszym aniżeli' jakikolwiek plac publiczny...

Jaka moc i jakie bezpieczeństwo! Od Paryża do

morza] Sekwana. Tam Hawr, riowe, niezbędne
miasto. A stąd o siedem mil Wydrążona Igła. Czy to
nie pewne schronienie?

Nie tylko schronienie. To także olbrzymie skarby
królów, zgromadzone przez wieki całe, wszystko
złoto Francji, wszystko to, co zostało wyciśnięte z
narodu, wyrwanej duchowieństwu, wszystkie łupy,
zdobyte na polach bitew' Europy — wszystko to
spoczywa w królewskim podziemiu. Kto je otworzy?

Kto zdoła odgadnąć nieprzeniknioną tajemnicę Igły?

Nikt.

Nie, Lupin.

Bez Wydrążonej Igły Lupin jest niezrozumiały,; to
mit, romantyczna postać, nie mająca nic wspólnego
m rzeczywistością.

Ale Lupin, posiadacz tajemnicy i to jakiej tajemnicy, i to człowiek jak inni, zwykły, lecz umiejący
doskonale

władać bronią, którą los oddał mu w ręce.

A więc, Igła jest wewnątrz wydrążona, oto fakt
niezaprzeczony. Pozostaje jedynie do niej się
dostać.

Jak? Aż do dziesiątej wieczorem Beautrelet
przeleżał nad przepaścią z oczami utkwionymi w tę
mroczną piramidę, potem zszedł do Etretat, wybrał
najcichszy zajazd i zamknął się tam w pokoju,

rozwinął dokument.

Odcyfrowanie rękopisu było dlań teraz zabawką.

Spostrzegł od razu, że trzy samogłoski wyrazu

Etretat znajdują się w pierwszej linii, we właściwym

porządku i z należytymi przerwami. Pierwszy ten

wiersz przedstawiał się więc, jak następuje: e.a.a..

etretat

Jakiż wyraz mógł poprzedzać Etretat? Niewątpliwie

wyjaśniający położenie Igły w stosunku do wsi. Igła

znajduje się na lewo, ku zachodowi...

Zastanowiwszy się, przypomniał sobie, że wiatry

zachodnie na wybrzeżach morskich nazywają się

wiatrami aval i napisał:

En aval d'Etretat — La chambre 1.

W drugim wierszu znajdował się wyraz D e m o i s e

1 -les, napisał więc dalej:

En aval d'Etretat — La chambre des De-moiselles².

Z trzecim wierszem więcej było kłopotu, na chybił

trafił zatem, przypomniawszy sobie, iż w pobliżu

Pokoju Panien znajdują się zameczek, zbudowany

na miejscu fortu Frefosse, w końcu całkowicie

prawie odtworzył dokument:

En aval d'Etretat — la chambre des De-

moiselles — Sous le fort de Frefosse — Ai-guille

creusel.

To były cztery wielkie formuły, które trzeba było znać koniecznie. Jak wskazywały, należało się koniecznie skierować na zachód od Etretat, wejść do Pokoju Panieńskiego, przejść pod fortem Frefosse i tędy dostać się do Wydrążonej Igły.

Jak? Stosując się do wskazówek i pomiarów, składających się na czwarty wiersz:

D df □ 19 + F 44 ^

Były to oczywiście formuły otwierające wejście do Igły. Cały ranek następnego dnia Beautrelet spędził w Etretat, gawędząc z wieśniakami, i po obiedzie dopiero wyszedł nad wybrzeże. Znalazłszy się w grocie, klęknął przed literami, w nadziei, że jako zamieszczone w dokumencie, muszą mieć związek z tajemniczym wejściem do Igły. Na próżno jednak naciskał je, poruszał we wszelkich kierunkach, stukał w nie i popychał — litery były nieruchome. Wkrótce zrozumiał, że nie były one połączone z żadnym mechanizmem.

Jednak... jednak musiały coś oznaczać... I nagle zabłysła mu myśl, czy te dwie litery D i F nie są inicjałami dwóch najważniejszych wyrazów w dokumencie? D — Demoiselles, F — Frefosse.

Jeśli tak, to połączenie D F przedstawia związek, istniejący pomiędzy Pokojem Panien, a fortem Frefosse; oddzielna litera D na początku wiersza to grota, w której przede wszystkim trzeba stanąć, oddzielna zaś litera F, nakreślona pośrodku wiersza, to Frefosse, przypuszczalne wejście do podziemia.

Pomiędzy literami tymi znajdują się jeszcze trzy znaki, coś w rodzaju nieprawidłowego kwadratu, ze znacznikiem po lewej stronie, na dole, oraz liczba 19 i krzyż, maki, które według wszelkiego prawdopodobieństwa wskazują temu, kto stoi w grocie, w jaki sposób można się dostać pod fortecę.

Forma tego czworokąta zaintrygowała Izydora. Czy nie było dokoła niego czegoś, co by miało formę kwadratu?

Długo szukał i chciał już poniechać tej myśli, gdy czy jego padły na otwór, wybity w ścianie, na kształt okna w pokoju. Brzegi tego otworu tworzyły czworokąt, nieprawidłowy, poszczerbiony, ale zawsze czworokąt, i Beautrelet spostrzegł zaraz, że stanąwszy obiema nogami na literach D i F — co wyjaśniały dwie kreski, postawione nad tymi literami w dokumencie — znajdzie się właśnie na wysokości okna. Stanął w tej

pozycji i patrzył. Okno wychodziło na brzeg morza; najpierw było widać ścieżkę pomiędzy dwiema przepaściami, potem wzgórze, na którym wznosił się port.

Chcąc go lepiej zobaczyć, Beautrelet przechylił się na prawo i wówczas zrozumiał znaczenie znaku w formie przecinka, postawionego u dołu, na lewo, w czworokącie W dole, w lewej części okna odłamek kamienia tworzył jakby strzałkę; pobiegłszy wzrokiem w kierunku tej strzała dostrzegano się zbocze przeciwległego wzgórza, całkowicie prawie zajęte przez ruiny zabytkowego fortu Frefosse.

Beautrelet pobiegł ku tej części muru. Żadnej wskazówki.

Cóż więc oznacza owa liczba 19?

Powrócił do grotty, wyjął z kieszeni kłębek szpagatu i składany metr, przywiązał szpagat do końca strzałki do dziewiętnastego metra przytwierdził kamień i rzucił go na ziemię. Kamień padł na koniec ścieżki.

Idioto — pomyślał Beautrelet. — Czyż w owych czasach liczono na metry? 19 oznacza 19 sążni albo nie oznacza nic.

Odliczył tyle na szpagacie, zrobił węzeł i szukał

miejsca, gdzie supeł, zawiązany w odległości 19
sążni od pokoju Panien, dotykał muru Frefosse.

Po kilku minutach punkt styczny był znaleziony.

Wówczas rozsunął rękami trawę, rosnącą w
szczelinach muru.

Mimowolny krzyk wyrwał mu się z piersi. Węzeł
wypadał pośrodku krzyża, wrytego w płaskorzeźbie
na jednym z kamieni.

A znak postawiony na dokumencie po cyfrze 19 był
to właśnie krzyż!

Izydor z całej siły pochwycił za krzyż i zaczął nim
kręcić w obie strony. Kamień drgnął. Podwoił
wysiłek, ale kamień już się nie poruszał. Wtedy, nie
przekręcając silnie nacisnął. Kamień zaczął
ustępować. I nagle rozległ się zgrzyt jakby
odsuwanych rygli i na prawo od kamienia, w
odległości metra, część muru przekręciła się,
odsłaniając wejście do podziemia.

Beautrelet chwycił jak szalony za żelazne drzwi,
zamaskowane kamieniami, okręcił je i otworzył.

Zdumienie, radość, obawa, że zostanie
spostrzeżony, zmieniły jego rysy do tego stopnia, że
z trudnością można go było poznać. W mgnieniu
oka stanęła przed nim straszliwa zjawia wszystkiego,

co działo się tu, przed tymi drzwiami, w ciągu dwudziestu wieków, widział ludzi, którzy w największej tajemnicy tędy przechodzili... Celtowie, Gallowie, Rzymianie, książęta, królowie, a po nich Arsen Lupin... a po Łupinie on, Beautrelet... Poczł, że siły go opuszczają. Oczy mu się przymknęły. Omdlał i stoczył się do stóp wzgórza, na skraj przepaści.

VIII. Obława

Zadanie jego było spełnione, przynajmniej w zakresie, w którym mógł działać sam, o własnych siłach. Wieczorem napisał do naczelnika policji długi list, w którym szczegółowo zdawał sprawę ze swych poszukiwań i opisywał tajemnicę Wydrażonej Igły. Oczekując odpowiedzi, dwie noce z rzędu spędził w Pokoju Panien. Spędził je, drżąc ze strachu, w nerwowym napięciu... Co chwila zdawało mu się że jakieś cienie krążą dokoła. Obecność jego w grocie jest wiadoma... przyjdą... zaduszą go. Pierwszej nocy panował głęboki spokój, drugiej jednak przy świetle gwiazd i bladego sierpu księżyca dostrzegł, jak drzwi otwały się i ciemności napełniły się cieniami. Naliczył ich dwa, trzy, cztery, pięć... Wydało mu się, że wszyscy ci ludzie niosą jakieś

ciężary. Poszedł za nimi. Przez pola wyszli na drogę do Hawru, a po chwili rozległ się łoskot aut.

Izydor zawrócił. Ale na zakręcie ledwie zdążył schować się za drzewa. Szło jeszcze pięciu ludzi, a wszyscy uginali się pod ciężarami. W dwie minuty potem zawarczał motor.

Tym razem nie miał już sił wracać na stanowisko i poszedł spać.

Gdy się zbudził, garson podał mu list. Otworzył go. Był to bilet Ganimarda.

Wybiegł na jego spotkanie z wyciągniętymi ramionami. Ganimard uścisnął go i, popatrzywszy na niego chwilę, rzekł:

Dzielny z pana chłopiec.

Nie ma o czym mówić, pomógł mi przypadek.

Usiedli.

A więc mamy go w ręku — stwierdził inspektor, który mówił zawsze o Łupinie poważnym tonem i nigdy nie wymawiał jego nazwiska.

Jak go już mieliście ze dwadzieścia razy — odparł śmiejąc się Beautrelet.

Tak, ale dzisiaj...

Istotnie, dzisiaj to całkiem co innego. Znamy jego schronienie, jego warownię, jego zamek, wszystko,

co

Łupina czyni Lupinem. On może nam uciec. Wydrążona Igła tego uczynić nie potrafi.

Czemu pan przypuszcza, że on nam ucieknie? —
zapytał zaniepokojony Ganimard.

A czemu pan przypuszcza, że będzie uciekał? —
odparł Beautrelet. — Kto wie, czy on w tej chwili w
ogóle znajduje się w Igle. Dzisiaj w nocy wyszło
stamtąd jedenastu ludzi. Być może, że on był
jednym z tych jedenastu.

Ganimard zastanowił się.

—Masz pan słuszość. Najważniejsze — to Wy-
drążona Igła. Miejmy nadzieję, że nam się
powiedzie. A teraz pomówmy.

I przybrawszy znowu bardzo poważny ton, rzekł:

Kochany Beautrelet, kazano mi poradzić panu, abyś
w tej sprawie zachował absolutne milczenie.

Kazano panu? Kto? — zapytał Beautrelet żartobli-
wie. — Prefekt policji?

Wyżej.

Prezes Sądu.

Wyżej.

—Tam do diabła!

Ganimard zniżył głos.

Słuchaj, Beautrelet. Przybywam wprost z Pałacu Elizejskiego Na sprawę tę zapatrują się tam jak na tajemnicę stanu niesłychanej wagi. Nikt nie powinien dowiedzieć się o istnieniu tej fortecy. Chodzi tu o względy strategiczne...

Ale jakże można utrzymać taką tajemnicę? Przedtem znał ją jeden tylko człowiek, król. Obecnie wiemy o niej my, Łupin, jego szajka. Zresztą, fortecę tę trzeba wprzód zdobyć, a tego po cichu uczynić nie można.

Owszem. Proszę posłuchać, jaki mam plan. Przede wszystkim nie jest pan Izydorem Beautreletem i nie ma już mowy o Wydrążonej Igle. Pan jest i zostanie wiejskim chłopcem z Etretat, który wypadkiem dojrzał, jak jacyś ludzie wychodzili z podziemia. Zatem ja z połową moich ludzi, prowadzeni przez pana, wchodzimy do tunelu. Jeśli Łupina nie będzie w Igle, urządzimy zasadzkę,] w którą kiedyś wpaść musi. Jeżeli zaś tam jest...

Jeżeli tam jest, ucieknie tylnym wyjściem na morze. W takim razie będzie niezwłocznie zaaresztowani przez drugą połowę moich ludzi.

Dobrze, ale jeśli pan wybierze na to chwilę, kiedy morze, odpływając, odsłania podnóże Igły, polowanie stanie się publiczne, ponieważ będzie mieć miejsce wobec całego tłumu rybaków i rybaczek.

Dlatego też wybiorę chwilę przyływu.

W takim razie ucieknie łodzią.

Być może, ale wówczas zatopię go.

Tam do diabła! A więc ma pan armaty?

Oczywiście. W tej chwili w Hawrze stoi torpeda]

wiec. Otrzymałszy ode mnie telegram, w oznaczonej pa rze znajdować się będzie koło Igły.

Jak widzę, zabezpieczył się pan wobec wszelkiej możliwości. Kiedyż więc przystąpimy do dzieła?

Jutro.

W nocy?

W dzień, kiedy zacznie się przyływ, o dziesiątej!

—Doskonale.

Pomimo pozornej wesołości Beautrelet mocno był zaniepokojony. Całą noc spędził bezsennie. Punkt o dziesiątej przyszedł do niego Ganimard, w parę minut potem wraz z dwunastu tęgimi zuchami, najętymi we wsi do pomocy, znaleźli się pod murem fortecznym.

Co się z tobą dzieje, Beautrelet? Jesteś zielony —
zaśmiał się Ganimard, przechodząc nagle na „ty”.

A ty, Ganimard, nie widzisz siebie — odrzekł
Beautrelet, myśląc, że oto przyszła ostatnia chwila.

Musieli odpocząć i wypić parę łyków rumu dla doda-
nia sobie odwagi.

—To nie bagatela! — odezwał się Ganimard. — Ile
razy mam go schwytać, wszystko się we mnie burzy.

No, ale teraz do pracy. Proszę otworzyć.

Beautrelet podszedł do muru i nacisnął kamień.

Drzwi otwarły się, ukazując podziemie.

Przy blasku latarni spostrzegli, że przejście było
sklepione i całkowicie wyłożone cegłą.

Szli kilka minut, gdy nagle ukazały się schody.

Tam do diabła! — krzyknął Ganimard, podniósłszy
głowę do góry i zatrzymując się, jakby natrafił na
niespodziewaną przeszkodę.

Co takiego?

Drzwi.

Przekleństwo — mruknął Beautrelet, oglądając drzwi
— a wyłamać ich nie można, całe z żelaza!

— Ładna historia — rzekł Ganimard. — Nie ma na-
wet zamka.

—Prawda. Ale to daje mi niejaką nadzieję.

Dlaczego?

Drzwi są po to, żeby je otwierać; jeżeli zatem nie mają zamka, musi istnieć jakiś tajemny sposób otwierania ich.

A że nie znamy tego sposobu...

Ja go znam.

Jak to?

Dzięki dokumentowi. Czwarty wiersz służy jedynie do usunięcia trudności, gdyby się na nie natrafiło.

Zadanie jest stosunkowo łatwe.

Stosunkowo łatwe! Nie zgodzę się z panem — zawołał Ganimard, rozwijając dokument.

Cyfra 44; trójkąt z kropką po lewej to niezbyt jasne!

Ależ owszem, owszem. Proszę przypatrzeć się drzwiom. Na rogach ozdobione są żelaznymi trójkątami, które przytrzymują wielkie gwoździe.

Niech pan naciśnie gwóźdź w lewym narożniku, na dole... Mamy dziewięć szans przeciwko jednej, żeśmy zgadli.

Natrafił pan na dziesiątą — powiedział Ganimard, na próżno usiłując otworzyć drzwi.

—A więc cyfra 44...

Beautrelet rozmyślał dalej na głos:

—Stoimy obaj na ostatnim stopniu schodów... Jest

ich 45. Dlaczego 45, kiedy w dokumencie stoi cyfra 44?... Przypadek? Nie... W całej tej sprawie nie pozostawiono nic przypadkowi. Ganimard, niech pan stanie na 44 stopniu. A teraz ja przekręcę gwóźdź... Jeśli to nie pomoże, nic nie rozumiem...

Ale ciężkie drzwi obróciły się na zawiasach. Przed sobą ujrzeli sporą piwnicę.

—W tej chwili znajdujemy się pod fortem Frefosse

— odezwał się Beautrelet. — Podziemie skończyło się. Cegły także. Jesteśmy w samym środku skały.

Salę oświecał słabo promień słońca, wpadający przez szczelinę w skale. Szczelina ta tworzyła coś w rodzaju strażnicy. Naprzeciwko wznosiła się majestatyczna Igła. W dole widać było morze.

Gdzie jest pańska flotylla? — zapytał Beautrelet.

Łodzi stąd nie widać, ale spójrz pan tam, na jednej linii z wodą, ten czarny punkcik...

No?

To torpedowiec nr 25. Teraz Łupin może uciekać, jeśli ma ochotę zwiedzić podwodne okolice.

W pobliżu szczeliny rozpoczynały się znowu schody.

Zeszli nimi w dół, gdzie znaleźli następne drzwi.

Otworzywszy je, ujrzeli niezmiernie długi korytarz, tu

i ówddie rozjaśniony światłem latarni, zawieszonych pod sklepieniem. Ściany były mokre, z sufitu kapiała woda.

—Idziemy pod morzem — powiedział Beautrelet. —
Gdzie pan jest, Ganimard?

Inspektor poszedł do latarni i zdjął ją z haka.

—Latarnia może pochodzi ze średniowiecza, ale sposób zapalania jest współczesny — powiedział, zawieszając ją z powrotem u sufitu.

Tunel kończył się grotą, na końcu której znajdowały się znów schody.

—Teraz zacznie się wejście do Igły — rzekł Ganimard. — No, do roboty!

Nagle odwołał go jeden z jego ludzi.

Panie inspektorze, tu na lewo są drugie schody. I natychmiast odnaleźli trzecie, na prawo.

Podzielimy się — radził Beautrelet.

Nie, nie... Lepiej już, żeby jeden poszedł na zwiady.

Jeśli pan chce, mogę pójść.

Dobrze. Ja zostanę tutaj. Proszę iść, ale gdyby pan zauważył coś podejrzanego, musi pan strzelać.

Izydor zniknął na środkowych schodach. Na trzecim stopniu zatrzymały go drzwi, zwykłe, drewniane drzwi. Chwycił za klamkę. Drzwi nie były zamknięte.

Wszedł do olbrzymiej sali, oświetlonej olejnymi lampami i wypełnionej po brzegi kuframi i koszami. Naprzeciw znajdowały się znowu schody, drzwi i druga sala, nieco mniejszych rozmiarów. Beautrelet zrozumiał konstrukcję Igły. Składa się ona z całej serii sal, jedna nad drugą, skutkiem tego coraz mniejszych. Wszystkie służyły za magazyny. Przeszedłszy jeszcze kilka sal, Izydor; znalazł się przed drewnianymi, zupełnie już współczesnymi drzwiami. Popchnął je. W sali nie było nikogo. Na ścianach wisały gobeliny, podłogę zaścielał dywan. Naprzeciw siebie stały dwa kredensy, pełne srebra i kryształów. Po środku znajdował się nakryty stół, przystrojony kwiatami, zastawiony cukrami i szampanem. Na stole były trzy nakrycia, przed nimi leżały bilety wizytowe.

Beautrelet podszedł do stołu i na pierwszym przeczytał: Arsen Łupin. Drugi: Arsenowa Łupin. Wziął trzecią kartę i zadrżał. Było na niej napisane: Izydor Beautrelet.

IX. Skarbiec królewski

Rozsunęła się portiera.

—Jak się masz, kochany Izydorze. Spóźnił się pan trochę. Ale co to, pan mnie nie poznaje? Czyżbym

się tak zmienił?

Walcząc przeciw Łupinowi, Beautrelet doznał już
niejednej niespodzianki, a teraz, w ostatecznej
chwili, przygotowany był na wszystko. Takiego
jednak zwrotu nie spodziewał się nigdy. Ogarnęło go
już nie zdziwienie, lecz osłupienie, przerażenie.

Człowiek, który stał przed nim, którego zmuszony
był uważać za Arsena Lupina, człowiekiem tym był
Valmeras! Valmeras, właściciel Zamku Iglastego,
ten sam, u którego szukał pomocy przeciw Arsenowi
Lupinowi. Dzielny sprzymierzeniec, który oswobodził
jego ojca oraz pannę de Saint-Veran, rzuciwszy się
na wspólnika Łupina!

Pan... pan... Więc to pan! — jękał.

Czemuż by nie — zawołał Łupin. — Gdy się wybrało
takie stanowisko społeczne jak ja, trzeba umieć być
wszystkim. Pastorem, notariuszem, członkiem
Akademii. Ale teraz prawdziwy Łupin stoi przed
panem. Proszę mu się dobrze przypatrzeć'.

Lecz... jeżeli to pan... to panna...

—Tak, tak, Izydorze, nie mylisz się.

Rozsunął portierę i oznajmił:

Pani Arsenowa Lupin!

Ach — zawołał Beautrelet, gwałtownie zmieszany —

panna de Saint-Veran.

Nie, nie — zaprzeczył Lupin — pani Arsenowa

Lupin, a jeśli pan woli, pani Ludwikowa Valmeras,
moja małżonka wedle wszelkich praw.

W tej chwili wszedł służący i postawił na stole
srebrną tacę, napełnioną półmiskami.

—Pan nam wybaczy — rzekł Lupin — ale kucharz
nasz jest na urlopie, musimy więc zadowolić się
zimnymi potrawami.

Beautrelet odruchowo zajął miejsce przy stole, nie
przystając patrzeć na Lupina. Czy człowiek ten
zdawał sobie sprawę z grożącego mu
niebezpieczeństwa, czy wiedział o obecności
Ganimarda?

Lupin mówił dalej:

—Szczęście nasze zawdzięczamy tobie, drogi
przyjacielu. Ja i Rajmunda pokochaliśmy się od
pierwszej chwili i zamierzaliśmy się pobrać. Ale było
to niemożliwe dla Lupina. Postanowiłem więc
przemienić się w Ludwika Valmerasa, którym byłem
zresztą od urodzenia. Skorzystałem z pańskiego
niezłomnego zamiaru odszukania Zamku Iglastego;
dostałem się tam wraz z panem, oswobodziłem
pannę de Saint-Veran, porwałem ją Lupinowi. Co za

wspaniałe chwile! Pamięta pan te ostrożności, które
ja, Valmeras, przed moim ślubem z Rajmundą
przedsięwziąć musiałem przeciwko Lupinowi? I ów
wieczór, kiedy podczas pamiętnego bankietu,
wydanego na pańską cześć, osunął się zemdlony
w moje objęcia! Piękne
wspomnienia!...

Nastąpiło milczenie. Beautrelet obserwował
Rajmundę. Słuchała Łupina, patrząc nań wzrokiem
pełnym niewypowiedzianej miłości.

Łupin zwrócił na nią oczy. Uśmiechnęła się do
niego.

—Co powiesz o moim urządzeniu, Izydorze? — za-
pytał Lupin. — Ładnie tu, prawda? Nie powiem,
żeby to było ostatnie słowo komfortu, zadowalali się
nim wszakże nie byle jacy ludzie. Patrz, oto lista
właścicieli Igły.

Na ścianach wyryte były następujące imiona: Cezar,
Karol Wielki, Roli, Wilhelm Zdobywca, Ryszard, król
Anglii, Ludwik XI, Franciszek, Henryk IV, Ludwik
XIV, Arsen Lupin.

—Kto teraz się tu podpisze? Lista zamknięta. Od
Cezara do Lupina... Wkrótce zjawią się tu tłumy,
będą zwiedzać tajemniczą fortecę... Ach! Izydorze,

jakże czułem się dumny, gdym tu wszedł po raz

pierwszy!

Żona przerwała mu ruchem ręki. Była bardzo zaniepokojona.

Jakieś szmery pod nami — rzekła — ktoś się dobi-
ja...

To plusk wody — powiedział Łupin.

—Nie, nie... Znam szmer fal, to coś innego...

Łupin zawołał służącego.

Charolais — zapytał — czyś zamknął za panem
drzwi wejściowe?

Tak, założyłem klapy bezpieczeństwa.

Łupin podniósł się, rozsunął portierę i
powiedziawszy szeptem parę słów Rajmundzie, dał
znak służącemu, by poszedł za nią.

Z dołu dochodziły coraz donośniejsze uderzenia siei
kier.

Ganimard wyłamuje drzwi — pomyślał Beautrelet. j

Łupin spokojny, jakby nic nie słyszał, zabawiał dalej
gościa.

—Gdy dostałem się tutaj, Igła znajdowała się w
stanie kompletnej ruiny, musiałem wszystko czyścić,
wzmocnić, odnowić.

Uderzenia były coraz bliższe. Ganimard musiał

wywahać pierwsze drzwi i zabierał się do następnych. Zostawało już tylko dwoje. Przez okno Beautrelet ujrzał całą flotyllę barek, opasujących Iglę, a dalej torpedowiec, podobny do olbrzymiej, czarnej ryby.

—Co za hałas! — odezwał się Lupin — nie można rozmawiać. Chodźmy wyżej. Może pan chce zwiedzić Iglę?

Weszli na wyższe piętro. Lupin zamknął drzwi z sobą.

—Moja galeria obrazów — rzekł.

W zawieszonych na ścianach płótnach Beautrelet poznał arcydzieła najlepszych mistrzów.

—Piękne kopie — powiedział,

Lupin spojrzał na niego zdumiony.

Co? Kopie? Czyś pan oszalał? Kopie są w Madrycie, mój kochany, we Florencji, Wenecji, Amsterdamie,

A to co?

To są płótna oryginalne, gromadzone mozolnie ze wszystkich muzeów europejskich, gdzie je pozastępowałem doskonałymi kopiami.

Lecz prędzej czy później...

—Prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw? Na każdym obrazie znajdą z tyłu mój podpis i wtedy

będzie wiadomo, że to ja obdarzyłem moją ojczyznę
tymi arcydziełami.

Uderzenia stawały się coraz głośniejsze.

—To już nie do zniesienia! — zawołał Lupin. —

Chodźmy jeszcze wyżej.

Nowe schody i nowe drzwi.

—Sala gobelinów — oznajmił Lupin.

Weszli jeszcze wyżej i Beautrelet ujrzał salę zegarową, bibliotekę z najcenniejszymi i najrzadszymi unikatami, salę koronkową, salę z bibelotami z królewskich i książęcych pałaców.

Sale były coraz mniejsze.

Odgłos uderzeń słabł. Ganimard zgubił drogę.

—Ostatnia sala — rzekł Lupin — jest skarbcem.

Sala ta mieściła się w samym szczycie Igły. Od strony

morza wykute były w skale dwa oszklone okna.

Podłoga wyłożona była kosztownym drewnem. Przy ścianach stały gabloty; nad nimi wisiały obrazy.

Są to perły moich kolekcji — objaśniał Lupin. —

Wszystko, co pan widział dotychczas, jest do sprzedania. Tutaj jest sanktuarium. Wszystko najwytworniejsze, bezcenne.

A skarb? — zapytał Beautrelet.

Ach! To cię najwięcej interesuje? Wszystkie te arcydzieła budzą w tobie mniejszą ciekawość aniżeli skarb... Dobrze, zobaczysz go.

Tupnął nogą w jeden z kwadratów posadzki i podniósłszy go, jak wieko pudełka, odkrył skrytkę, wydrą-

żoną w skale. Była pusta. O krok dalej uczynił to samo. Ukazała się druga skrytka, również pusta.

Powtórzył tę czynność trzykrotnie. Wszystkie skrytki były puste.

—Spotkał cię zawód! — zaśmiał się Lupin. — Za Ludwika XI, za Henryka IV, za Richelieu te podziemne szkatuły musiały być pełne. Ale pomyśl o Ludwiku XIV, o szaleństwach Wersalu, o wojnach, o porażkach w czasie jego panowania! Pomyśl o Ludwiku XV, królu rozrzutniku, o Pompadour, o du Barry! Ileż to stąd musiano czerpać. Widzisz, nic nie ma...

Urwał.

—Nie martw się jednak, jest jeszcze coś... szósta szkatułka... nienaruszona... Żaden z nich nie śmiał jej dotknąć. Był to ostatni ich ratunek.

Podniósł wieko. W skrytce znajdowała się żelazna szkatułka. Łupin wyjął z kieszeni klucz i otworzył ją.

—Widzisz, mój chłopcze? Są to posagi królowych.

Przypatrz się tym perłom, tym wspaniałym
brylantom! Każdy z nich godny jest cesarzowej!

„Regent” nie jest
piękniejszy!

Wyprostował się i rzekł uroczyście:

—Beautrelet, powiesz światu całemu, że Lupin nie
wziął ani jednego kamienia z królewskiego skarbcza,
ani jednego, przysięgam na honor. Nie miał do tego
prawa.

Jest to własność Francji...

Ganimard przystąpił już do wyważania ostatnich
drzwi. Uderzenia były zupełnie wyraźne.

Łupin obszedł salę dokoła, przyjrzał się swym rzeź-
bom, obrazom i szeptał w zamyśleniu:

—Jak smutno pozostawiać to wszystko! Jak żal,
przed tymi obrazami
spędziłem najpiękniejsze chwile życia... I oczy moje
nie ujrzą już ich nigdy... Żegnajcie pi...

Na twarzy jego malował się smutek tak wielki, że Be-
autrelet uczuł dla niego litość. Łupin stanął przy
oknie i wskazując ręką morze mówił dalej:

—Panowałem nad światem całym. Trzymałem go w
swych dłoniach. Podnieś tiarę Saitapharnesa...

Widzisz ten podwójny aparat telefoniczny?... Na
prawo komunikacja z Paryżem — linia specjalna. Na
lewo komunikacja z Londynem — linia specjalna.
Przez Londyn miałem Amerykę, Azję, Australię!
Wszędzie miałem własne biura, własnych agentów,
własnych urzędników. Prowadziłem handel
wszechświatowy. Wszystkie dzieła sztuki
przechodziły przez moje ręce. Ach, Beautrelet,
bywały chwile, kiedy dostawałem zawrotu głowy.
Bywałem pijany siłą i władzą.
Runęły przedostatnie drzwi. Rozległy się pośpieszne
kroki...

Po chwili Lupin zaczął stłumionym głosem:
—I oto koniec... Przyszła dziewczyna o jasnych
włosach pięknych, smutnych oczach i czystej
duszy... i nastąpił koniec... Własnymi rękami
zburzyłem gmach mej
wielkości... pozostały tylko jej włosy... jej smutne
oczy... jest czysta dusza...

Zatrzęsły się ostatnie drzwi.

Lupin chwycił Beautreleta za ramię.

—Rozumiesz teraz, dlaczego cię nie zmiażdżyłem,
choć tylokrotnie miałem możliwość to uczynić?

Rozumiesz, że tylko za moją zgodą dotarłeś aż

tutaj? Rozumiesz, że dopóki znajduję się w tym miejscu, jestem awanturnikiem. Porzucając je, zostawiam za sobą całą przeszłość, zaczynam nowe życie, życie w spokoju i szczęściu i nie będę się rumienił, gdy spoczną na mnie oczy

Rajmundy...

Zwrócił się gniewnie ku drzwiom:

—Bądźże cicho, Ganimard, jeszcze nie skończyłem!!

Drzwi za chwilę miały runąć. Beautrelet stał zdumiony, nie pojmując zachowania się Łupina. Że oddał Iglę dobrze. Ale dlaczego sam się oddaje? Jaki jest jego plan?! Czy jeszcze i teraz zamyśla o ucieczce? Gdzie jest Rajmunda?

Lupin tymczasem mówił w zadumie:

—Uczciwość... Arsen Lupin uczciwy... Żyć jak wszyscy... I czemuż by nie? Dajże mi spokój, Ganimard Czyż nie wiesz, stary idioto, że ja wymawiam teraz historyczne słowa, a Beautrelet notuje je dla potomności!

Roześmiał się.

—Tracę czas daremnie. Ganimard nie zrozumie nigdy doniosłości mych słów.

Wyjął z kieszeni kawałek kredy, przysunął krzesło do ściany i wielkimi literami napisał:

Arsen Lupin darowuje Francji wszystkiej swe skarby zawarte w Wydrążonej Igle pod warunkiem, by umieszczono je w Muzeum! Luwru w salach opatrzonych napisem: „Salej Arsena Lupina”.

Policjanci walili z całych sił. Jedna deska odpadła i przez otwór wsunęła się ręka szukająca zamka.

—Do licha — zawołał Lupin — ten stary dureń Ganimard może wreszcie dojdzie do celu.

Skoczył do drzwi i wyciągnął klucz.

—A psik, mój staruszk, drzwi są mocne... Mam jeszcze czas... Beautrelet, do widzenia... Dziękuję ci!... Mogłeś stanąć przeciwko mnie... lecz jesteś delikatny!

Podszedł do wielkiego tryptyku Van der Weidena, przedstawiającego królów magów. Odsunął prawe skrzydło, odsłaniając ukryte drzwiczki.

—Powodzenia, Ganimard, życzę ci powodzenia! — krzyknął ujmując za klamkę.

Rozległ się strzał. Lupin odskoczył na bok.

Ach! Bandyta, w samo serce! To ty się uczyłeś strzelać? Biedny król! W samo serce!

Podдай się, Lupin — wołał Ganimard, wciąż do niego celując. — Podдай się, bo jeżeli się ruszysz, strzaskam ci głowę.

—Ech, kpię sobie z ciebie. Nie dosięgniesz mnie.

Lupin odsunął się na bok. Położenie jednak jego

było

straszne. Żeby wyjść drzwiami za tryptykiem,

musiały stanąć przed rewolwerem Ganimarda.

—Oho! — roześmiał się — moje akcje spadają.

Przeciagnałem strunę. Nie trzeba było tyle gadać.

W tej chwili jeszcze jedna deska wypadła z drzwi.

Przeciwników rozdzielały najwyżej trzy metry.

—Do mnie, Beautrelet! — krzyczał agent z

wściekłością — strzelaj, zamiast się gapić.

Izydor jednak stał nieporuszenie. Jeżeli wmieszam

się do walki — myślał — Lupin jest zgubiony... to

mój obowiązek...

Oczy ich spotkały się. Wejrzenie Lupina było

spokojne, uważne, prawie ciekawe, jakby w tym

straszonym niebezpieczeństwie, które mu groziło,

studiował zachowanie chłopca.

Drzwi zatrzeszczały.

—Do mnie, Beautrelet, trzymamy go! — wołał

Ganimard.

Izydor wyjął rewolwer.

W tej chwili Lupin schylił się, przebiegł wzdłuż

ściany pod wycelowanym rewolwerem Ganimarda i

nagle Beautrelet poczuł, że rzucono go na ziemię i jednocześnie prawie z jakąś nadludzką siłą podniesiono w górę. Lupin trzymał go w powietrzu, jak żywą tarczę.

—Dziesięć przeciw jednemu, Ganimard, że ci się wymknę, z Lupinem nigdy niczego nie można być pewnym.

Mówiąc to, cofał się ku tryptykowi. Jedną ręką trzymając Beautreleta, drugą otworzył i zamknął za sobą drzwi. Był ocalony.

—Prędzej — powiedział, popychając przed sobą Beautreleta i zbiegając po schodach — armia lądowa została pokonana... zajmijmy się teraz marynarką... Po

Waterloo Trafalgar... Ale, idźże, Beautrelet.

Schodzili w milczeniu. Przez szpary w skale Beautrelet dostrzegł tuż u swych stóp łodzie, a w dali torpedowiec. Lupin nie przestawał mówić.

—Chciałbym wiedzieć, co teraz robi Ganimard?

Może zszedł drugimi schodami, żeby mi zagrozić drogę w tunelu? Nie, nie, taki głupi nie jest...

Zostawił tam czterech ludzi...

Przystanął.

—Słyszysz? Otworzyli okno i przyzywają na pomoc

flotę... Torpedowiec płynie całą siłą. Atak

nieuchronny. Ach! Jak ja się bawię.

Poszli dalej. Po chwili znaleźli się w obszernej

grocie, oświetlonej blaskiem latarni. Z mroku

wyłoniły się dwa cienie. Jakieś ręce objęły Lupina.

—Prędzej! Prędzej! Byłam taka niespokojna! Ale ty nie jesteś sam...

Lupin uspokoił ją.

—To nasz przyjaciel, Beautrelet... Charolais, jesteś?... Aha, dobrze... A statek?

Charolais odpowiedział:

Gotów.

Podpal — wydał rozkaz Lupin.

Po chwili Beautrelet, który zdołał już oswoić się z ciemnością, ujrzał, iż stoi przed jakąś wodą, a na niej kołysze się statek.

Łódź podwodna — objaśnił Lupin — dziwi cię to, nie rozumiesz? Woda, którą tu widzisz, jest to woda morska, a że podnosi się przy każdym przypiływie, urządziłem sobie tutaj małą, lecz bezpieczną przystań...

Ale zamknięta — zauważył Beautrelet. — Nikt nie może tu wejść, lecz i nikt wyjść.

—

Owszem, zaraz cię o tym przekonam.

Wprowadził do łodzi naprzód Rajmundę, potem wrócił do Beautreleta. Izydor zawahał się.

Boisz się? — zapytał Lupin.

Czego?

By cię torpedowiec nie posłał na dno.

Nie.

A więc zastanawiasz się, czy obowiązek nie nakazuje ci zostać przy Ganimardzie?

Właśnie.

Na nieszczęście, mój mały, nie masz wyboru. Na razie muszą nas obu uważać za martwych... niech mi raz dadzą spokój, należny przysłemu uczciwemu człowiekowi. Później, gdy ci wrócę wolność, będziesz mógł opowiadać, co ci się spodoba.

Izydor zrozumiał, iż nie ma co nawet myśleć o stawianiu oporu. A zresztą, czyż nie zrobił wszystkiego, co do niego należało? Oddał im w ręce Wydrążoną Igłę, teraz zaś miał prawo poddać się sympatii, jaką w nim wzbudzał ten człowiek. I nagle ogarnęła go gwałtowna chęć, by ostrzec Lupina: Grozi ci inne, większe niebezpieczeństwo: Herlock Sholmes jest na twoim tropie...

Chodźmy prędzej — rzekł Lupin, zanim Izydor zdecydował się wykonać swój zamiar.

Usłuchał go i dał się poprowadzić do łodzi. Z pomostu zeszli po maleńkiej drabince do kajuty, w której znajdowała się Rajmunda. Lupin zdjął ze ściany tubę i wydał rozkaz:

—W drogę, Charolais.

Izydora ogarnęło przykre wrażenie jakby osuwania się w próżnię.

Płyniemy! — odezwał się Lupin. — Uspokój się...; z pierwszej groty przechodzimy właśnie do następnej, niższej, która jest otwarta od strony morza...

Wszyscy rybacy ją znają...

Znają ją i nie wiedzą, że ma otwór w górze i łączy się z grota, prowadzącą do Igły? Przecież każdy, kto tam wejdzie, musi to wiedzieć — rzekł zdumiony Beautrelet.

—Mylisz się, mój kochany. Sklepienie dolnej groty zamyka w czasie odpływu ruchomy sufit, naśladujący skałę, który przyptyw podnosi, odpływ zaś hermetycznie zamyka. Co, ładnie obmyślane?...

Jednak żaden z moich poprzedników nie wpadł na tę myśl, nie mając łodzi podwodnej. Zadowalali się schodami, które prowadziły wtedy do dolnej groty. Ja

usunąłem ostatnie stopnie i urządziłem ruchomy sufit... To mój prezent dla Francji... Rajmundo, zgaś lampę, już niepotrzebna.

W istocie słabe światelko wody otoczyło ich zewsząd wpadając do kajuty przez dwa otwory, zabezpieczone taflami z niesłychanie grubego szkła, przez które można było podziwiać morską faunę i florę.

W tej chwili przemknął nad nimi jakiś cień.

—Zaczyna się atak. Flota nieprzyjacielska okrąża Iglę... Nie wiem jednak, jak się do niej dostaną.

Wziął tubę.

—Nie opuszczajmy dna, Charolais... Dokąd płyniemy?... Mówiłem ci wszakże... Do portu Lupina...

Ukazał się nowy, dłuższy cień.

—To torpedowiec — objaśnił Łupin,— zaraz zaczną bombardować Iglę. Jakżebym chciał widzieć ten atak... Połączenie sił lądowych z siłami morskimi!...

Byłoby na co popatrzeć...

Lupin żartował ciągle, pobudzając do śmiechu Izydora, zachwyconego humorem tego człowieka, jego brawurą, odwagą. Od czasu do czasu spoglądał na Rajmundę. Młoda kobieta siedziała w milczeniu, przytulona do męża. Jego żarty sprawiały jej

widoczną przykrość, wreszcie odezwała się:

—Cicho bądź, ukochany... Tyle jeszcze nieszczęść może nas spotkać...

Płynęli teraz po powierzchni morza, tak daleko od brzegu, że żadne oko dojrzeć ich nie mogło. Dopiero koło Dieppe zanurzyli się pod wodę, by nie dostrzeżono ich z łodzi rybackich. W pół godziny potem statek wpłynął do małego portu między Skałami.

—Port Lupin — wołał Lupin. — Na ląd, Beautrelet... Rajmundo, podaj mi rękę. Ty, Charolais, wracaj do Igły, zobacz, co porabia Ganimard i torpedowiec, a wieczorem wszystko to mi opowiesz.

Beautrelet przyglądał się ciekawie niesłychanie stromemu brzegowi, zapytując się w myśli, jak można tędy wydostać się na górę, gdy naraz natrafił nogą na stopień żelaznej drabiny.

—Gdybyś znał, Izydorze, geografii i historię — odezwał się Łupin — wiedziałbyś, że znajdujemy się w pobliżu wąwozu Parfonval, w gminie Biville. Przed stu laty, w nocy 23 sierpnia 1803 roku Jerzy Cadoudal wylądował tu wraz z sześcioma współnikami w zamiarze porwania pierwszego konsula, Bonapartego, i tą samą drogą,

którą za chwilę będziemy przechodzili, wdrapał się na górę. Z czasem ziemia zasypała tę drogę, lecz Ludwik Valmeras, bardziej znany pod nazwiskiem Arsena Łupina, odnowił ją własnym kosztem, kupił fermę Neuville, gdzie nocowali spiskowcy i gdzie on sam zamierza obecnie przy boku żony i matki pędzić spokojny żywot uczciwego człowieka.

Po pół godzinie uciążliwego wchodzenia pod górę wyszli na równinę koło chaty, będącej mieszkaniem dozorczy straży pogranicznej. W dwie minuty potem na ścieżce ukazał się strażnik. Spostrzegłszy podróżnych, stanął i powitał ich wojskowym ukłonem.

Nic nowego, Gomeł? — zapytał Lupin.

Nic, szefie.

Nie spotkałeś nikogo podejrzanego?

Nie... tylko...

Co takiego?

Żona moja, która jest szwaczką w Neuville...

Tak, wiem, Cezaryna... Matka mówiła mi o niej. Więc cóż?

Podobno jakiś marynarz kręcił się tu dzisiaj po miasteczku.

Jak wyglądał?

Podobny do Anglika.

Aha! — szepnął Lupin zamyślony. — Kazałeś

Cezarynie...

Żeby go pilnowała.

Dobrze. Czekaj tutaj na powrót Charolais. Gdyby
zaszło coś nowego, znajdziesz mnie na fermie.

Jestem niespokojny — mówił dalej, zwracając się do
Beautreleta — czyżby to Sholmes? Jeśli to on,
zdecydowany po poprzednich porażkach na
wszystko, trzeba się mieć na ostrożności.

Zamilkł.

—Myślę, czy nie powinniśmy wrócić... tak, mam złe
przecucia.

Przed nim na lewo aleja, wysadzona drzewami,
wiodła do fermy Neuville. Widać już było dachy i
kominy. Było to ustronie przygotowane przezeń dla
Rajmundy. Czyż ma teraz, dla jakichś przywidzeń,
zrzekać się szczęścia, gdy ono
jest o parę kroków tylko?

Ujął Izydora pod ramię i, wskazując idącą przodem
Rajmundę, mówił:

—Patrz na nią! Jaka ona piękna! Wszystko w niej
wzrusza mnie, napełnia miłością. Kocham zarówno
jej ruchy, jak i nieruchomość, jej milczenie, jak
dźwięk jej głosu. Już to samo, że krocę po jej

śladach, sprawia mi rozkosz niewypowiedzianą. Ach!

Beautrelet, czy ona zapomni kiedy, że byłem

Lupinem? Czy potrafię wyrwać z jej pamięci tę moją
przeszłość, której tak nienawidzi?

Pohamował wzruszenie i rzekł z przekonaniem:

—Zapomni! Zapomni, bo poświęciłem dla niej moją
niezdobytą twierdzę, poświęciłem moje skarby,
władzę, dumę... poświęcę wszystko... nie chcę być
niczym... nikiem, tylko człowiekiem uczciwym,
ponieważ ona może kochać tylko człowieka
uczciwego.

Słowa te wrywały mu się z duszy jakby bezwiednie.

. —Wszystkie rozkosze, których doznałem w moim
awanturycznym życiu, nie są warte jednego jej
spojrzenia, jednego uśmiechu. Zbliżali się do bramy
fermy. Lupin nagle przystanął mówiąc:

—Dlaczego ja się boję?... Jakieś przeczucie... Czyż-
by sprawa Wydrążonej Igły nie była jeszcze
skończona? Czyżby los gotował mi inne rozwiązanie,
aniżeli to, które sam wybrałem?

W tej chwili od strony fermy nadbiegła zadyszana

żona strażnika. Lupin pośpieszył ku niej:

—Co? Co się stało? Mówcie.

Kobieta ledwie zdołała wymówić:

Jakiś człowiek... widziałam jakiegoś człowieka w salonie...

Ten sam Anglik co rano?

Tak, inaczej tylko ubrany.

Widział was?

Nie. Widział się z panią.

I co?

Powiedział, że szuka swego przyjaciela, Ludwika Valmerasa.

A pani co?

Pani odpowiedziała, że syn jej wyjechał w podróż... w długą podróż...

I odszedł?

—Nie. Przez okno dał jakiś znak, jakby kogoś wołał.

Lupin milczał. Nagle rozległ się krzyk. Rajmunda za wołała:

To twoja matka... poznaję... Łupin chwycił ją za rękę.

Chodź... uciekajmy... tyś pierwsza! —krzyknął. W tej samej jednak chwili puścił ją.

—Nie, nie mogę, to byłoby zbrodnią... Przebacz mi,

Rajmundo... biedna kobieta...

I pobiegł ku fermie.

Rajmunda i Izidor stanęli tam prawie równocześnie

z nim. Drogą szło trzech mężczyzn, z których jeden, najwyższy, kroczył przodem, dwaj zaś prowadzili pod ręce szamocącą się i krzyczącą kobietę.

Zmrok już zapadł, mimo to Beautrelet poznał

Herlocka Sholmesa. Kobieta była już niemłoda,

całkiem siwa. Nagle przed Sholmesem stanął Lupin.

Długą chwilę przeciwnicy mierzyli się wzrokiem. Na

twarzach ich malowała się nienawiść. Wreszcie

Lupin odezwał się z jakimś martwym spokojem:

Każ swoim ludziom puścić tę kobietę.

Nie. Zapanowała cisza.

Po chwili Lupin powtórzył:

Każ swoim ludziom puścić tę kobietę.

Nie.

Lupin rzekł znowu:

—Słuchaj, Herlock...

Urwał, czując, iż słowa będą daremne. Cóż mogły

znaczyć groźby wobec tego olbrzyma energii i

pychy! Zdecydowany na wszystko wsunął rękę do

kieszeni. Anglik, spostrzegłszy ten ruch, przyskoczył

do swego więźnia i przyłożył mu rewolwer do skroni.

—Lupin, nie ruszaj się, bo strzelę.

Wówczas, nadludzkim wysiłkiem opanowując gniew,

Lupin powtórzył:

—Holmes, po raz trzeci mówię ci, puść tę kobietę...

Anglik roześmiał się szyderczo.

—Może nie wolno jej dotykać? Dość już tej blagi! Nie

nazywasz się ani Valmeras, ani Lupin, skradłeś te

nazwiska! A ta, którą ogłaszasz za swoją matkę, to

Wiktoria, stara twoja współpracownica, która cię

wychowała...

Tutaj Sholmes popełnił błąd. Pragnąc nacieszyć się

swoją zemstą spojrzął na Rajmundę, którą słowa te

po prostu kamienowały. Lupin skorzystał z tej chwili.

Gwałtownym ruchem wyciągnął rękę z kieszeni.

Padł strzał.

—Przekleństwo! — krzyknął Holmes, któremu kula

przestrzeliła ramię. — Strzelajcie! Strzelajcie! —

wołał na swych pomocników.

Lupin jednak skoczył już na nich i nie upłynęły dwie

sekundy, gdy jeden leżał na ziemi, trzymając się za

boki, a drugi padł ze strzaskaną szczęką.

—Wiąż ich, Wiktorio... A teraz na ciebie kolej,

Angliku...

Sholmes przełożył rewolwer do lewej ręki i

wycelował.

Strzał... Krzyk przerażenia... Rajmunda wpadła po-

między mężczyzn... Nagle zachwiała się, podniosła

rękę do głowy, wyprostowała się i runęła u stóp

Lupina.

—Rajmundo!... Rajmundo!...

Ukląkł przy niej, schwycił za ręce, przycisnął do piersi.

—Nie żyje — rzekł.

Stał, jak osłupiały. Sholmes odwrócił głowę. Wiktoria szeptała:

—Mój mały... Mój biedny...

Nagle Łupin wstrząsnął się, zacisnął pięści i jednym strasznym uderzeniem powaliwszy przeciwnika na ziemię, schwycił go za gardło.

Anglik rzeził, leżąc bez ruchu.

—Dziecko moje, dziecko — błagała Wiktoria...

Lupin puścił ofiarę i padłszy na ziemię, wybuchnął konwulsyjnym łkaniem.

Noc osuwała się z wolna na pole walki. Na trawie leżeli powiązani Anglicy. Z dala nadbiegała nuta jakiejś rzewnej piosenki. Wieśniacy z Neuville wracali do domów po pracy.

Lupin wstał z ziemi. Przez chwilę przysłuchiwał się dolatującym go odgłosom. Spojrzał na dom, w którym spodziewał się żyć w szczęściu u boku Rajmundy. Potem zwrócił zażawione oczy na

ukochaną, śpiącą u stóp jego snem wiecznym.

Nachylił się, wziął umarłą w swoje potężne ramiona i przycisnął ją do piersi, a jej ręce zarzucił na swoją szyję.

Chodźmy, Wiktorio.

Chodźmy, moje dziecko.

Milcząco odszedł ze swym straszynem a tak drogi ciężarem w stronę morza i wkrótce zniknął w ciemnościach...

Spis treści

Zbrodnia w zamku

I. Zabójca znika bez śladu 5

II. Najmłodszy z detektywów wstępuje na scenę

III.Uciezka Beautreleta

IV.Nowe wiadomości. Porwanie doktora Delattre'a

V. Co skradziono w zamku 34

VI. Pierwsza przestroga

VII. Czy panna de Saint-Veran została

zamordowana? 59

VIII. Poszukiwania 64

IX. Okradziona kaplica 67

X. Przerwane wyznani 77

XI. Dawid i Goliat

Tajemnica królowej

I.Porwanie 113

II.Na tropie .

Historyczna tajemnica . 140

V.Modlitewnik Marii Antoniny

VI.Od Cezara do Łupina

VII. Sezame, otwórz się!

